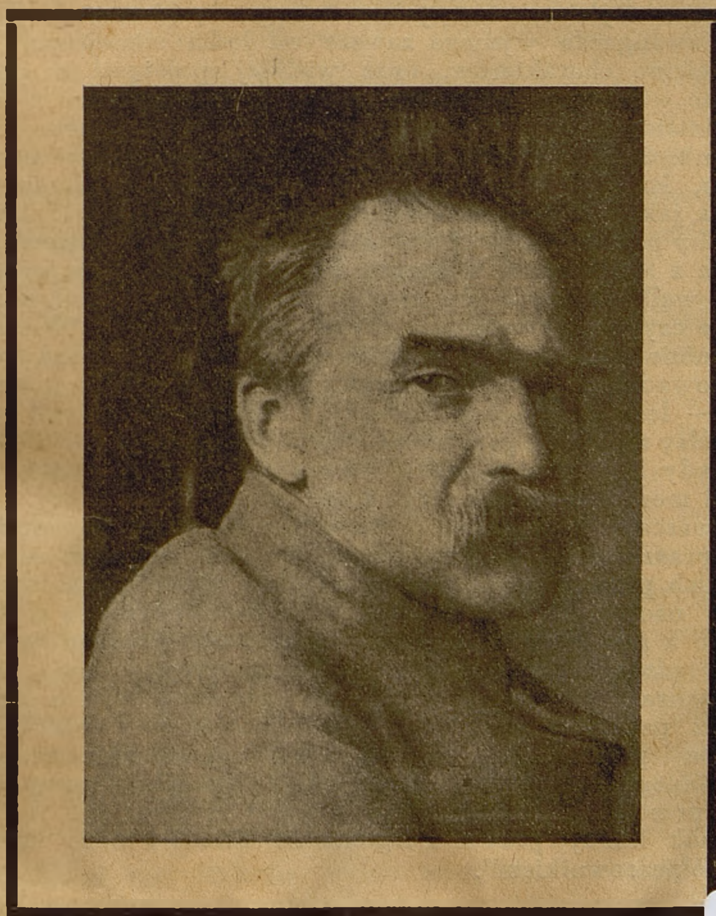
Rok I. Warszawa, dnia 12 maja 1937 r. Nr 1.

ŻOŁNIERZ LEGIONÓW





„SĄ LUDZIE I SĄ PRACE LUDZKIE TAK SILNE I TAK POTĘŻNE, ŻE ŚMIERĆ PRZEZWYCIĘŻAJĄ, ŻE ŻYJĄ I OBCUJĄ MIĘDZY NAMI".



„Niechybnie każdy historyk doby stawania się Polski, każdy historyk pierwszych lat istnienia Polski nowoczesnej będzie zmuszony odbyć studia i nad tym zjawiskiem naszego życia społecznego, które my nazywamy Legionami. Wydaje mi się to musowym z wielu względów. Wymienię jeden, może nawet nie główny istotnie, lecz narzucający się, że tak powiem zewnętrznie. Jest nim fakt niezaprzeczony, że fakty historyczne, to jest to, co się stało rzeczywiście po roku 1914 — po początku wojny europejskiej — jakgdyby dały rację nie komu innemu, jak nam, którzyśmy od samego początku wzięli najwyższy ton w pożądaniach, pragnieniach i pracach wśród społeczeństwa polskiego. Żądaliśmy bowiem od siebie i od innych nie służby dla tego czy innego zaborcy — a ci historycznie przegrali — lecz próby samodzielnego życia wojennego Polski — co znowu wbrew oczekiwaniom ogromnej większości Polaków ziściło się historycznie. Byliśmy więc jakby awangardą historyczną, taka zaś awangarda wymaga zawsze od ludzi silniejszych, niż przeciętne charakterów, oraz wielkiej spoistości w pracy. Bujne więc życie legionowe ma swój niezapomniany przez legionistów urok wraz z tą siłą koleżeństwa, co nieraz uraża, już nie wiem dlaczego innych. Pociągać więc będzie powtarzam, każdego historyka w przyszłości chęć zbadania tego życia, jako koniecznego elementu pracy historycznej Polaków z doby powstawania i powstania Polski wolnej i niepodległej. A że z legionistami walczono nieraz zacięcie, więc zgodnie z tą walką starano się, niestety, zbyt często sfałszować to życie czy w dokumentach, czy w opowiadaniach i wszelkiej pisaninie dodatkami i przekręceniami, które w błąd mogą wprowadzić nie współczesnych z nami ludzi — bo o to mniejsza — lecz przyszłych badaczy i historyków. Niech więc koledzy zechcą się przyczynić swymi pracami do wyjaśnienia prawdy historycznej, niesfałszowanej, swymi szczerymi opisami momentów przeżytych ongiś we wspólnej pracy.

Zwracając się w ten sposób do kolegów legionowych i zapraszając ich do współpracy, nie szukam wcale ani literackich, przerobionych pracą i mozołem utworów, ani wspomnień osobistych dłuższych, gdyż wiem dobrze, że wyjątki tylko z pomiędzy nas zdołają to uczynić. Szukam wspomnień ulotnych, urywków — że tak powiem — życia, które najjaskrawiej w pamięci pozostały, nie będą bowiem zatarte przez przeżycia poźniejsze i odtworzą w ten sposób bez fałszu i pretensji ten, czy inny moment, silniej przez poszczególnego kolegę przeżyty. Pracę tą literacką doprowadzić do przeciętnej formy zdoła komitet redakcyjny. W ten sposób każdy prawie z legionistów stać się może naszym współpracownikiem".

JÓZEF PIŁSUDSKI. — WSTĘP DO „WSPOMNIEŃ LEGIONOWYCH".

Szanowne Panie i Panowie!

Z niezwykłą przyjemnością poruszam temat o wartości wojskowej żołnierza Legionów. Przez dziesięć lat, będąc najprzód dowódcą oddziałów legionowych, a potem Naczelnym Wodzem wojsk polskich, musiałem bardzo często zastanawiać się nad wartością żołnierzy, albowiem każdy dowódca musi w swoim własnym bezpośrednim interesie odczuwać i mierzyć wartość swych podwładnych. Nie ma naturalnie mowy, abym, będąc ograniczony czasem, wyczerpał temat i dostatecznie go dziejową naszą pracą poparł. Muszę zatrzymać w tych warunkach uwagę Panów jedynie na fragmentach i urywkach, oraz na najbardziej charakterystycznych cechach legionistów.

Legiony powstały w dobie historycznej, która będzie jeszcze bardzo długo tematem roztrząsań dla wielu naszych pokoleń, zajmujących się badaniem tego ogromnego wstrząśnienia całej ludzkości, jakim była wojna światowa, gdyż skutkiem jej było między innymi i ustalenie bytu niepodległej Polski.

Legiony były wojskiem. Nosiliśmy bowiem broń stale i broni tej używaliśmy dla zadania strat nieprzyjacielowi, który naodwrót i nam straty zadawał. Jak dawna jest ludzkość, równie dawne są wojny, równie dawni są żołnierze. Czy kiedykolwiek zabłyśnie przed ludzkością wymarzona idea wiecznego pokoju, tego nie wiem; dotąd mamy za sobą olbrzymią tradycję wojenną i olbrzymią tradycję żołnierską.

Wojska różnią się między sobą zewnętrznymi odznakami, językiem służby, zwyczajami i obyczajami, ujętymi nieraz w regulaminy. Różnice te są następstwem przynależności wojsk do takiego lub innego narodu, do takiego lub innego państwa. Byliśmy wojskiem polskim, bośmy się odróżniali zewnętrznymi cechami od wszystkich wojsk, które nas otaczały, bośmy nosili specjalne odznaki zewnętrzne, bośmy mieli język raportów i rozkazów polski, a obyczaje i zwyczaje nawet *bardzo* polskie.

Byliśmy wojskiem polskim w 1914 r., a tym samym w stosunku do swego narodu — nowatorami. Z tego nowatorstwa wypływały jako konieczny skutek pewne cechy, któreśmy sami w sobie wytworzyli i które w nas otoczenie polskie obserwowało. Ta nasza trwająca dotąd niepomiernie bujna wesołość i nadmiernie burzliwy sposób manifestowania uczuć wynikają z tego, żeśmy byli nowatorami.

Wojsko polskie, któreśmy zaczynali budować, wypływało nie z woli i nie z chęci narodu polskiego. Nie czynię ani żadnych oskarżeń, ani żadnych do nikogo aluzyj. Traktuję rzeczy objektywnie, jak historyk. Ostatnim wojskiem polskim, które było bezpośrednio przed nami, było wojsko 63 roku. Poniosło ono klęskę, zostało rozbite i zgniecione. Przez 50 lat naród polski nie pragnął wojska. Z tych czy innych powodów nie ważył się na myśl tworzenia własnego wojska, a i w momencie wybuchu wojny światowej również nie miał życzenia i aktu woli, by stworzyć wojsko polskie.

Świadectwem tego pozostanie fakt historyczny, że w pierwszych dniach wojny światowej stanęły pod broń dziesiątki, ba setki tysięcy Polaków, którzy zgodnie z prawem państw zaborczych znaleźli się w szeregach, jako żołnierze armij obcych. Dlatego też my, występując na arenę dziejową jako wojsko polskie, byliśmy w stosunku do własnego społeczeństwa nowatorami: chcieliśmy dać Polsce polskiego żołnierza.

Każde nowatorstwo ma swoje prawa psychiczne, niezmienne prawa duszy, dające się dostrzec u wszystkich nowatorów. Każdy człowiek, wnoszący w życie coś nowego ma zadanie znacznie trudniejsze, niż wciśnięcie się fizyczne do tak napełnionej sali, jak ta, którą tu widzimy. W dziedzinie, do której nowa myśl, nowy czyn chce się wedrzeć, istnieją gotowe zdania, gotowe pojęcia, gotowe przesądy, gotowe formuły odsuwania rzeczy nowej, rzeczy, która dotąd nie istniała, rzeczy, która jeszcze nie wytrzymała próby życia. Dlatego wszyscy apostołowie czegokolwiek nowego, wszyscy reformatorzy życia, wszyscy odkrywcy muszą mieć wewnętrzną siłę, która im pozwala być tymi nowatorami wbrew oporowi otoczenia. Pierwszą więc ich cechą jest umiejętność wydobycia ze siebie wysiłków większych, niż przeciętne wysiłki człowieka, większej niż przeciętna energii. Bez tej niezwykłej energii i nieprzeciętnego wysiłku niepodobna przepchać się przez zwarty tłum uprzedzeń i niechęci do rzeczy nowych.

Drugą cechą, która z tego nowatorstwa wypływa, jest pewna przesada, pewna egzageracja w stosunku do tego nowego zadania, lub nowego pojęcia, które się do życia wnosi. Chcieliśmy dać Polsce żołnierza, którego Polska nie miała i nie tworzyła przez lat 50. Z tego powodu, jak z jednej strony wysiłki duszy musiały być tu większe, silniejsze i energiczniejsze, tak z drugiej — była w stosunku do tego usiłowania wprowadzenia rzeczy nowych skłonność do pewnej przesady.

Zwracam uwagę na te cechy; ilustrować je będę przykładami, obserwowanymi przez siebie stale i ciągle. Legioniści odznaczali się jak gdyby pewną przekorą w stosunku do otoczenia, przekorą, która daje siłę i odwagę znoszenia największych ciężarów. Przekornie postanowiliśmy dowieść, iż możemy dokonać o wiele większych rzeczy, niż te, których od nas żądano. Chcieliśmy szczególnie dowieść zarówno sobie, jak i otoczeniu oraz obcym, że polski żołnierz sam, bez żadnej obcej pomocy może powstać, że obca pomoc jest dla nas niepotrzebna i szkodliwa. Ta walka z obcym wpływem, walka z obcymi — w życiu naszym legionowym przewija się jak czerwona nić, tworząc nieraz tragedie ludzi, tworząc nieraz walki wewnętrzne i walki z całym otoczeniem. Chcieliśmy sami ze siebie wytworzyć te wartości, które stanowią dobrego żołnierza. Walka z ówczesną austriacką komendą, noszącą inne niż my mundury, a zatem przypominająca nam obce wojska, stanowi bodaj jedną z najpoważniejszych stronic historii Legionów w czasie ich tworzenia się i dalszego życia. Walka ta była wynikiem przekory, wynikiem przesady w stosunku do postawionych sobie zadań. Szliśmy przeciw mniemaniu całego polskiego społeczeństwa, które w nas, wychodzących ze swej własnej szkoły, ze swych własnych usiłowań, nie chciało widzieć ani zdatnych żołnierzy, ani zdatnych dowódców. Dobijaliśmy się o uznanie nas, jako dobrych żołnierzy, o uznanie przez nas samych, potem przez otoczenie, wreszcie przez najsurowszych sędziów. Usiłowania te stanowią, zdaniem moim, najsilniejszy ruchotwórczy czynnik Legionów.

Wiem, że w ten sposób może rozwiewam pewne legendy, które powstanie i trwanie Legionów wywodzą z szacownych uczuć, z wielkich idei. Lecz wielkie idee i wielkie uczucia są świętem, a życie codzienne, życie każdej chwili wymaga innych czyn-

ników, jeżeli ma ono utrzymać się na pewnym poziomie i pewnym stopniu. Śledząc uważnie życie legionowe, przychodzi się do przekonania, że najsilniejszym motywem duszy, który przy życiu utrzymywał Legiony i który dał tak wybitne rezultaty, była nasza ambicja wewnętrzna. Ambicja ta żarła ludzi, starających się dowieść swemu otoczeniu i światu, że sami potrafimy zrobić z nas dobrych żołnierzy, wbrew opinii Polski. Cechą bowiem charakterystyczną ówczesnego społeczeństwa polskiego był głęboki brak zaufania do tego wszystkiego, co jest polskie, i głęboka wiara we wszystko to, co niepolskie.

Przytoczę fakty najbardziej charakterystyczne, dowodzące, jak silna była nasza ambicja stania się dobrymi żołnierzami. Chcę być ścisłym pod względem historycznym, nie chcę się opierać na legendach, lecz na faktach, które sam widziałem, sam obserwowałem, sam analizowałem i jestem pewien, że one były. Dlatego najwięcej przykładów przytoczę z życia I Brygady.

Wojsko, gdy wyrusza na wojnę, zaczyna od pracy, od której myśmy zacząć także musieli, od t. zw. mobilizacji. Zaopatrzenie żołnierza we wszystko, co mu jest potrzebne do prowadzenia wojny, wyznaczenie miejsc koncentracji, najdogodniejszych dla rozpoczęcia z góry przewidzianych ruchów operacyjnych, jest pierwszą pracą żołnierską, która przez żołnierzy dokonana być musi. Przystąpiłem też i ja w Krakowie do mobilizacji. Lecz, moi Panowie w jakich warunkach! Nie miałem ani koszar, które są miejscem zbiórki, ani augmentacyjnych magazynów, z którychby można dostarczyć wyekwipowanie dla żołnierzy, nie miałem wygodnej kancelarii, gdziebym sam, albo wyznaczeni przeze mnie ludzie mogli zasiąść do trudnej pracy. Ta szalona robota mobilizowania, gdy nad głową stoi wyznaczony termin, na który trzeba być gotowym, ta masa szczegółów, które się narzucają i które przepracować trzeba, jest jednym z najcięższych wysiłków oficera i żołnierza. Robota ta wysysa z każdego oficera wszystko, co człowiek dać może, i na podstawie wszystkich wspomnień ludzi, którzy przechodzili przez mobilizację, wiem, że po jej wykończeniu siadali do wagonów śmiertelnie znużeni, o niczym już myśleć niezdolni. Dokonywałem tej pracy w warunkach tysiąc razy gorszych niż moje otoczenie. Wiedziałem dobrze, że jestem obserwowany przez oczy niechętne, które zamierzały wydać sąd surowy o mnie i moich żołnierzach. Liczba, którą mogłem zorganizować, odpowiadała mniej więcej słabemu pułkowi na stopie wojennej. Postawiłem oddział w tym samym terminie, w jakim mobilizowały się pułki armii t. zw. regularnej. W cztery dni robota była skończona i wydano rozkazy do marszu.

Przyszedł pierwszy marsz. W myśl rozkazów austriackich władz wojskowych miałem dotrzeć tylko do małego miasteczka Jędrzejowa. Marsz stukilometrowy, rozłożony na 4 do 5 dni, uciążliwy, bo odbywany pod grozą kontaktu z nieprzyjacielem. Z krótkich słów które usłyszałem od wojskowych władz austriackich przy odbieraniu ostatecznych informacyj, wywnioskowałem, że władze te do mnie i do moich żołnierzy żadnego zaufania nie mają i że, wyznaczając mi ten Jędrzejów, nawet nie wierzą, bym mógł tam dotrzeć. Dlatego może nie wyznaczono nam żadnego dalszego celu marszu. Co więcej, dalej poza Jędrzejów posunąć się nam nie było wolno. Kielce, najbliższe większe miasto, zostało wyznaczone w planie koncentracyjnych sztabów państw centralnych, jako punkt styczny wojsk niemieckich i austriackich. Nie chciano tam widocznie dopuścić jakiegoś „bałaganu" o charakterze polskim, nie chciano pomiędzy oddziały austriackie i niemieckie wpuszczać do tego styku jakiegoś niewyraźnego ele-

mentu, jakim niechybnie byliśmy nietylko dla dowództwa austriackiego, ale i dla wszystkich. Z rozmowy pomiędzy oficerami austriackimi wywnioskowałem, że według ich przekonania dalej poza Jędrzejowem będziemy, mówiąc ich językiem, technicznym „überrannt" przez austriacką kawalerję. Dzięki przekornej naturze legionowej postanowiłem nie dopuścić by nas wyprzedzono. Natychmiast wydany został rozkaz jak najszybszego marszu, żeby nie dać się prześcignąć kawalerii, ale odwrotnie, aby nasze piesze oddziały kawalerię wyprzedziły. Nie powiem, abym chciał zachwalać teraz swoje czyny; miały one w sobie dużo lekkomyślności i nieostrożności. Plan jednak został w czyn wprowadzony. Strzeleckie oddziały awangardy weszły do Kielc pierwsze i dopiero później zjawiła się awangarda kawalerii w postaci szwadronu dragonów austriackich. Byliśmy w Kielcach pierwsi.

Wieczorem tego samego dnia, w którym weszliśmy do Kielc, nastąpił kontakt z nieprzyjacielem znacznie liczniejszym i rozporządzającym w porównaniu z nami przepychem ekwipunku i uzbrojenia, armatami i karabinami maszynowymi, których myśmy nie posiadali.

Nastąpił natychmiastowy bój. Nie dowodziłem nim, zostałem bowiem odwołany na tyły dla omówienia spraw politycznych i komendę tej awangardy sprawował w moim zastępstwie dzisiejszy generał Sosnkowski. Awangarda licząca 500 strzelców, przyjęła bój, którego nasi sojusznicy, czyli szwadron austriacki rozumniej nie przyjął i cofnął się, z czego oczywiście nie można mu było czynić zarzutu. Sosnkowski wdał się w bój, mając przeciw sobie całą dywizję kawalerii. Bitwa trwała niedługo; Sosnkowski okazał się rozważnym i wolał nakazać odwrót. Pod naporem całej dywizji nieprzyjacielskiej cofa się on, ale cofa się powoli. Wracając z Krakowa w drugim dniu odwrotu, spotkałem oddział strzelecki w Chęcinach, oddalonych od Kielc tylko o 15 km.

Zatrzymuję się na tym pierwszym wystąpieniu Legionów na arenie żołnierskiej nie dlatego, abym siebie miał wywyższać, ale dlatego, że ten pierwszy fakt, którym zaczęliśmy naszą pracę żołnierską, został natychmiast uznany nie przez polskie otoczenie, lecz przez dowództwo austriackie. Nigdy nie zapomnę, jak jeden z oficerów, który z obowiązku służbowego nas obserwował, mówił mi, że w sztabie armii austriackiej nigdy nie przypuszczano, by oddziały nasze okazały się zdolne do takiego marszu. Uważano, iż ten, że tak powiem językiem austriackim ,,cywilbagaż" nie jest zdolny do zrobienia marszu nawet do Miechowa i musi się rozsypać po drodze. To też marsz nasz był dla władz austriackich niespodzianką.

Później, gdy w Kielcach stały obok oddziałów naszych i oddziały austriackie, ta sama przekora i chęć ambicji, która mnie wraz z moimi żołnierzami ogarnęła, kazała mi zająć na swą kwaterę pałac gubernatora. Zgodnie ze zwyczajami wojennymi najokazalszy budynek zajmuje na kwaterę ten, kto jest rangą najwyższy. W ten sposób siłą faktu, bo wyrzucić mnie z pałacu nie ośmielono się, zdobyłem pozory wyższości. To też Austriacy i Niemcy przychodzili do mnie z pokorą, uważając widocznie, że skoro mieszkam w pałacu, to tym samym jestem już wyższy. I nie mogę zapomnieć goryczy, jakiej doznałem, gdy, przejeżdżając później przez Kielce, tłukłem się na przedmieściu, gdy inni ten pałac zajmowali.

Z Kielc trzeba było się wycofać. Wziąłem na siebie rozmyślnie najtrudniejszą pracę żołnierską, pracę ariergardy, pracę osłaniania odwrotu. Jest to najtrudniejsze zadanie, jakie spaść może na żołnierzy i dowódcę. To owa przekora i ambicja legunów pchała mnie do tego, aby wziąć na swoje barki najbardziej odpowiedzialną robotę.

Przy cofaniu się na Wisłę, podczas przeprawy, stale zatrzymywaliśmy odwrót. Zatrzymywaliśmy ponad miarę zakreślonego czasu. Przeszliśmy przez most w Szczuczynie pod grozą, że nam go z tyłu spalą. Rozmyślnie nadużywałem sił młodych żołnierzy dlatego, że szybciej dążyłem do triumfu braci legionowej, że szybciej dążyłem do uznania naszej własnej z nas samych powstałej, pracy żołnierskiej. Pamiętam smutne przejście przez most. Ziemia obiecana, na której obiecywaliśmy sobie wyróść w większą siłę, została opuszczona. Dano nam rozkaz osłaniania odcinka Wisły w łączności z całym mnóstwem wojsk innych. Rozkaz ten doskonale pamiętam. Dla podniesienia dzielności wojsk austriackich głosił on, że wróg wtargnął w granicę „ojczyzny", polecał obronę słupów granicznych austriackich. Dla zachęcenia nas, legionistów, dodano do tekstu niemieckiego ustęp polski, stwierdzający i dla nas wagę „granicy" „ojczyzny", którą była Wisła, dzieląca dwa zabory. Na szczęście duch rozkazu uprawniał mnie do nowych niebezpiecznych przedsięwzięć. Nakazywał on prowadzenie obrony ofenzywnej, t. zn. dopuszczał akcję na lewym brzegu Wisły, pozwalał przerzucać wojska przez rzekę z powrotem do tego kraju, który nie jest jakoby naszą ojczyzną. A z fortecy krakowskiej nadszedł rozkaz, by zniszczyć wszystkie środki przeprawy przez Wisłę. Naskutek tego rozkazu zaraz z prawa od nas spłonął most w Szczuczynie. Stanąłem w obronie tych środków przeprawy przez Wisłę, chcąc bowiem przejść rzekę, trzeba było mieć możność przeprawy. Pamiętam, jak w tym właśnie czasie ówczesny porucznik a dziś pułkownik Dreszer, nie mogąc doczekać się jakiegokolwiek środka przeprawy, rozebrał się wraz z patrolem do naga i z bronią w ręku przeprawił się na drugi brzeg Wisły. Dotąd czyn ten wspominany jest z dumą i dotąd jest on tematem żartów, że Dreszer ma dziwny pociąg do rzeki, że przez każdą rzekę wpław się przeprawia, chociaż ma most obok. I ten mały epizod świadczy o tej dziwnej przekornej naszej chęci wykazania swej wartości żołnierskiej, wartości nieprzeciętnej, zdatnej do czynów nadzwyczajnych. Jeżeli bowiem jako nowatorowie chcieliśmy stwarzać rzeczy nowe, to musieliśmy dawać dowody, że stać nas na większe wysiłki niż normalne.

Powiem tu jeszcze o pierwszym wrażeniu na widok ran, tych rzeczy zwykłych zresztą i codziennych na wojnie. Moi Panowie, wśród legionistów rany były rzeczą nieledwie codzienną, ale to pierwsze wrażenie, jakie odnosi się na widok rannych, jest niezmiernie silne, chociażby rany były nawet lekkie. Ta pierwsza krew, te pierwsze cierpienia rannego, pierwsza pomoc, ta chwila, gdy się widzi człowieka okrwawionego i słyszy wokół strzały — ma w sobie coś niezwykłego. Pamiętam, gdy świeżo przybyły batalion przeprawiał się przez Wisłę, spotkałem wracających pierwszych rannych. Panowie, ja w twarzach rannych nie widziałem smutku, nie słyszałem jęku! Widziałem triumf i dumę, że są żołnierzami polskimi, że krew przelewają i tym swej służby żołnierskiej dowodzą. Pamiętam młodego chłopca, którego drasnęły w głowę trzy kule karabinu maszynowego. Szedł swobodnie, krwią zlany. Gdym go spytał: „Cóż to wam, chłopcze?" — Odpowiedział wesoło i dumnie: „A w głowę mnie trafiło, głowa mocna wytrzyma".

Po tych pierwszych wrażeniach wojny szły jedne za drugimi ciężkie chwile. Widziałem złamane charaktery, złamane serca od jednego ciężaru i nacisku, serca w których wojna zdusiła wszystko to co było w nich najlepszego, zrobiła z człowieka odważnego — podłego tchórza, z człowieka silnego — płaczącą babę. Przeszliśmy tyle rzeczy, tyle nauk, tyle doświadczeń. Przyszedł koniec 1914 roku. Po ciężkich bojach, po przegranej bitwie wojska austriackie cofały się rozbite. Powierzono mi znów

zaszczytną misję, abym stanął w ariergardzie, gdyż w ciężkich chwilach byliśmy my, żołnierze polscy, najpewniejszą jednostką, na którą można było włożyć największe ciężary. Pamiętam mękę odwrotu, noce nieprzespane, lub spędzone przy stole, gdy zasypiało się momentalne tak, jak się siedziało na krześle. Pamiętam dokładnie, jakie wrażenie na mnie sprawiały te cofające się szeregi batalionów przerzedzonych, żołnierzy kaszlących jak owce, robiących wrażenie szpitali pędzonych przez lasy. Bataliony topniały. Oficerowie śmiertelnie znużeni, przemęczeni do niemożliwych granic pod wrażeniem pierwszego wielkiego boju, gdzie grała artyleria, gdzie sypały się granaty. Widziałem, jak serca ludzkie się łamały. Widziałem żołnierzy, niegdyś pewnych siebie i hardych, a obecnie uk ywających się w lasach i czekających hańby poddania się do niewoli.

W całym tym odwrocie z moich żołnierzy byłem dumny, albowiem mogłem zrobić z nimi wszystko, co chciałem. Mogłem po skończonym odwrocie spokojnie dać zaraz rozkaz marszu naprzód. Gdy komenda austriacka zwróciła się do mnie z prośbą, abym moich żołnierzy naprzód prowadził dlatego, że nikt z regularnej armii naprzód już iść nie chce, byłem jedynym, który z kilku batalionami śmiało poszedł szukać nowego kontaktu z nieprzyjacielem. A za mną poszli moi dumni chłopcy, dumni, że tak wielką wartość żołnierską posiedli, poszli ze śpiewem, pogardę rzucając austriackiemu otoczeniu.

Pamiętam, że w tym czasie widziałem jeden obraz Kossaka. Artysta ten służył wtedy przy I armii austriackiej, do której i myśmy należeli. Obraz nosił tytuł: „Legionista” czy „Jeńcy”. Przedstawiał on młodego chłopca w mundurze legionowym, dumnie opartego o karabin. Za nim w szarych szynelach kilku jeńców rosyjskich, przewyższających o głowę młodego żołnierza o dziecinnej twarzy i dumnych oczach patrzących w dal. Obrazek — jak wiele innych. Kossak w rozmowie ze mną stwierdził, że dzieło to namalował, podpatrzywszy tę scenę z życia. Zwróciłem specjalnie uwagę na wyraz twarzy młodego żołnierza z obrazu. Było w niej widoczne podobieństwo do wyrazu twarzy i oczu, jakie codziennie spotykałem u moich żołnierzy. Oczy niewinnego dziecka, młodzieńca, oczy, które życia nie znają. W tych oczach widoczny już był jednak zimny, stalowy odblask woli, stanowczości, decyzji — znamię przedwczesnego wydobycia z duszy wartości żołnierskiej.

Minęło kilka miesięcy, mieliśmy już dobrą markę, mieliśmy uznanie. Legenda i sława wzięły nas na swe skrzydła i niosły naprzód. Jeśli jest w legendach coś fałszywego, to one naprzód daleko nie zajdą, wstrzymają się u wrót serca. Nasza sława i legenda przed tymi wrotami się nie zatrzymały. Poszło przede wszystkim za nami to, co jest najpiękniejsze w kulturze ludzkiej, — poszła sztuka. Moi Panowie, poezja twórcza należy do tych dziedzin ducha, które, mówiąc słowami Słowackiego „owija się, jak bluszcz koło dębu”, owijają się jak bluszcz koło wielkiego wysiłku ludzkiego. Im większy wysiłek, im większa praca ducha ludzkiego, tym silniej szuka poezja i sztuka dla swej twórczości motywów z tego nienikczemnego życia. Przede wszystkim twórczość o charakterze tak zwanym ludowym buchnęła, jak gdyby żywym płomieniem, z tego źródła nowej mocy, nowej twórczości, nowego wysiłku ludzkiego, który się uosabiał w Legionach. Nie znam epoki bardziej udatnej, bardziej silnej pod względem twórczości poezji żołnierskiej, jak nasz okres legionowy. Dotąd piosenka legionowa jest nabytkiem całego narodu. Dotąd żołnierz w wojsku polskim, gdy Legiony już minęły, śpiewa nasze pieśni; śpiewa to, co grało w naszych duszach, żyje,

bawi się, robi to, cośmy ongi robili na ziemiach polskich. Kulturę polską ożywiły pieśni żołnierskie, wycisnęły i wyciskają tyle obcych nabytków, przejętych przez polskich żołnierzy z armij obcych. Jeżeli pieśń ma jakieś znaczenie, jeżeli to, co jest piękne, co odpowiada głębokiej potrzebie duszy, ma jakiś wpływ, to pieśń żołnierska jest tym wielkim, trwałym ogniwem, które zapewnia życie Legionom, dopóki istnieje żołnierz polski. — Tyle tych pieśni! Można śledzić historię Legionów, studiując ich pieśń. Każdy batalion miał swoje zbiorowo układane pieśni, do których ciągle dorzucał nowe słowa, dodawał dowcipy. Tworzyła się ta pieśń tak, jak ongiś tworzyła się pieśń ludowa. Ta pieśń żyje dotąd, jako rzecz nabyta, jako rzecz żywa i trwała.

Weźmy malarstwo. Nie wiem, czy jest wogóle większy malarz polski, który sił swoich nie próbował w dziedzinie życia legionowego, któryby jak ten bluszcz nie oplątywał się koło życia, świadczącego o sile, o energii ludzkiej i bezwiednie dlatego pociągającego sztukę, bezwiednie pociągającego piękno.

A cóż mówić o kobietach? Nie czekam w tym wypadku uśmieszków, świadczących o brudzie duszy. Mówię o kobiecie, jako o pięknie życia. Mówię o kobiecie, jako o istocie, która daje często lepsze, szlachetniejsze pobudki, która daje radość życia mężczyźnie. Pierwsze poszły za nami kobiety. Kobiety odczuły silnie piękno życia odczuły tę przekorę legunową, która szła wbrew całemu światu, która szła przebojem przeciw własnemu społeczeństwu, żądając od niego, jeżeli nie uznania, to szacunku dla polskiego żołnierza. Wślad za nami, trop w trop za naszym żołnierzem idą kobiety, oczarowane pięknem duszy, pięknem wartości moralnej, którąśmy z siebie wydobyli. Śmiać się można z przesadnych nieraz zachwytów i adoracyj, jakie nam towarzyszyły. Lecz są one świadectwem głębokiej wartości wewnętrznej tego przejawu życia polskiego, jakim byliśmy.

Moi Panowie, to piękno, ta poezja życia, którą myśmy stworzyli, miała pewne cechy, które narzucały się otoczeniu w sposób nieprzeparty, tak nieprzeparty,, że chcę wskazać na żywe przykłady oddziaływania tego uroku. Szliśmy krajem, gdzie, gdy mówiono „nasze" wojsko, to mówiono o tych, którzy nas zabijali. Tam więc, gdzie nie szło o polityczną stronę naszego ruchu, gdzie nie odgrywał roli stosunek do t. zw. dei legionowej, tam, gdzie przeciwnie, widoczna była niechęć do nas, niespokojnym okiem szukałem w duszy polskiej śladów wpływu piękna, któreśmy nieśli, szukałem tych śladów, badając i pytając. Pamiętam postoje po wsiach polskich, postoje dłuższe i krótsze po długich i skomplikowanych naszych marszach i kontrmarszach. Za każdym razem badałem uważnie, jaki ślad w ludziach zostawia nasz pobyt. Przychodzili do mnie, jak zwykle do władzy, ludzie ze skargami. Gdzież bowiem jest żołnierz, który zazdrosnym okiem nie śledzi takich stworzeń, jak kura i gęś? Gdzież jest żołnierz, który bodaj okiem pożądliwym nie spogląda na konia? Gdzież jest żołnierz, który dowcipem lub gwałtem nie wyciągnął od gospodyni jedzenia? Takimiż byli i moi żołnierze? To też nic dziwnego, że ludność przychodziła ze skargą lub prośbą, żeby takich rzeczy nie czyniono, żeby w taki czy inny sposób szkodę wynagrodzono, lub chociażby kwit jakiś wydano. Za każdym razem zapytywałem, za każdym razem badałem, jaki jest stosunek ludności do mego żołnierza. I tak żywo pamiętam, jak w każdej nieledwie wsi kobieta, przychodząca ze skargami, zasłoniwszy się wstydliwie fartuchem, mówiła: „Takie wesołe wojsko". Ten urok wesołości, ten urok żartu, ten urok żołnierzy, idących na śmierć z uśmiechem na ustach, w ostatniej chwili obejmu-

jących w uścisku dziewczynę, w ostatniej chwili rzucających słowa wzgardy dla tchórza, to jest typ, jaki się wytworzył w Legionach.

Pamiętam oto takie n. p. obrazy. Było to w kraju, który obecnie wchodzi w granice naszej Rzeczypospolitej, lecz w którym, ściśle mówiąc, Polaków było względnie niewielu. Jest to Polesie Wołyńskie. Staliśmy tam bardzo długo, poznaliśmy ten kraj dokładnie. Ludności było tam bardzo mało, zostały jakieś niedobitki osiedli ludzkich, które i tak topniały pod gorącym oddechem wojny. Niknęły sioła, niknęli ludzie. Zniszczenie na całej linii. Smutny obraz ożywiało tu i owdzie na drodze spotkane drzewko owocowe kwitnące, mimo iż śladu osiedli ludzkich w okolicy tej już nie było. Zostało jako świadectwo, że gdzieś tu mieszkał człowiek, że gdzieś tu człowiek pracował, że gdzieś tu pot swój do ziemi wlewał, z którego wykwitł ten kwiat owocowy. I pamiętam, jaką radość i życie wnosiły do tego pustkowia najbujniejsze charaktery, najweselsze bractwo, kochankowie wszystkich kobiet, drapieżni na cnotę niewieścią, młodzi chłopcy ułańscy. Pamiętam, jak długi czas jeżdżąc po pustkowiach, trafiłem do pułku ułanów t. zw. Beliniaków. Zdumiony byłem tym, co się tu dzieje. Jest tu życie! Nawet kury chodzą, co było zjawiskiem zupełnie niesłychanym. Tu, przy Belinie, przy tym szlagońskim typie człowieka, gospodarzącym tu jak na wsi, mającym cały szereg zalet i przywar szlacheckich, śmiech panował, tu, w tej wiosce, wieczorami odbywały się bale, tu wieczorami wyprawiano tańce, tu grała muzyka, tu było wesele, tu było — życie w ponurym obrazie wojny. To ułani polscy zachowali wieś od zniszczenia, to ułani polscy w smutki wojny wnosili radość.

Przejdę do innych przejawów pracy żołnierskiej. Mam na myśli stosunek ułana do konia. Czytałem całe tomy literatury, traktujące o tym, jak jazda powinna konie szanować i jak trudno ludzi do tej cnoty żołnierskiej doprowadzić. Oficer musi ciągle czuwać, by doglądano koni. Gdy zmęczony jeździec stanie na odpoczynku, na oficerze leży obowiązek przypominania ułanowi, że koń idzie przed jego potrzebami snu czy wytchnienia. Dla naszej kawalerii te grube tomy nauk i przestróg, spisanych na podstawie wojennych doświadczeń narodów, były niepotrzebne. Nasz ułan legionowy konia kochał więcej niż kobiety, a kobiety kochał szalenie. Konie były skarbem duszy ludzkiej, konie były towarzyszami żołnierza. Wygoda konia obchodziła go więcej niż życie i rany własne. Konie ratował od zguby, z końmi się bratał, robił z nich jakąś, wyśmiewaną zresztą przez wszystkich piechurów, poezję końską. Ułan wydobywał ze siebie najwyższe wartości wojskowe, by sława ułańska, sława jazdy polskiej żyła po wieki. Ułan, któremu piechur krzyczał: „Ułan! drogi nie znasz, zapytaj się konia" — ten biedny ułan, przedmiot kpin i żartów innych rodzajów broni, cackał się ze swoim koniem, cieszył się nim jak dzieckiem, tak, że każdemu innemu wojsku za wzór żołnierza służyć będzie. Na dowód zabawny obrazek. Idą ułani do kuchni w porządku po jadło. Spostrzegam z przerażeniem, że jeden z żołnierzy idzie po jadło z putnią, z której poi konia. Zawołałem komendanta szwadronu i robię wymówki, że żołnierz je obiad z putni, z której pije koń, stworzenie stojące niżej od istoty ludzkiej. Na to komendant szwadronu odparł, że jest to wielki honor dla ułana, jeżeli jada z tego samego naczynia co jego koń. Ta przekorna przesada w trosce o konia raz jeszcze stwierdza tę charakterystyczną cechę, jaka się wytworzyła w psychologii naszego żołnierza.

Znałem w Legionach chłopców, którzy w tornistrach nosili bardzo cudaczne rzeczy. Nigdy nie mogłem zrozumieć tej manii zbierania rupieci w rodzaju odłamków szrapneli i noszenia tych ciężarów, kiedy i tak już ciężka była normalna zawartość

tornistra. Pasja ta doprowadzała ludzi do tego, że woleli wyrzucać środki żywności, aby tylko nie pozbyć się swoich dziwacznych pamiątek. Pamiętam niezapomniany dla mnie obrazek, gdy żołnierze, idący pod ogniem artylerii do kuchni, ukrytej w lesie, przy każdym strzale armatnim przystawali, rozglądali się po gapiowsku dokoła i pytali się siebie, gdzie pociski upadły. Krzyczeć trzeba było na nich, aby się nie narażali tak głupio na strzały. Była to ciekawość dziecka — żołnierza, ciekawość człowieka, szukającego nowych doświadczeń; prowadziła ona do najbezsensowniejszych rzeczy, przeczących instynktowi samozachowawczemu. To też nigdy w Legionach nie brakowało ochotników do akcyj najryzykowniejszych; zawsze było ich za wielu i zawsze trzeba było robić wybór, krzywdzący tych, którym najtrudniejszych robót nie wyznaczano.

Muszę wspomnieć również o zachowaniu się naszych rannych i chorych. Lekarze obcy bardzo często mówili mi: — Co tam jest właściwie w tych waszych Legionach? Żołnierze nie doleczeni, żołnierze, których lekarze zatrzymywali w szpitalu, wracali do pułków, wracali do kompanii, wracali do szwadronów, uciekali poprostu ze szpitali do wojska, szukając na nowo tych ran, szukając na nowo triumfów żołnierskich. Pamiętam moją rozmowę z jednym z wybitnych lekarzy wiedeńskich, odbywających w charakterze chirurga inspekcję szpitali. Zastanowiło go to, że legioniści znoszą operacje znacznie łatwiej, przechodzą rekonwalescencję znacznie szybciej, niż wszyscy inni żołnierze. Tłumaczył to tym, że przychodzą oni do operacji w znacznie lepszym nastroju, niż ogół żołnierzy austriackich. Jedynym marzeniem naszych rannych i chorych było jak najprędzej uciec ze szpitala, uciec, jak mówili, „do domu". Domem tym był pułk, domem tym była kompania, domem tym byli towarzysze broni.

Legiony miały zdolność asymilowania — często zupełnie mimowolnego — żywiołów obcych. Oto zabawny przykład takiej asymilacji. Pewien Wiedeńczyk przyplątał się w jakiejś katastrofie wojennej do jednego z batalionów I. Brygady i stał się „dzikim" legionistą. Po pewnym przeciągu czasu nie chciał w żaden sposób nas opuścić i dopiero, bawiąc pod Wiedniem na urlopie, został aresztowany za wymyślanie Austriakom od urodzonych tchórzy, czego nauczył się od swych legionowych kolegów. Ta dziwnie silna asymilacja, która porywała za sobą naiwne dusze, robiła ni stąd ni zowąd z człowieka obcego legionistę tak wiernego, że będąc rannym, wracał z ambulansu natychmiast do szeregów, twierdząc że woli umrzeć z kolegami w polu, niż siedzieć w szpitalu, skoro ma tylko lekką ranę. Drugi fakt asymilacji jest jeszcze ciekawszy. Zabłąkał się jakiś wirtemberski żołnierz. Pułk jego poszedł gdzieś dalej. a on, szukając go, pozostał w tyle i przyczepił się do biwaku legionowych saperów. Ci przebrali go, i odtąd chodził w w maciejówce z orzełkiem. A ponieważ saperzy potrzebowali wołów roboczych, przeto chętnie pozostawili go u siebie. Wirtemberczyk był również bardzo zadowolony i twierdził, że trafił do świetnego i wesołego wojska. Zasymilował się tak dalece i tak głęboko, że zapomniał o prawie niemieckim, karzącym za dezercję. Bawił u nas przeszło pół roku i wówczas zaczął pisać listy do rodziny, które go zdradziły. Do Komendy I. Brygady przyszło nagle od pułku wirtemberskiego żądanie wydania owego żołnierza dla odpowiedniego ukarania.

Ten sam proces asymilowania odbywał się nie w jednej Pierwszej Brygadzie; był on może nawet silniejszy w Drugiej. Tam było zawsze mniej politycznych motywów, samodzielnie przez legionistów wysnutych, nie było tam mnie, jako przedstawiciela politycznej przekory w stosunku do małych ambicyj polskich w społeczeństwie. Natomiast bardziej jaskrawo, bardziej wyraziście wypiastowano tam myśl o żołnierzu,

zajmującym się prawie wyłącznie swym fachem, i przeróbką siebie na dobrego żołnierza. W Trzeciej Brygadzie, sformowanej później niż inne, ludzie wypracowali typ pośredni, bardziej zresztą do typu Pierwszej Brygady zbliżony.

Zyskaliśmy wkrótce sławę dobrych żołnierzy, a przechodząc przez rozmaite coraz to różnorodniejsze koleje, doskonaliliśmy się coraz bardziej. Natomiast komplementem stałym i ustawicznie w stosunku do nas powtarzanym był zarzut „undiszipliniert". Pozwolicie Panowie, że przedstawię taki obrazek braku dyscypliny, który zdarzył się właśnie tutaj, we Lwowie. Było to po ciężkich bojach wołyńskich, kiedy zachorowałem na influenzę i tutaj, pod Lwowem, odbywałem rekonwalscencję. Wtedy miałem sposobność być podejmowanym przez komendanta miasta. Spotkałem. się na przyjęciu z rozmaitymi oficerami. Jeden z nich opowiadał mi o fakcie następującym: o północy, t. zn. w porze, w której porządni żołnierze nie chodzą po mieście, spostrzegł na ulicy Sykstuskiej dwóch żołnierzy, idących naprzeciw niego. Zdaleka zauważył, że są to legioniści. Spostrzegł również, że są „zalani" i chwieją się w różne strony. — Używając tutejszego terminu, „batjary" lwowskie służyli w I. Brygadzie, i miewali najrozmaitsze urlopy, więc spędzali je nie gdzie indziej, jak we Lwowie. — Zrównawszy się z oficerem, nietylko honorów mu nie oddali, ale go jeszcze, przechodząc, potrącili. Oficer począł im robić wymówki: Legionistą jesteś, jak ci nie wstyd, po nocy pijany się włóczysz? Spotykasz oficera, honorów mu nie oddajesz i jeszcze go potrącasz?" Na to jeden z żołnierzy, zmierzywszy oficera z góry na dół, powiedział: „My z I. Brygady", — „No i cóż z tego — odparł oficer — żeś z I. Brygady. Jakiż z ciebie żołnierz? Wstyd Brygadzie robisz". „Wstyd Brygadzie" — powtórzył legionista i począł długo szukać czegoś i szperać w kieszeni spodni. Wreszcie wydobył z niej, nie noszony nigdy na piersi, austriacki złoty medal waleczności i, pokazując go oficerowi, zapytał: „Wystarczy?" Po chwili wyciągnął z drugiej kieszeni żelazny krzyż pruski i powtórzył poprzednie zapytanie: „Wystarczy?" Potem wskazując towarzysza, rzekł: „Ten ma to samo. Chodźmy". To brutalne zachowanie się wobec obcych oficerów było istotnie nawyknieniem legunów. Nie będę temu przeczył. Oto drugi obrazek z tego samego okresu czasu. Przez otwarte okno słyszę zmianę warty pod moim mieszkaniem i słyszę cichy rozkaz: „Stać przy mieszkaniu, wszystkich puszczać, swoim oficerom honory oddawać, austriackim — nie".

Nie powiem, Panowie, by ten sposób postępowania był dobrym zwyczajem. Był to jeszcze jeden wynik owej przekory legunów, którzy, zdobywszy sławę, starali się akcentować na każdym kroku, że całą swą wartość zawdzięczają własnej pracy i nie potrzebują nieproszonych nauczycieli. Scysje z obcymi oficerami wywoływane były gwałtownym narzucaniem nam nauczycieli, które rodziło stale niechęć w stosunku do wojska austriackiego, a specjalnie do jego oficerów. Wyrażała się ona nieraz w formie bardzo ostrej i niedopuszczalnej. Stąd zarzut „undiszipliniert". Zwracałem uwagę na te objawy i raz wydałem rozkaz: „Od dziś oddawać honory wszystkim oficerom, bez względu na to, jakimi są; nie chcę mieć żadnych skarg". Rozkaz ten był wypełniony, a żołnierze stali się przesadnie grzeczni, robiąc „Stellung" tak wspaniały, że radowały się serca oficerów austriackich, przekonanych, iż to ich wpływ tak umoralnił legunów. Dyscyplinę, to dobrowolne posłuszeństwo, zawsze w Legionach uzyskać mogłem. Rozkaz był rozkazem, służba służbą. Zarzut „undiszipliniert" tyczy się czegoś innego. Tyczy się pewnego lekceważenia form życia codziennego, lekceważenia wywołanego ciągłem brataniem się ze śmiercią.

Zawód żołnierski to praca w nienaturalnych warunkach. Wytwarza on u żołnierzy specjalny stosunek do zjawiska śmierci. Umierają — co prawda — wszyscy ludzie. Ale gdy żołnierz idzie na śmierć, to znaczy, że śmierć bierze pod rękę i chodzi z nią po polach bitewnych. Śmierć i poczucie śmierci otaczają wciąż żołnierza. Śmierć jest dla niego zjawiskiem stałym, codziennym. Nie wiem, Panowie, czy ci, którzy nigdy żołnierzami nie byli, zdają sobie sprawę z tego, jak niełatwe jest ciągłe ze śmiercią obcowanie. To codzienne, zgodne z obowiązkiem żołnierza chodzenie na śmierć, ten wysiłek przywyknięcia do niej, to bratanie się z śmiercią wyciska w duszy głębokie ślady, wywołuje zmiany w charakterze. Człowiek, który ma jutro umrzeć, ma pewien specjalny stosunek do rzeczy. Nie ceni pewnych wygód, bo jutro wszystkie wygody mogą zniknąć. Nie ceni co prawda wygód innych ludzi, lecz swoje również ma za nic. W czasie długiego stykania się i bratania ze śmiercią, wygoda staje się rzeczą tanią, staje się rzeczą, nad którą się łatwo przechodzi do porządku dziennego. Życie dobrego żołnierza staje się ciągłą i ustawiczną loterią. Skutkiem tego jest lekceważenie przez niego spraw dobrobytu materialnego w znacznie silniejszym stopniu, niż to się spotyka w życiu innych ludzi.

Życie wojenne, życie w nienormalnych warunkach, żłobi jeszcze inną cechę w duszy żołnierza. Jest on mężczyzną, który pozostawił gdzieś w dali życie rodzinne. Zadowalać się musi często dorywczym uściskiem, nieraz brutalnie zdobytym. Im bardziej jest skazany na te dorywcze uściski spotkanej gdzieś w kącie kobiety, tym bardziej rodzi się w nim tęsknota za uśmiechem szczęścia, które niesie życie rodzinne. Radość i uśmiechy życia rodzinnego, radość i uśmiech dziecka tak go rozczulają, że wszystkim paniom radziłbym wychodzić zamąż za dobrego żołnierza, gdyż jest prawie pewne, że można nad nim panować jednym uśmiechem.

Wreszcie jeden znamienny rys dobrego żołnierza. Spełnia on twardy obowiązek żołnierski, wykonywuje pracę nieraz bardzo mało znaczącą i podrzędną. Żąda jednak zawsze bardzo twardo szacunku dla siebie, szacunku dla swej pracy i szacunku dla swego dowódcy. Cechą wszystkich dobrych żołnierzy jest to, że swych wodzów, prowadzących ich do zwycięstw, kochają i wymagają dla nich czci.

Proszę Panów, ten typ dobrego żołnierza znajdziemy wszędzie, gdzie było wojsko i gdzie pod dobrym wodzem ruszało ono na zwycięstwa.

We Francji, w najwybitniejszej jej epoce, gdy żołnierze służyli pod największym wodzem świata, pod Napoleonem, powstaje typ wiarusa napoleońskiego. Lekkomyślny on jest w życiu codziennym, nie dbający o pieniądze, przechodzący do porządku dziennego nad materialną stroną życia, wesoły i swobodny, szukający szczęścia, szukający wrażeń uprzyjemniających mu życie, zawsze gotów jednak stanąć odważnie i twardo w obronie swego honoru i w obronie swego cesarza, potem ciągle konspirujący, by swego wodza „z niewoli" wydobyć. Czy pamiętacie pieśń o dwóch grenadierach Heinego. Pieśń nie przez Francuza napisaną. Tym właśnie charakterystyczniejsza, że ten typ wiarusa napoleońskiego siłą swych rysów narzucał się i pociągał pióra obcych. Dwaj grenadierzy powracają z niewoli i dowiadują się po drodze piorunującej wieści: ich cesarz w niewoli. Zdawałoby się, że niczego innego pragnąć nie powinni, jeno powrotu do rodziny, której tak dawno nie widzieli. A jednak całe ich marzenieześrodkowane jest w chęci ujrzenia i oddania honorów temu, który ich prowadził do boju — cesarzowi. Ten typ dobrego żołnierza, tego napoleonowego wiarusa, tych oficerów, których setkami wyrzucano z królewskich wojsk po Restauracji,

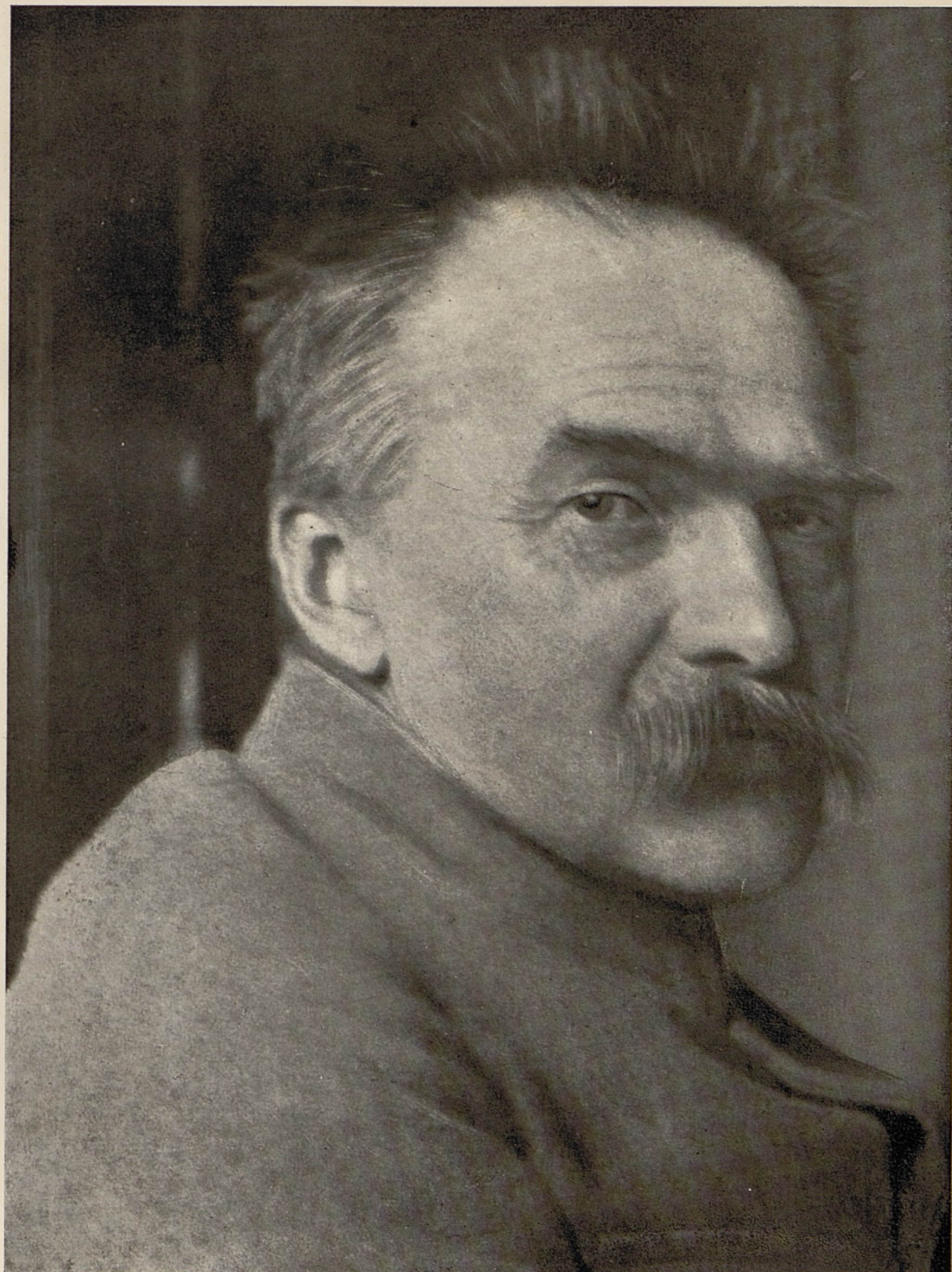
których trzymano pod dozorem policji, jako niebezpiecznych, utrwalił się w literaturze francuskiej i znalazł swój wyraz w postaciach bohaterów licznych powieści.

U sąsiedniego narodu podobnie. Mamy tam epokę przewag wojennych, epokę Sedanu, epokę walk, rozbrzmiewających zwycięstwem Prus. I oto znajdziemy tam prawie ten sam typ dobrego żołnierza, z dodatkiem rysów rasy niemieckiej. Typ surowszy, mniej kulturalny. Żołnierz ten zajmuje przeważnie skromne stanowisko w państwie, lecz surowymi oczyma wymaga od swego pana szacunku dla siebie i dla krzyża, który nosi na piersi. Tak samo, jak wiarus napoleoński, jest czuły na wdzięki niewieście i czuły na uśmiechy dziecka. I znowu w niemieckiej literaturze spotyka się te typy, które zbratały się ze śmiercią, które śmierć nazywały siostrą, z nią kładły się i wstawały z łoża. To typy ludzi, którzy nie cenią wartości dobrobytu i majątku, ale dusze wierne honorowi własnemu i honorowi swego wodza. Na takich podoficerach, pozostających nieraz na bardzo skromnych stanowiskach, budowana była siła i trwałość państwa niemieckiego.

Jeżeli przejdę do literatury rosyjskiej, to znajdziemy tam podobny typ dobrego żołnierza. Oswojony ze śmiercią, zbratany z nią, a zarazem lekkoduch, włóczący się po świecie, przepijający i przegrywający z lekkim sercem cały swój żołd, wymagający jednak szacunku dla siebie i dla cara, w imieniu którego walczył. Przypominam sobie jednego z pisarzy rosyjskich, Uspieńskiego, który z wielkim talentem nakreślił ten typ rosyjskiego wiarusa. Przez dwadzieścia pięć lat służy on w wojsku, walczy na wszystkich polach, pełni służbę wzorowo i filozofuje. Bił nieprzyjaciół, to prawda, ale ci, z którymi walczył przez całe życie, to mimo wszystko poczciwe, zacne ludziska, i te Francuzy, i te Niemcy, i te Polaki, i te Turki, chociaż poganie. Tej względności wobec nieprzyjaciół nabył w obliczu śmierci.

A w dawnych powieściach polskich ileż to sylwetek dobrych żołnierzy! Wzorami dla autorów byli ludzie żywi, postacie, którym na klepsydrach wypisywano ongiś: „b. oficer, czy podoficer b. Wojsk Polskich". Są oni trochę bardziej rzewni, bardziej sentymentalni, niż Francuzi, czy Niemcy. To typy wiarusów, służących przy dworze i zaprawiających rękę młodego panicza do szabli, opowiadających niezwykłe dzieje przygód wojennych, których byli uczestnikami. To typy starych ordynansów oficerskich, co wrócili z wojny razem ze swym panem, a i teraz służą mu wiernie. Słudzy, nie pozwalający jednak siebie lekceważyć, bo na ich piersiach krzyż zasługi. I oni, jak wszyscy dobrzy żołnierze, szukali szczęścia i uśmiechu życia, lekkomyślnie lekceważyli dobra materialne, a zachowali przez całe życie przywiązanie dla przyjaciół i naiwną wiarę Don Kichota, rycerza sprzeciwiającego się zepsuciu i łajdactwu.

Wszędzie gdzie w długich wojnach i ciężkich trudach żołnierskich pracował człowiek, wszędzie daje on swemu narodowi nowy nabytek kulturalny. Typ człowieka, przechodzącego łatwo nad materialnymi wartościami życia, przenoszącego ponad nie wartości moralne. Typ człowieka, łatwo znoszącego zmienność losu, byle mieć możność zachowania najlepszej cząstki swej duszy — szacunku dla siebie i szacunku dla swego honoru. Uczciwa praca na najskromniejszych stanowiskach, stałe poszukiwanie zgody ze swoim sumieniem jest ich cechą nabytą w codziennym brataniu się ze śmiercią. Jak ongiś, na polach bitew, przelewali krew dla honoru swego sztandaru i na rozkaz swych wodzów, tak w pracy pokojowej zmieniają honor sztandaru na honor swej pracy, na honor swej nowej służby, dla której wymagają szacunku, jako dla części głównej siebie



Fot. kpt. Zbigniew Sujkowski.

samych. Szukają przytem radości życia, uśmiechu szczęścia, do którego tęsknili tak długo w pracy wojennej, w robocie bitewnej.

Legiony stworzyły w Polsce, odrodziły na nowo typ dobrego żołnierza. Ta zdobycz może w przyszłej historii stanowić będzie więcej, niż te, czy inne przewagi w tych czy innych bojach. Potrafiliśmy swoim wysiłkiem, swoim sercem, swoją wielką pracą i wolą dać Polsce nowy kulturalny nabytek — dać typ dobrego żołnierza polskiego. Powstawał jakby z mogiły dawny typ żołnierza powstańca, przymierającego głodem czasem, wędrującego borem, lasem, po ziemi ojczystej. Zapomniane, odpędzane, nieraz upiorne widmo lat ubiegłych na przekór światu, na przekór swoim, żyło, żyć pragnęło, życie dając Polsce.

JÓZEF PIŁSUDSKI

Odczyt „O wartości żołnierza Legionów", wygłoszony we Lwowie dn. 5 sierpnia 1923 r. na 2 zjeździe Legionistów.

„Dzieje wojska — to dzieje nakazu. Rozkaz jest życiem wojska, rozkaz, idący od człowieka do człowieka, zmuszający do tej, a nie innej czynności i pracy. Jest to odwieczne życie wojska — rozkaz i mus, związany z rozkazem. A rozkaz najgłębiej sięga tam, gdzie idzie nietylko po przejawy życia, lecz gdzie zaprzecza jestestwu — i idzie po życie samo. Rozkaz i posłuch, nakaz i mus — to sfera w której obraca się wojsko".

VIII. Demokracja a wojsko.

„Odrodzić dusze ludzkie, zmienić człowieka, zrobić go lepszym, wyższym, potężniejszym, i silniejszym — oto wasze zadanie".

Jak historia długa — wszędzie znajdujemy wojsko. W tej względnej wieczności naszej — wojsko jest wszędzie, wojsko jest musem. Oko etnografa, sięgające do głębi puszcz pierwotnych znajdzie wojsko i wodzów u kolebki ludów".

„Dokąd ludzkość krwią znaczy swój pochód i dotąd widzimy wieczyste istnienie żołnierza i wojska".

VIII. Demokracja a wojsko.

„Wojna jest zjawiskiem, przy którym, w ostatecznym rachunku, nie gdzieindziej ważą się losy narodu i państwa. Gdy w historii będziemy liczyli państwa, które upadły, państwa, które zniknęły, to znajdziemy zawsze, jako ostateczny powód ich upadku, przegrane wojny".

VIII. Naczelny wódz w teorii i praktyce.

„Praca wojny jest sztuką. Sztuka tworzy dzieła, a obiektem sztuki wojny jest zawsze zwycięstwo. Zwycięstwa więc szuka każdy dowódca, jako produktu swej pracy dowodzenia, swej pracy mózgu".

VII. Rok 1920.

STANISŁAW WITKIEWICZ

O ŻOŁNIERZACH LEGIONÓW

Wyjątki z listów do siostry, z lat 1914 — 1915.

Lovrana, 19 sierpnia 1914.

Cokolwiek będzie na początku tej potwornej wojny, my już zwyciężyliśmy, zwyciężyliśmy nasz strach poniżający — znowu jesteśmy narodem. Strzelcy — to Legiony naszych czasów i tę samą rolę odegrają w historii naszej.

Lovrana, 29 września.

Cała radość, cała mądrość jest z Legionistami — z tymi, co się biją, co się formują, co ich rany opatrują, co ich onucki piorą. Małoduszność ludzka — to największy wróg narodów. Trzeba by wprowadzić lekcje bohaterstwa i wpoić w umysły tę prawdę — że od Mieszka I Polska istnieje pod tak różnymi postaciami, że jeżeli jedna Jej forma zapadnie się, to nie znaczy, żeby Ona zginęła. I że trzeba na to każdej chwili być gotowym. Trzeba być Piłsudskim.

Lovrana, 11 października.

Nie wątpić — i z tym duchem małego, rozkładającego sceptyzmu walczyć! — Tołstoj w „Wojnie i Pokoju", w rozmowie Kutuzowa z księciem Andrzejem mówi: „Dans le doute abstiens — toi". W innych i w sobie samym tego ducha zwątpienia, który jest zarazem duchem lenistwa trzeba zwalczać. Małostkowość sądu o wielkich wypadkach opiera się często na poczciwej ciasnocie umysłu, albo na sentymentalizmie, drażliwym na gwałtowne, a czasem brutalne przejawy takiego zjawiska, jak wojna. Jak są ludzie, dla których Suworow, ratujący indyka na gruzach Pragi, którą sam spalił i wyrżnął, jest dobrym, uczuciowym człowiekiem — tak samo znajdą się tacy, którzy potępią Legiony, idące do walki o Polskę, za to, że przechodząc przez wieś, rozdeptały kaczkę. To są codzienne zjawiska. Ludzi trzeba koniecznie uczyć myślenia o wielkich czynach i zdarzeniach w sposób wielki i opierający się na wielkich okresach czasu i biorący w rachubę całe lądy i milionowe rzesze ludzkie. I jeszcze jednej rzeczy trzeba uczyć — bohaterstwa.

Lovrana, 27 października.

Przypomnijcie sobie czym była Polska, kiedy Dąbrowski tworzył pierwsze Legiony i pamiętajcie, że Kościuszko miał mniej żołnierzy pod Maciejowicami, niż ich teraz ma Piłsudski! Otóż w lat 18 po Maciejowicach, szło z Napoleonem do Moskwy 60 tysięcy polskiego żołnierza, najświetniejszego żołnierza, jakiego świat kiedykolwiek widział. Dowodzi to możliwości odradzania się, wiecznej żywotności, młodości sił, tkwiącej w polskim narodzie. Ale tkwią w nim i inne, trupie pierwiastki, zaraza upodlenia niewolniczego i głupoty wynikającej z nieznajomości istotnego stanu Polski i rzeczywistego do Niej stosunku państw ościennych.

Lovrana, 3 listopada.

Co by było gdyby nie ta garść ludzi, która woła „Nie pozwalam" i idzie dalej w ocean historii z własną duszą, z własną ideą i pod własnym imieniem. Bylibyśmy robactwem tratowanym przez walczące ludy — które by nawet nie miały potrzeby uświadomić sobie, że pod ich nogami plącze się jakieś śmiecie.

Postać Piłsudskiego jest czystą emanacją dzisiejszych czasów. Zjawiła się na tle życia gotowa ze swymi celami i środkami czynu, ze swoją własną ideą i poezją.

To jest właśnie człowiek, który był konieczny, dlatego, co on czyni, staje się w sposób cudowny.

(Stanisław Witkiewicz—malarz i pisarz — urodzony na Żmudzi 8 maja 1851 roku. Zmarł w Lozanie 5 września 1915 r

Lovrana, 15 czerwca.

Pasek mówi, że w pewnei bitwie „bili się tak, że ani przedtem ani potem Polaków tak bijących się nie widziałem i nie mogło być inaczej, tak wielką potęgę przeciw sobie mając. „Im większa potęga nieprzyjacielska, tem większe męstwo i dzielność bojowa. Oto tajemnica polskiego żołnierza, czy pod Czarnieckim, czy pod Kozietulskim, czy pod Piłsudskim.

Lovrana, 6 lipca.

Ludzie małoduszni, ograniczeni, jeszcze nie przejrzeli. Przypuszczam, że ten ich pesymizm polega na niepojmowaniu tego, co jest i co stanowi siłę narodu, a co jest tylko zewnętrznym materialnym warunkiem bytu ludzkiego. Im się zawsze zdaje, że życie polskie to są kominy fabryczne, banki, buraki, pszenica, samorząd miejski i. t. p. sprawy, ważne zapewne z ogólnoludzkiego punktu widzenia, ale nie stanowiące bynajmniej Polski: że Polskę stanowi duch i czyn Polski, dusza — bez której naród nie ma spójni, nie jest narodem, a Ojczyzna nie ma granic, staje się zajezdnym domem spekulantów, mówiących po polsku: Norwid pisał, że stolica, gród Polski jest tam „gdzie ostatnia stoi szubienica". Dziś możemy powiedzieć, że tam gdzie pierwszy stoi legionista. Szczęśliwa chwila! I chodźby ich było jeszcze mniej, są oni istotną siłą Polski, są Polską. Kozietulski ze swymi 120 szwoleżerami więcej zrobił dla Polski, niż wszystkie fabryki, banki, młyny założone przez Lubeckiego, koleje budowane przez Kronenberga, niż wszyscy razem ludzie trzeźwi i realni. Czyn Piłsudskiego jest potężną dźwignią, która wyważyła z bezdni niewoli i upodlenia Polskę.

Cześć Jemu i Jego żołnierzom.

„Precz z wszelką fikcją organizacyjną — precz z wszelką doktryną wojenną! Bić się i zwyciężać można w najtrudniejszych warunkach, wyjść udaje się nieraz z najcięższego położenia, lecz dlatego trzeba namiętnie tego pożądać i jasno patrzeć, choćby w najczarniejszą prawdę, nie upiększając jej żadną fikcją i fantazją".

III. Przyczyny porażek tureckich.

Nie oddamy ani piędzi ziemi Polskiej i nie pozwolimy, by uszczuplono nasze granice, do których mamy prawo.

„Zasadą dowódcy musi być: duszę bierz, duszę daj".

VI. Dowodzenie podczas wojny.

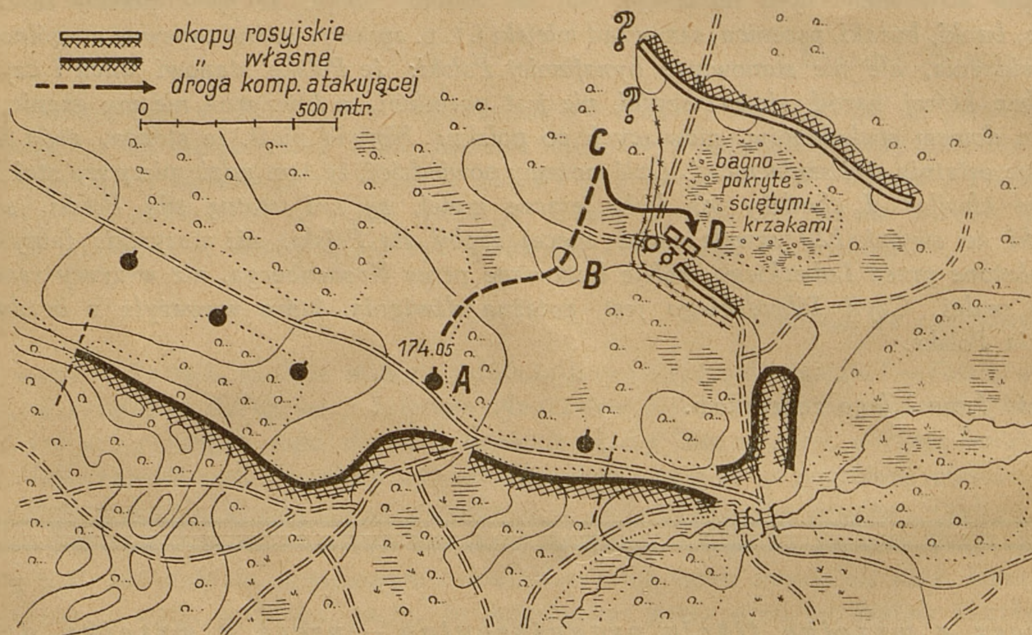
„Tak, jak konieczną jest narodowi szkoła, tak samo koniecznem jest przejście młodzieży przez wojsko. Dopiero szkoła i wojsko czynią człowieka dojrzałym, dają mu możność wykonania wszystkich obowiązków obywatelskich".

„Czy w ogniu na polu bitwy, czy w obcowaniu z otoczeniem, oficer i żołnierz ma się zachowywać tak, by w niczym na szwank nie narazić honoru munduru, który nosi, honoru sztandaru, który nas skupia".

HUGO ZIELIŃSKI

WYPAD

W końcu kwietnia 1916 r. na pozycje pod Optową-Kostiuchnówką przybyła I brygada Legionów Józefa Piłsudskiego, luzując II brygadę, która odeszła do odwodu korpusu kawalerii austriackiej generała Hauera. Na skrajnym prawym skrzydle w rejonie wsi Kostiuchnówki stanął 5 pułk piechoty podpułkownika Leona



Berbeckiego, na lewo od niego, obejmując zarazem „Redutę Piłsudskiego", ulokował się 7 pułk piechoty majora Satyra-Fleszara (przejściowo dowodził tym pułkiem major Żymierski) i wreszcie na lewym skrzydle I brygady objął pozycje 1 pułk piechoty pułkownika Śmigłego Rydza łącznie z kawalerią, 1 pułkiem ułanów, który na zmianę przysyłał do okopów spieszone dywizjony.

Były to pozycje stałe, wspaniale rozbudowane i umocnione przeszkodami i różnego rodzaju minami, przytem położone przeważnie w terenie lesistym, trudnym do obserwacji artyleryjskiej. W niektórych miejscach między nieprzyjacielem a własnymi pozycjami rozciągały się duże przestrzenie bagniste i lesiste, w innych zaś obie pozycje zbliżały się do siebie niedwie na odległości kilkudziesięciu metrów. Tak było na przykład na „Reducie Piłsudskiego".

Od chwili zajęcia pozycji, oddziały przystąpiły do zwiadów. Wysyłano noc w noc patrole, wysyłano je często i w biały dzień — na razie obserwowano pozycje rosyjskie, ustalano zwyczaje nieprzyjaciela, jego ubezpieczenia, drogi patroli. Próbowano urządzać zasadzki, lecz naprożno.

Dopiero w nocy z 11 na 12 V 1916 silnemu oddziałowi wypadowemu z I batalionu 1 pułku piechoty pod dowództwem kapitana Dęba Biernackiego udało się wtargnąć do wysuniętych pozycji ubezpieczeń rosyjskich i zagarnąć jeńców.

Przyjrzyjmy się jak wyglądały wiadomości o tym wypadzie w zachowanych dokumentach.

Pierwsza wiadomość podaną została przez komendę I brygady Leg. Pol. w postaci krótkiego meldunku sytuacyjnego (godz. 5.30):

> ....Przez całą noc prowadzono przed całym frontem silną działalność wywiadowczą.
> Wzięto 2 jeńców.
> Straty własne: 2 zabitych, 2 rannych.
> Zresztą sytuacja niezmieniona ...... [1]).

Następny meldunek z godziny 8.30 przed południem, nadany telefonicznie z komendy 1 pułku piechoty do komendy I brygady, brzmiał następująco:

> ....Oddział wysłany dla schwytania jeńca składał się z 99 ludzi I i II kompanii I baonu. Prowadził kapitan Stefan Biernacki. Wymarsz na-

[1]) Arch. Wojsk. T. 6/1. p. p. Leg. Pol.

stąpił o godz. 7,00 wieczorem. Po przejściu wzgórza 1 pluton podsunął się pod druty i przeciął je, po czym cała kompania podeszła pod same ziemianki nieprzyjacielskie. Nad ranem zaatakowano. Pogotowie nieprzyjacielskie zaraz otworzyło ogień i stawiło zacięty opór. Po schwytaniu pierwszych jeńców kompania cofnęła się........[1]).

O godz. 10,40 brygada nadała telefonogramem dalszą wiadomość o jeńcach:

...Dwaj jeńcy zostali wzięci dziś w nocy przez oddział wywiadowczy 1 p. p. pod komendą kpt. Biernackiego z ziemianek należących do obsady przyczółka, na półn. od niego.

Jeden z jeńców jest podoficerem przy K. M. 307 p. p. Drugi jest płastunem 1. wołżskiego kozackiego pułku, należy do pospolitego ruszenia, pochodzi z gub. wołyńskiej. Stoją na tej samej pozycji około 2 miesięcy.

Zeznania ich świadczą o tym, że pozycja naprzeciw przyczółka jest względnie silnie obsadzona, w skład jej wchodzi 4. sotnia 1. wołżskiego pułku kozaków i piechota, co do liczby której nie można nic ustalić.

O większych ziemnych robotach ze strony rosyjskiej nic nie wiedzą.

Kmda brygady zatrzymuje na razie jeńców dla zbadania ich za pomocą prywatnych rozmów.

Uzupełnienie listy strat: 1 zaginiony.......[2]).

Następnego dnia komenda I pułku piechoty wysłała obszerny raport z przebiegu działań kompanii zwiadowczej, napisany osobiście przez płk. Śmigłego Rydza:

RAPORT

z przedsięwzięcia nocnego z 11/V. na 12/V.[3]).

W przedsięwzięciu brały udział 3 plut. 1 komp. I/1 i 1 plut. 2 komp. I/1. Patrole obserwacyjne pod druty ros. wysłano po południu dn. 11/V. Oddział przeznaczony do ataku wyszedł ze swoich okopów o godz. 7,00 wiecz. w miejscu zaznaczonym na szkicu A. W przeciągu 30 minut doszedł pod komendą kpt. Dęba-Biernackiego do wzgórza oznaczonego na szkicu B, stąd zaczęła się przeprawa w kierunku prawie północnym po terenie bagnistym, ciężkim do przejścia. 1 pluton został na wzgórzu do obrony drogi odwrotu, w czasie akcji miał podejść bliżej ku placówce ros.

Po dojściu do punktu C oddział zatrzymał się dla uporządkowania wyczekując zupełnego uciszenia się i zamarcia życia w okopach ros.

O godz. 12,15 został wysłany w kierunku drutów ros. patrol z 6 ludzi dla przecięcia ich. Drutów nie mógł znaleźć. Komendant oddziału zdecydował się maszerować z oddziałem w kierunku ziemianek ros. D.

W odległości 100 × na północ od ziemianek natrafił na przeszkody druciane dwurzędowe przeciął je i maszerował dalej w warunkach bardzo trudnych, bo ścięte krzaki nie pozwalały na rozwinięcie się. Korzystając z dróżki wąziutkiej czy też koryta jakiegoś strumyka maszerował szeregiem. Na 15 × od ziemianek komendant 1 plut. sierżant Holinkowski sformował część swego plutonu, o ile na to teren pozwalał, do ataku i rzucił się ku ziemiance. Za tym plutonem poszła reszta oddziału. Dotychczas cała akcja odbyła się w zupełnej ciszy, bez zwrócenia uwagi nieprzyjaciela, w tym momencie dopiero wszczął się u niego alarm. Rozpoczęła się strzelanina, można przypuścić, że pogotowie ros. znajdowało się na dworze, wnosząc z szybkości jego gotowości bojowej. Pierwsza ziemianka do której dostano się po przejściu jeszcze jednej przeszkody w formie drutu kolczastego rozpiętego naokoło ziemianki, była próżną. Około drugiej rozpoczęła się walka na bagnety i ogniowa. Część Moskali uciekała z ziemianki drogą na północ.

Strzały ros. dały się słyszeć od północy od zachodniego skrzydła drugiej linii okopów ros. i od wschodu.

Kpt. Biernacki wziąwszy jeńca nie chcąc angażować się dalej wobec nastającego dnia dał rozkaz wycofania się.

Oddział powrócił tą samą drogą nie niepokojony. Straty nasze: 1 żołnierz zabity (Kaus), 1 żołnierz zaginął (nie stwierdzono śmierci, Cyprian), 2 żołnierzy lekko rannych.

Przeciwnik stracił kilku ludzi w zabitych i rannych od ognia i bagnetu.

Śmigły-Rydz, płk.

13/V.1916.

Tego samego dnia na podstawie tego raportu i prawdopodobnie objaśnień kpt. Dęba-Biernackiego został w komendzie brygady zestawiony nowy, który podpisem komendanta Józefa Piłsudskiego został przesłany do komendy Legionów Polskich:

Komenda I Brygady
Legionów Polskich

—

Nr Op. 180.

RAPORT

z wywiadu dokonanego przez oddział wywiadowczy I/1 p. p. pod komendą kpt. Dęba-Biernackiego[4]).

Oddział wywiadowczy złożony z 99 ludzi pod komendą kpt. Biernackiego wyszedł po nastaniu ciemności z pozycji 1/I baonu przez polanę przed frontem przez bagnisty las w kierunku półn.-wsch. na poprzednio zbadaną linię przeszkód rosyjskich. Oddział miał za zadanie jedynie wzię-

---

[1]) Ibid. [2]) Ibid. [3]) Ibid. [4]) Arch. Wojsk. T. 6/1 p. p. Leg. Pol.

cie jeńca. Marsz odbywał się nadzwyczaj powoli z powodu trudności terenowych (bagno i gęsty młody lasek), ciemności i obawy zdradzenia się. (Przy zbliżaniu się do drutów przechodzono 400 X na godzinę, albowiem żołnierze zapadali po kolana w bagna). O godz. 11 w nocy kompania doszła pod druty rosyjskie. W tej chwili podszedł z drugiej strony drutów na odległość około 30 kroków żołnierz rosyjski, wysłany prawdopodobnie jako „sekret" i usiadł pod drutami.

Kpt. Biernacki był przekonany, że jest zdradzony, postanowił tedy przeczekać pod drutami co zrobi podsłuch. Żołnierz przez jakiś czas kaszlał po czym prawdopodobnie zasnął. Po 3 godzinach wysłano kilkunastu ludzi dla przecięcia drutów. po czym niezwłocznie rozpoczęto przechodzenie pojedyńczo i wzdłuż drutów ku ziemiankom, cały czas w ciężkim do przejścia bagnie. Z powodu trudności terenowych kompania posuwała się w kierunku ziemianek bardzo wydłużonym szykiem. Na drogę progową wyszła kompania dopiero koło ziemianek. Wówczas sierżant idący na czele nie czekając aż wszyscy się zbiorą zebrał koło siebie kilkunastu najbliżej będących żołnierzy i wpadł z nimi do ziemianek. Przed ziemianką stał posterunek, który widząc biegnących krzyknął i uciekł do ziemianki. Śpiący w ziemiankach rosjanie momentalnie się zbudzili i stawili zacięty opór. Rosjanie starali się wyrywać naszym żołnierzom karabiny i strzelali z rewolwerów i karabinów i bronili się bagnetami; wówczas został z naszej strony jeden zabity i dwóch rannych. Wziętych do niewoli wyniesiono z ziemianek na ramionach. Rosjanie uciekali drogą progową i do placówek. Placówka ta przez cały czas zachowywała się zupełnie biernie i nie odezwała się ani razu aż do końca akcji.

Kpt. Dąb zarządził natychmiast po wzięciu niewolników odwrót tą samą drogą, którą kompania przybyła. W czasie odwrotu kompania była silnie ostrzeliwana z prawego skrzydła okopów w tyle placówki.

W którym miejscu zaginął jeden z naszych żołnierzy nie może nikt sprawdzić.

Straty rosyjskie są prawdopodobnie dość znaczne. Jeden z żołnierzy, kiedy będący w ziemiance żołnierze rosyjscy nie chcieli mu się poddać i zbili się w kupę, przybierając obronną postawę, wystrzelił do nich 8 razy z karabinu, przy czym padło kilku Rosjan.

Oddział wrócił na pozycje własne około godz. 4 rano.

Poczta polowa 118, dnia 13 maja 1916.

J. Piłsudski.

Była to pierwsza wiadomość uzyskana po szeregu tygodni nadaremnych starań o wzięcie jeńców, wiadomość która umożliwiła skontrolowanie dotychczas posiadanych wiadomości o nieprzyjacielu i tym ważniejsza, iż dowództwo 4 austriackiej armii, nadsyłając zestawienia wiadomości o nieprzyjacielu ciągle wskazywało na brak istotnych danych przed odcinkiem korpusu gen. Hauera. Nic też dziwnego że posypały się pochwały, słowa uznania. Dla wykonawców jednak najprzyjemniejszą była podzięka z ust Komendanta Józefa Piłsudskiego.

„Żołnierz polski wiele uczynił dla wyzwolenia i rozkwitu Ojczyzny. Ramię żołnierza podołać jednak wszystkiemu nie może.

Nastąpi Pokój. Są w życiu narodów i państw zmagania, które nigdy nie ustają. Polskę narówni z innymi narodami oczekuje walka we wszechświatowych zapasach o pierwszeństwo w dziedzinie organizacji i kultury.

Sprostać w tej walce najcięższej jest tym, którzy są na kresach. Na kresy bowiem spada najcięższy obowiązek reprezentowania kultury narodu.

Mam uczucie dumy kresowca, gdy organizacja i kultura mego narodu triumfują. Polska musi mieć triumfy w tej pokojowej walce. Zdać musimy wielki egzamin, by nie dać się ubiec w tym kulturalnym wyścigu. I od was zależec będzie w znacznej mierze, czy wynikiem tego wyścigu będzie triumf Polski, czy jej hańba.

Polska przez 150 lat stanowiła kresy dla państw zaborczych. Znamy, my Polacy, dobrze metody jakie stosowano na kresach. Poznaliśmy je nazbyt dobrze, abyśmy chcieli je naśladować na naszych kresach..."

(Z przemówienia w dniu 13 września 1919 r. w Suwałkach).

TADEUSZ KRÓL

EGZAMIN

Dwumiesięczne przeszkolenie kompanii szturmowej II Brygady Legionów miało się ku końcowi. Dnia 17 lutego 1918 r. mieliśmy opuścić obóz szturmowy 7 armii austriackiej w Oberscherautz na Bukowinie i odmaszerować do pułków jako przyszli instruktorzy polskich oddziałów szturmowych.

Zaszczyt dowodzenia kompanią szturmową, jaki mnie spotkał, był nie lada, bo w skład jej wchodził żołnierz specjalnie wybierany z obu pułków II Brygady, żołnierz karny, dobrze w bojach zaprawiony, fizycznie wytrwały, jednym słowem „kwiat frontowców". Kompania w sile 74 szeregowców i 4 oficerów, uformowana była w trzy plutony, dowodzone przez oficerów 2 i 3 pułku Legionów, podporuczników Mitscheina Józefa i Organa Antoniego z 3 p. p. i chorążego Matuszewskiego z 2 p. p.

Program kursu był obszerny, czas na przeszkolenie stosunkowo krótki. Był to okres pracy wojskowej, w którym z całą zachłannością pożeraliśmy wszelką wartościową wiedzę, z całym oddaniem i zaparciem się charowaliśmy z wywieszonymi jęzorami, bo tak nakazywała duma i ambicja legionowa.

Nic też dziwnego, że w początkach kursu kilkunastu żołnierzy, fizycznie mniej na trudy w twardej szkole szturmowej wytrwałych, odeszło do swych oddziałów macierzystych, lecz ci co pozostali stanowili naprawdę „elitę". Bywało nieraz, że żołnierze po powrocie z całodziennych ćwiczeń do obozu, bez posiłku jak kłody rzucali się na posłanie, mimo swej przysłowiowej zawziętości na „kocioł".

Prócz kompletnego wyekwipowania, uzbrojenia szturmowego i polowej kancelarii kompanijnej, mieszczącej się w plecaku sierżanta-szefa, nie była kompania obciążona żadnym sprzętem ani taborami. Pod względem „fasunków" i wyżywienia należeliśmy do austriackiego batalionu Chorwatów, w skład którego wchodziliśmy jako piąta jego kompania. Jedynie amunicję pobieraliśmy wprost od zbrojmistrza obozu. Tak więc „die polnische Kompagnie" jak nas w obozie nazwano, zajmowała się tylko ćwiczeniami, wolna od wszelkich kłopotów administracyjnych.

Obóz szturmowy mieścił się w m. Oberscherautz, w rozległej wsi na północny zachód od Sadogóry, w odległości około 10 km. od frontu bojowego, w dolinie od wschodu i północnego-wschodu zamkniętej lasami poprzerzynanymi jarami i wąwozami ciągnącymi się prawie do pozycji.

W tej to wsi, przeważnie rusko-rumuńskiej, oprócz naszej kompanii rozłożonych było na kwaterach 8 kompanii szturmowych austriackich, oddziały ciężkich karabinów maszynowych, artylerii, saperów i innych technicznych przynależności. Skład narodowościowy, jak zwyczajnie w austriackim wojsku najrozmaitszy o dużej przewadze Chorwatów wśród szeregowych, elementu z natury bitnego i odważnego, korpus oficerski to mieszanina Niemców austriackich, Tyrolczyków, Chorwatów, Węgrów, Czechów i jeden Polak, Benedykt Jacórzyński instruktor karabinów maszynowych.

Kompania moja rozkwaterowana była w środku wsi, w nędznych chałupach wyniszczonej i zmaltretowanej wojną ludności. Zdarzały się także kwatery, gdzie kwaterowaliśmy wspólnie z Austriakami, przedzieleni jedynie sionką. Współżycie nasze z Austriakami było zupełnie poprawne, co mogłoby się zdawać dziwnym na owe czasy, lecz jak już wspomniałem, całodzienne wymęczenie pracą w terenie odbierało chęć do jakichkolwiek ekscesów i zatargów, z drugiej zaś strony trzeba przyznać, że tych „sprzymierzeńców" specjalnie lepszą ocenialiśmy miarką, bo każdy z austriackich szturmowców był odznaczony przynajmniej bronzowym „Tapferkeitsmedaillem" za waleczność. Chciałbym tu zaznaczyć, że dla walecznych i dzielnych oddziałów nawet austriackich byliśmy zawsze z pełnym żołnierskim uznaniem. Wspomnę tu chociażby grupę obersta Pappa na pozycji „Bojan", albo ową słynną baterię Glasera, krakowianina, współdziałającego z nami przez dłuższy czas, a której należy się wspomnienie w dziejach walk legionowych. A któż z ówczesnych oficerów 2 p. p. nie pamięta, jakeśmy to na kwaterze oficera tej baterii Józka Kaziroda-Lubelskiego wino na szable leli, lub owego pięknego Rumuna Terangula, wiecznie strzegącego na punkcie obserwacyjnym baterii, na odcinku I-go batalionu? W najokazalszym, murowanym z czerwonej cegły budynku wiejskim, dawnej szkole powszechnej, tuż przy komendzie obozu, mieściła się „menaż", gdzie schodzili się oficerowie na obiady i kolacje, zwłaszcza te ostatnie kończące się późną nocą libacją, przy dźwiękach improwizowanej kapeli, złożonej z orygi-

nalnych grajków cygańskich, których nie brak było szczególnie w oddziałach węgierskich. W obszernej sali jadalnej ustawione były stoły w podkowę, przy których na środku prezydialne miejsce zajmował oberst, komendant obozu, w otoczeniu swych sztabowców, reszta oficerów grupami narodowościowymi, co zresztą także nie było już wówczas rzeczą przypadku, lokowała się na obu skrzydłach. Grupa legionowa z „Fährichem“ Jacórzyńskim miała przy stole za sąsiadów Chorwatów i po drugiej stronie sympatycznych Słowaków, żrących się ustawicznie z Czechami. Rozmowy przy stole dotyczyły przeważnie tematów z wyszkolenia wojskowego, nieraz jednak, gdy wino pobudziło krew do szybszego krążenia, wchodzono na zawiłe w konglomeracie austriackim zagadnienia narodowościowe. Wówczas grupy narodowościowe, każda dla siebie, żądały od nieszczęsnych muzykantów grania wyłącznie swojskich melodii. Z tego powodu dochodziło do scysji a nawet doszłoby nieraz do szabel i pistoletów, lecz w takich momentach czujny jak żuraw oberst podnosił z krzesła swą postać godnością nadętą, na chwilę wyjmował z ust, z grymasem przymusu, nieodstępne, wiecznie dymiące „Virginia“, pięknym, pańskim ruchem lekko strzepywał popiół i wypowiadał tylko dwa sakramentalne słowa „meine Herren“, co miało ten skutek, że swary natychmiast milkły i oficerowie bezapelacyjnie opuszczali salę menażową, udając się na kwatery.

W takich mniej więcej warunkach i otoczeniu żyliśmy spokojnie prawie przez dwa miesiące, z dala od swych pułków, od reszty świata i dzienników, zajęci wyłącznie służbą, gdy tymczasem, gdzieś na dalekich naszych tyłach przy zielonych stolikach, rozgrywały się rzeczy wielkie, doniosłe w swych skutkach.

Dnia 13 lutego mieliśmy w menaży gościa przy kolacji, specjalnie przez obersta adorowanego, przybyłego w jakiejś niezrozumiałej dla nas misji do komendanta obozu. Był to oberleutnant, pochodzący, jak się z rozmowy dowiedziałem, ze Lwowa, z którym też z tego powodu zawarłem znajomość, a po sutej, mocno zakropionej kolacji zaprosiłem mego „krajana“ na kwaterę. Gdyśmy już leżeli na wspólnej, szerokiej pryczy, oberleutnant przed zaśnięciem odezwał się do mnie sennym, nieco przepitym głosem:

— Czy ty wiesz kto ja jestem?

— ?

— Ja jestem Ukrainiec!

— wszystko mi jedno, jesteś Lwowianin a więc mój krajan i gość o czym chata bogata... reszta jest mi obojętna — odpowiedziałem.

Po chwili gość mój wetschnął i znowu mówi:

— Jutro będziesz inaczej mówił — ej! żebyś ty wiedział wszystko, tobyś ty mnie dźgnął bagnetem na tej pryczy...!

— Zalał się krajan — pomyślałem, zdmuchnąłem świeczkę i wkrótce usnąłem.

— — — — — — —

Na drugi dzień jak zwykle pomaszerowałem z kompanią na ćwiczenia, podprowadzając jeszcze tajemniczego gościa pod budynek komendy.

Był w obozie przyjęty zwyczaj, że odchodzący oddział, na zakończenie kursu przeprowadzał wzorowe ćwiczenia pokazowe. Ćwiczenia te, będące do pewnego stopnia egzaminem sprawności i tężyzny bojowej danego oddziału, zaszczycał ktoś z wysoko postawionych dygnitarzy sztabu, a więc jakiś „spec“ n. p. szef sztabu, dywizjoner, lub rzadko komendant korpusu. Ćwiczenia takie, przy użyciu ostrej amunicji, z udziałem wszystkich rodzajów broni z wyjątkiem jazdy, przy zastosowaniu najnowszych zdobyczy techniki wojennej, dawały do zupełnego złudzenia obraz prawdziwej, trudnej walki. Wówczas w ferworze i zapale bitewnym, na oczach wysokich dowódców, szczególnie oficerowie „sztandowi“ dokazywali cudów męstwa i odwagi osobistej, z których znowu kpili niemiłosiernie austriaccy oficerowie rezerwy. W rezultacie tych „bojów“, nierzadko znajdowano trupy od własnych pocisków a nigdy nie obeszło się bez lżej lub ciężej rannych szeregowych.

Na zakończenie naszego kursu miał zjechać osobiście aż sam dowódca 7-mej armii, generał Krzitek w otoczeniu świetnych „generalszteblerów“. Na samą wiadomość o tym doniosłym zamierzeniu powstał nawet w obozie chaos, dość szybko zresztą opanowany przez obersta. Na nas, jakkolwiek mieliśmy być przedmiotem obserwacji, wiadomość ta nie zrobiła większego wrażenia, o awanse nie chodziło, o ordery nie dbaliśmy, więc bez gorączki, z największym spokojem przez cały dzień przerabialiśmy poszczególne fragmenty faz bojowych, z góry dokładnie przestudiowanych. Trzeba przyznać, że takie nasze zachowanie podobało się oberstowi. Była właśnie południowa przerwa w ćwiczeniach, gdy podszedł do mnie z jakąś niemiecką gazetą leutnant Smazal (w cywilu student

filoz. uniwersytetu w Pradze) i wskazał mi naczelny artykuł, grubo czerwonym ołówkiem zakreślony, w którym były podane warunki zawartego właśnie pokoju w Brześciu. W pierwszej chwili nie mogłem dokładnie zrozumieć sensu artykułu, lecz po kilkakrotnym przesylabizowaniu tłustego druku pojąłem aczkolwiek jeszcze niewyraźnie jakąś straszliwą tragedię. Przerażał tekst dotyczący Ukrainy i jakoś bezwiednie przyszły mi na pamięć słowa wczorajszego „krajana". Właśnie trąbiono dalszy ciąg ćwiczeń, lecz stałem czas jakiś jak odurzony nie wiedząc co mam robić, poczem wstrząsnąwszy się jak ze snu przykrego, zacząłem kontynuować wyuczone czynności zupełnie odruchowo, bezwiednie, myślami będąc daleko od rozgrywającej się akcji. Sygnał trąbki zakończył ćwiczenia, zwoływano oficerów na omówienie. Po drodze podałem moim oficerom do wiadomości treść niedawno przeczytanego artykułu, chorążemu Matuszewskiemu kazałem nazajutrz z rana udać się do pułku dla zasięgnięcia języka, a tymczasem poleciłem zachować spokój i opanowanie. Wolnym krokiem, milcząc, doszliśmy do wzgórza na którym zgromadzeni byli już oficerowie austriaccy. Zauważyłem wówczas, że oczy wszystkich zwrócone na naszą małą grupkę, bacznie obserwują nasze zachowanie, usiłują wtargnąć we wnętrza naszych dusz i umysłów. Odprawa tym razem była bardzo krótka, rzadko zabierałem głos i wyczuwałem, że oberst oszczędza mnie pytaniami, jakby czegoś zażenowany w stosunku do nas.

Doszedłem do kompanii. Widocznie żołnierze coś musieli już usłyszeć, gdyż zbiórka zwykle gwarna, odbywała się milcząco i apatycznie. Parę zwrotów w miejscu, szczęk broni i ruszamy w kierunku obozu. Lecz cóż to? po komendzie „odtrąbiono" cisza grobowa panuje w szeregach, słychać tylko miarowy tupot nóg i chrzęst rynsztunku. A przecież jest to w obozie najwięcej i najpiękniej śpiewająca kompania!

W zupełnej ciszy, ciężkimi nogami dowlekliśmy się do wsi a przechodząc obok komendy, wbrew regulaminowi, jakoś mimowoli kompania pierwszy raz nie oddała honorów stojącemu przed budynkiem oberstowi z grupą oficerów.

Po przybyciu na plac zbiórki, przerobiłem jak zwykle z kompanią parę taktów musztry zwartej, poczem żołnierze rozeszli się po kwaterach.

Wieczór tego dnia przesiedziałem z oficerami na kwaterze, gdzieśmy do późnej nocy rozmyślali nad wytworzonym położeniem, szukaliśmy rozwiązania sprawy, a myśli wciąż biegły uporczywie do mglistych jeszcze, nie dawno zasłyszanych wieści z za kordonu, o kilku korpusach polskich, pod wodzą gen. Dowbora Muśnickiego...

O ileż szczęśliwsza jest I Brygada — dumałem, — oni mają Komendanta, który za nich wszystkich myśli, w proroczej wizji dawno przewidział epilog, jaki teraz dopiero nastąpił... ...a my, karpacka Brygada, wierni idei „żelaznych żołnierzy", wykluczający z naszych szeregów wszelką politykę, uporczywie dzierżący ostatnie karabiny w polskiej garści, czegoż dzisiaj doczekaliśmy?...

Od czasu do czasu któryś z nas wychodził do kwater żołnierskich zobaczyć co chłopcy robią i jakkolwiek nie było tutaj nic do powiedzenia, to przynajmniej widok dowódców, do których żołnierz legionowy miał zawsze bezgraniczne zaufanie, działał kojąco na wiarusów.

Przechodząc po chałupach, widziałem w jednych żołnierzy czyszczących broń starannie, niemal pieszczotliwie, jakby żegali tę wierną towarzyszkę tylu bojów, w innych siedzących w milczeniu, bez zwykłego rozgwaru jaki czyni młodość, beztroskie życie żołnierskie i poczucie spełnionego obowiązku. Żołnierze ze zwykłym szacunkiem podnosili się z ław, zwracali na mnie smutne oczy, które wyrażały niemy krzyk — „co się stało? dlaczego tak? co będzie dalej poruczniku?" — a ja sam byłem równie zgnębiony i pierwszy raz bezradny wobec podkomendnych.

W tę noc długo nie gasły światła po kwaterach polskiej kompanii...

— — — — — — —

Zima roku 1917/18 była dość łagodna w porównaniu do poprzednich lat wielkiej wojny. Największe nasilenie mrozów dało się odczuć mniej więcej od okresu świąt Bożego Narodzenia do ostatnich prawie dni stycznia; śniegów też dużo w tym roku nie naprószyło, zamiast śmigłych sań, na drogach bukowińskich skrzypiały koła wozów podskakujących na zmarzniętych koleinach. Już w pierwszej dekadzie lutego, zeszła z pól biała szata, spod szronu wyłaniała się czarna ziemia a tylko w zagłębieniach, po jarach i rowach przydrożnych świeciły białe plamy przybrudzonego śniegu.

Mglisty ranek zimowy 15 lutego rozpoczynał się szaro, jak szare i ponure były myśli żołnierzy wlokących się tego dnia z kwater na plac zbiórki.

Dzisiaj miała się odbyć ostatnia próba ćwiczeń pokazowych. Zdawaliśmy sobie sprawę z naszego położenia i wiedzieliśmy, że teraz te wszystkie hece wobec „sprzymierzeńców" sensu nie mają, że będziemy odgrywać rolę jakichś tragicznych aktorów, lecz wyrobione w ciągu lat poczucie dyscypliny i wysoka ambicja żołnierska, kazały wytrwać z godnością do końca.

Odbierałem raport ostatniego plutonu, gdy spostrzegłem wyłaniającą się zza opłotków chudą, długonogą postać podporucznika Stefana Stebleckiego, który widocznie zmęczony, przystając między chałupami, powoli zbliżał się do nas. Podbiegłem do niego, wiedziony ciekawością i radosnym jakimś przeczuciem, lecz Stefan z daleka położył palec na ustach na znak tajemnicy i milczenia, a gdyśmy podali sobie ręce rzekł — „przysłano mnie do ciebie z pułku, idziemy do Dowbora". — Tu już nie wytrzymałem, ucałowałem zwiastuna najmilszych wieści, poczułem ucisk w okolicy grdyki i wilgoć w oczach... A tymczasem Stefan mówił szybko— „nikt z obcych nie może wiedzieć o moim tu przybyciu, odpraw kompanię, ja zaraz muszę wracać do pułku".

Dałem znak podporucznikowi Organowi, by kompanię prowadził w pole. Cała scena powitania odbyła się na oczach kompanii i teraz żołnierze odchodząc wciąż się odwracali obserwując nas ciekawie.

Staliśmy obaj w uliczce wiejskiej oparci o żywopłot, a Stefan w krótkich słowach opowiadał mi przebieg wypadków, nastroje w Brygadzie, przewidywania nasze i nadzieje... Wczoraj, późnym wieczorem wyszedł z pułku, unikał dróg uczęszczanych, szedł na przełaj polami, po bezdrożach, błądził, często potykał się padał, aż gdzieś po północy, gdy niebo przetarło się i gwiazdy wyszły, odnalazł właściwy kierunek do Oberscherautz. Teraz dopiero zauważyłem, że jest cały zabłocony i sponiewierany. Poszliśmy na moją kwaterę, gdzie Stefan zjadł sporą porcję jajecznicy, popił „glühweinem" na prędce zagotowanym i zaopatrzony w manierkę z rumem, dla rozgrzewki na drogę, ruszył z powrotem do Mamajowiec. Odprowadziłem go za wieś i poczekałem aż chuda postać, skacząca długimi krokami po zamarzniętych bruzdach, znikła za pagórkami.

Pogwizdując z ukontentowania, raźnym krokiem ruszyłem przez wieś w kierunku placu ćwiczeń, za kompanią.

Jak to serce ludzkie zdolne jest w jednej chwili przejść z jednej krańcowości w drugą, od rozpaczy i desperacji do najwyższych uniesień radości i nie pęknie z nadmiaru uczuć! Chciałem biec za kompanią, wołać, krzyczeć lecz powaga 21-letniego dowódcy nakazywała zachować spokój i rozsądek w postępowaniu.

Rozkaz ustny, jaki otrzymałem, był bardzo krótki, streszczał się w jednym zdaniu: „dnia 15/II o godzinie 22.30 kompania szturmowa z Oberscherautz dołączy do maszerującej Brygady na zakręcie drogi z m. Mahali do Rarańczy". Sposób wykonania tego rozkazu jak i marszruta, pozostawione mojej decyzji.

Rosłem w dumę, że to ja właśnie mam wykonać to trudne bądź co bądź zadanie, zdany jedynie na własny spryt i z tego powodu byłem tak zarozumiały, że w pewnej chwili wstyd mi się zrobiło samego siebie. Idąc polem myślałem nad sposobem rozwiązania mojego zadania, coraz to nowe plany mi się nasuwały, a każdy zdawał się być lepszym. Zanim doszedłem do ćwiczącej kompanii, miałem już z grubsza ułożony plan działania i odrazu przystąpiłem do wykonywania wstępnych czynności.

Kompania małymi grupkami i patrolami szturmowymi rozrzucona w terenie, posuwała się rowami i lejami granatnimi w kierunku suponowanego przeciwnika, robiąc dużo zgiełku i huku granatami, których zupełnie nie szczędzono. Odrazu wlazłem w tę atmosferę „bitewną" i z całym zapałem, jakby reszta spraw świata niczym była w porównaniu do tego co się tu dzieje, oddałem się ćwiczeniom. Chłopcy — widziałem po ich minach — zdziwieni moim animuszem, zachodzili w głowę, co za niesamowite historie tutaj się wyprawiają, a ja formalnie szalałem; krzyczałem, poprawiałem, bez istotnego powodu kazałem kilkakrotnie powtarzać poszczególne fragmenty ćwiczeń, aż wreszcie osiągnąłem zamierzony cel. Komendant batalionu, oberleutnant Durbossics, któremu podlegałem pod względem wyszkolenia, zwrócił mi uwagę, by nie przemęczać kompanii. Tego tylko czekałem. Oświadczyłem zaraz oberleutnantowi, że z powodu niedbałego wykonywania ćwiczeń przez kompanię, zamierzam urządzić karne ćwiczenia. W zasadzie komendant batalionu nie był temu przeciwny, ponieważ austriaccy dowódcy często i z ochotą takie ćwiczenia urządzali uważając, że to podnosi dyscyplinę, ale zwrócił mi uwagę, że ludzie na jutrzejszy występ przed ekscelencją mogą być przemęczeni. Dziwili się Austriacy, że polska kompania będzie miała karne zajęcia, co się nigdy dotychczas nie przytrafiło.

Znikały kompanie jedna po drugiej schodzące z placu ćwiczeń, a my jeszcze przerabialiśmy „paradny krok". Zmrok już zapadał, gdy zeszliśmy do wsi.

Na kwaterze wtajemniczyłem oficerów kompanii o planie przejścia Brygady, poczem zwołałem starszych podoficerów na wspólną odprawę. Upewniwszy się, że w sieni ani pod oknami nikogo z niepowołanych nie ma, rozpocząłem przemówienie, drżącym od wzruszenia głosem. Przedstawiłem bardzo ogólnie dotychczasową działalność Legionów, nadzieje Narodu polskiego i cios ostatni, który w gruzy miał obalić nasze ideały żołnierskie. Podoficerowie z natężeniem słuchali mojego przemówienia; w ciasnej, chłopskiej izdebce zrobiło się duszno, mała lampka naftowa rzucała nikłe światło na twarze zastygłe w oczekiwaniu tego, co dalej nastąpi.

Był to dla mnie najuroczystszy moment w życiu!

Stanąwszy na baczność, zakomenderowałem przyciszonym głosem „baczność, do przysięgi!" Uniosły się palce prawych rąk na wysokość ramienia i wszyscy obecni powtarzali za mną cicho słowa przysięgi: „cokolwiek zajdzie, zachowam tajemnicę i wypełnię rozkazy jakie dla dobra Ojczyzny teraz otrzymam, tak mi dopomóż Boże".

Dzisiaj, gdy po 19-tu latach, przeglądam notatki i zapiski dotyczące kompanii z Oberscherautz, nie mogę oprzeć się wzruszeniu.

Dlaczego wówczas zarządziłem przysięgę, nie mogę sobie zdać sprawy, wystarczył przecież zupełnie zwyczajny rozkaz. Może do pewnego stopnia romantyczność przedsięwzięcia, osamotnienie od reszty polskich oddziałów, szalone ryzyko w razie najmniejszego błędu w działaniu podyktowało mi, aby w ten sposób zwrócić uwagę podkomendnym na niezwykłość naszego położenia.

Teraz spokojnym głosem przedstawiłem cały stan rzeczy. W oczach dzielnych podoficerów płonęły ognie, na uśmiechnięte, zadowolone twarze wychodziły rumieńce zapału do czynu wielkiego, i czuliśmy się jeszcze bardziej związani ze sobą, na śmierć i życie, gotowi do największych poświęceń dla dobra wspólnej sprawy.

Była mniej więcej godzina 16-ta, dużo więc czasu na przygotowanie do odmarszu nie pozostało. Przewidując trudny marsz nocny, i by nie zwracać uwagi Austriaków, stale wałęsających się po naszych kwaterach, kazałem ostentacyjnie porozkładać na kwaterach zbędne na daleką drogę przedmioty wyekwipowania, zabierając tylko najniezbędniejsze części mundurowe i ekwipunku.

Zbiórkę kompanii wyznaczyłem o godzinie 20 w odległości pół kilometra od północnego wylotu Oberscherautz, z kierunkiem marszu na Waslowiec, z zachowaniem wszelkich pozorów karnych ćwiczeń nocnych.

Wkrótce wszystko do odmarszu było przygotowane z wyjątkiem jednego ważnego szczegółu — zupełny brak amunicji! Po każdych ćwiczeniach trzeba się było wyliczać ze zużytej amunicji, niezużytą oddawać do magazynu zbrojowni, a pozostawienie chociażby jednego naboju było surowo wzbronione. Lecz czegoż nie dokaże w takiej potrzebie spryt i tupet leguński! Udałem się do komendanta batalionu, niby to dla omówienia jutrzejszych ćwiczeń, a uchwyciwszy moment dobrego nastroju, prosiłem go o zezwolenie pobrania dzisiaj amunicji, gdyż jutro będzie mało czasu a chciałbym z rana przerobić jeszcze jedno trudniejsze ćwiczenie. Nic nie przeczuwający poczciwy oberleutnant Durbessics po namyśle wydał mi kartkę do zbrojmistrza zaznaczając, że robi to na moją odpowiedzialność. W godzinę po tej konferencji, skrzynki ostrej amunicji i granatów ręcznych znajdowały się na wyznaczonym miejscu zbiórki.

Pozostałe trzy godziny czasu zajęły przygotowania do ostatecznej likwidacji osobistych spraw łączących nas z tą stroną frontu. A więc przede wszystkim parę słów pożegnania do najbliższych sercu, bez wielkiej coprawda nadziei, aby listy doszły do rąk przeznaczonych. Teraz następowało sortowanie „majątku" osobistego, przebieranie różnych szpargałów jak notatniki, mapy, listy, drobne pamiątki gdzieś od Karpat jeszcze noszone w plecaku, fotografie i dużo rupiecia nic nie wartego a które miały kiedyś, po wojnie przywodzić na pamięć minione lata spędzone na służbie Ojczyzny... „Skarby" pieczołowicie zbierane i tak długo chronione w marszach na słocie i skwarze, w szpitalu czy w bitwie... rzucane drżącą ręką w ogień na moment jasnym blaskiem rozświetlały izbę, by po chwili zostać tylko tkliwym wspomnieniem i kupką szarego popiołu...

Wśród moich „skarbów" miałem dwie cenne pamiątki; szablę ofiarowaną mi przez kompanię i pastelowy portret malowany przez oficera artylerii legionowej, Kazimierza Sichulskiego, artystę wielkiej miary. Niezmiernie przykro było mi rozstawać się z tymi pamiątkami, lecz zabrać je ze sobą na daleką, niepewną drogę też nie sposób. Szablę, z dołączeniem pięknej dedykacji

pozostawiłem na kwaterze z przeznaczeniem dla Durbessicsa, jako dar od Polaków, za dostarczoną amunicję, zaś portret dałem na przechowanie „gaździnie" w nadziei, że kiedyś odbiorę...

Zbliżała się pora kolacji, na której obowiązkowo musiało się być w menaży. W sali jadalnej, do której przybyliśmy z opóźnieniem, zastaliśmy już prawie wszystkich oficerów. Gdyśmy zajęli miejsca za stołem odezwał się do nas oberst „czemu przypisać, że „die polnische Herren" są dzisiaj w galowych mundurach?" Tu wyjaśnię, że „galowymi" mundurami nazwał oberst nasze „beselerki" ze srebrnymi „trzepaczkami" na ramionach. Na codzienne zajęcia używaliśmy mundurów polowych, mniej strojnych z dystynkcjami na kołnierzu. I teraz zabierając ze sobą co mamy najlepszego, przywdzialiśmy te „galowe" ubiory. Na chwilę zdetonowało mnie zapytanie obersta, lecz oto szczęśliwa myśl przyszła z pomocą. Krokiem sprężystym przeszedłem całą długość sali, stanąłem na baczność przed oberstem i siląc się na wytworność wyjaśniłem, że dzisiejszy wieczór, to nasz „Abschiedsfest" gdyż jutro, zaraz po ćwiczeniach odejdziemy do Brygady i dlatego proszę posłusznie zaszczycić nas wychyleniem pożegnalnej lampki wina. Szmer ogólnego zadowolenia przeszedł po sali, oberst podał mi rękę na znak, że łaskawie przyjmuje nasze zaproszenie.

Wkrótce partia dwudziestu butelek wina postawiona przez polskich oficerów, należała tylko do wspomnienia. Coraz nowe butelki przynoszono z kuchni, zaczęły się zdrowia i wiwaty a tymczasem w kącie grajkowie brzdąkali w struny, strojąc instrumenty.

Zbliżała się godzina 20 a pijatyka nabierała coraz większego nasilenia.

W pewnym momencie wszedł na salę podoficer z centrali telefonicznej i zameldował oberstowi, że połączenie telefoniczne z Czerniowcami jest uszkodzone. Dokładnie słyszałem słowa meldunku podoficera i dreszcz jakiegoś nieokreślonego niepokoju a zarazem zadowolenia przeszedł po mnie. — Nasi zaczęli już robotę — pomyślałem, czas więc i na nas. Wskazując oczyma na drzwi, dałem moim oficerom znak, że czas na zbiórkę. Podniósł się pierwszy Mitschein, a za chwilę Organ i Matuszewski zniknęli za drzwiami.

Pod stołem uścisnąłem dłoń Jacórzyńskiemu, który był wtajemniczony we wszystko i który też zapewnił mnie, że w razie jakiegoś nieszczęścia jego karabiny maszynowe nie będą skutecznie użyte w ewentualnej walce z nami.

Wymknąłem się z sali jadalnej i wkrótce otulony płaszczem, szybkim krokiem, nie wstępując już na kwaterę, podążyłem na plac zbiórki za wsią.

Teraz każda niemal minuta była droga, w każdej chwili mogły nadejść do obozu wiadomości o podejrzanych ruchach Legionów a co zatem idzie, pościg. W tym wypadku losy kompanii szturmowej byłyby przesądzone: ośm kompanii przeciwko jednej! Szczęściem, z pomocą przyszedł nam sojusznik — ciemna, bezgwiezdna noc!

Z trudem odnalazłem kompanię dobrze ukrytą w terenie. Do natychmiastowego odmarszu wszystko już było gotowe. Żołnierze posiadali po 140 naboi na karabin, po ośm granatów „jajowych" w plecaku i po 4 granaty „stylowe" za pasem, a więc cały zapas amunicji, jaki mieliśmy wystrzelać „na wiwat" w czasie jutrzejszych ćwiczeń wobec „ekscelencji".

Obrany pierwotnie kierunek marszu na Wasłowce a potem lasami na południowy wschód zmieniłem, gdyż spojrzawszy na ciemną masę boru bezdrożnego, pociętego głębokimi jarami uświadomiłem sobie, że z tych matni za dwa dni wyszlibyśmy. Ta chwila wahania trwała bardzo krótko, wydaję rozkaz „na lewo w tył marsz", odbijamy od drogi na jakieś 500 metrów i cicho przechodząc, defilujemy wzdłuż naszego obozu Oberscherautz. Zatrzymaliśmy się na chwilę, by poprawić rynsztunek, umocnić rzemienie łopatek, menażek i innych dzwoniących w marszu metalowych przedmiotów. Bagnetów na karabiny nie nasadzamy, gdyż blask tychże, może być z daleka zauważony a jedyną bronią przy ewentualnym zetknięciu się z Austriakami, mają być granaty i noże szturmowe.

Ruszamy dalej. Jak wilcy chytrzy, jak chmara upiorów bezszelestnie suniemy w poprzek zeszłorocznych zagonów, chciałoby się niemal na brzuchach pełzać, by tylko ominąć niepostrzeżenie oświetlone chałupy wsi. Marsz jest niesłychanie trudny i bolesny, stawiane poomacku podeszwy nóg ślizgają się po zamarzniętej grudzie, na różne strony wykręcane co chwilę stopy sprawiają szalony ból w kostkach, a o zwolnieniu tempa mowy nie ma, bo od szybkości tempa zależy powodzene przedsięwzięcia — wolność lub śmierć! A wieś wydaje się nieskończenie długa, wciąż jeszcze daleko do końca świateł. Idąc, spoglądam na fosforowe wskazówki zegarka; dochodzi godzina 21, blisko godzinę

wleczemy się dwa kilometry. Nie przewidziałem, że marsz będzie tak ciężki i zaczynam się obawiać, czy na czas zdążymy. Nareszcie mijamy wieś. Dalej tak powoli nie można iść, gdyż mamy mało czasu. Trzeba zejść na drogę prowadzącą do Sadogóry. Podchodzimy o jakieś 200 metrów do drogi i przystajemy. Podporucznik Organ z dwoma ludźmi podsuwa się do rowu przydrożnego. Dochodzi do naszych uszu zgiełk i hałas jakby ze skraju dopiero minionej wsi, widać na drodze poruszające się światełka w kierunku do Sadogóry. Nie ulega wątpliwości, że to szturmówki z Oberscherautz! Po chwili powraca Organ i potwierdza nasze domysły. Odbijamy znowu od drogi i maszerujemy jak poprzednio. Do Sadogóry jest jeszcze około 4 klm. Austriacy na drodze zachowują się głośno, czoła kolumn oświetlają sobie drogę latarkami, maszerują bardzo szybko. „Myślą nas dopędzić" szepce mi chorąży Matuszewski. Gwar na drodze jest nam na rękę, bez zwrócenia uwagi hałasem, możemy szybciej maszerować.

Szły tak koło siebie, w niedalekiej odległości dwie wrogie sobie kolumny; milcząca szczupła garstka polskich żołnierzy bez ojczyzny, przemykająca lisimi chodami do wrót wolności, osłaniana ciemnością nocy — jedynym sprzymierzeńcem, a tuż obok waliła z szumem wielekroć silniejsza, niemal że gwardia armii austriacko-węgierskiej....

Jakże kruche były podstawy zarzucanej II Brygadzie przyjaźni z potęgą państw centralnych, jakże płytkie i niskie umysły bezkarnie dotychczas usiłowały szarpać, przez całe niemal cztery lata, sławę karpackich pułków!

Z dala, coraz bardziej widać było łunę na niebie. To oświetlone miasteczko przyfrontowe, Sadogóra.

Dochodzi godzina 23.30, nie zdążyliśmy na czas! Nie nasza wina, tyle przeszkód stanęło na drodze. Przejść jednak na drugą stronę frontu musimy!

Jesteśmy około 700 metrów od miasta. Przystajemy. Widać wyraźnie, jak ciemna ława Austriaków wnika do pierwszych zabudowań Sadogóry. Dla nas innej drogi marszu nie ma, jak przez samo miasto. Chowamy rogatywki i maciejówki legionowe do plecaków, na głowy ubieramy hełmy szturmowe. Tak przebrani niczym na zewnątrz nie różnimy się od Austriaków.

Starając się nie wywoływać hałasu, ładujemy broń, następnie na karabiny nasadzamy bagnety, jako jedyną, właściwą broń w nocnej walce ulicznej. Wydaję dalsze instrukcje; przez miasto przejdziemy zwartą kolumną z tym, że w razie zaczepki zewnętrzne szeregi czwórek obrzucą przeciwnika granatami ręcznymi dla wywołania zamieszania, po czym nie wiążąc się walką, jaknajszybciej podążymy na kraniec miasta, na drogę do Rarańczy.

Zakazałem wszelkich rozmów po polsku w czasie marszu przez miasto, ci zaś z żołnierzy, którzy znają niemiecki, mają jak najwięcej i głośno rozmawiać w tym języku. Podporucznika Organa dyryguję na koniec kompanii, Matuszewskiego na pluton środkowy, sam idąc parę kroków przed czołem oddziału.

Ruszamy naprzód.

Ponuro i groźnie wyglądała ta gromada żołnierstwa, zdecydowana nie cofnąć się przed niczym, cokolwiekby na drodze stanęło!

Trafiamy na jakąś wyjeżdżoną drogę polną, którą maszerujemy szybciej już i bardziej zdecydowanie. Cisza zupełna panuje w kolumnie, tylko serca w piersiach mocniej łomocą, tylko mięśnie rąk silniej ściskają rzemienie karabinów.

Światełka miejskie coraz bardziej się przybliżają, jeszcze paręset metrów, jeszcze kilkadziesiąt kroków i oto wkraczamy do północnego krańca miasta. Na wszelki wypadek, odpinam „taszkę" mego pistoletu.

Przechodzimy jedną i drugą uliczkę. Cywilnej ludności nie widać, zapewne wystraszeni zagadkowym ruchem wojsk, siedzą w ciemnych izbach; czasem tylko jakiś ciekawski przytknie twarz do szyby, skrzypną uchylone na moment drzwi domu.

Wchodzimy na obszerny rynek. Plac jest oświetlony w wszystkich niemal oknach płoną światła. Wszędzie ruch i gwar; na środku rynku stoi masa oddziałów austriackich, broń ustawili w kozły i czekają. Wszędzie kręcą się pojedynczy ludzie, słychać jakieś komendy, nawoływania, odczuwa się nastrój nerwowego podniecenia.

Jakiś mniejszy oddziałek austriacki, tuż przed nami wszedł na naszą drogę marszu; idziemy zaraz za nim, jakby przedłużając jego kolumnę. Napięcie nerwów u nas jest kolosalne, w tej chwili ważą się losy naszego „być albo nie być", uda się czy nie uda, — jeszcze kilkadziesiąt metrów do końca oświetlonego rynku. Poprzedzająca nas kolumienka skręca teraz w prawo a my spokojnie maszerujemy dalej.

Po prawej naszej stronie stoi kilkanaście samochodów ciężarowych; któryś z podoficerów podbiega do mnie i szepce mi „czybyśmy tak

nie zabrali jakiego samochodu? przydałby się". Taka propozycja w tym momencie, to co najmniej gruba bezczelność leguńska!

Minęliśmy rynek bez przeszkód, zbliżamy się do południowo wschodniego wylotu miasta. Wszędzie po chałupach i na drodze pełno Austriaków.

Droga podnosi się łagodnie, zwalniamy nieco tempa marszu, by zachować resztę sił w nogach i trochę uspokoić rozklekotane nerwy. Spoglądam na zegarek; jest parę minut po pierwszej w nocy. Przed nami, mniej więcej o kilometr jest Stara Żuczka. Do zakrętu drogi przy wsi Mahala jest jeszcze około 4 kilometrów, a do okopów 10. Przypuszczam, że Brygada musiała już minąć Rarańczę i zapewne czołowymi oddziałami przechodzi front.

Dochodzimy do Starej Żuczki. Środkiem gościńca, od Mahali zbliża się kilku konnych. Gdy podjechali bliżej, oświetlam latarką elektryczną pierwszego jeźdźca — kapitana austriackiego. Ten, oślepiony reflektorem, zaklął głośno i skręcając koniem na mnie zawołał po niemiecku:

— Wer marschiert da?

— Sturmkompanie dreiundfünzig aus Oberscherautz — odpowiadam bez zająknienia. W obozie szturmowym faktycznie była kompania tej nazwy, złożona z żołnierzy 53 p. p.

— Zbuntowani legioniści biją się z naszymi pod Rarańczą, szybko tam idźcie! — rzekł kapitan, biorąc nas rzeczywiście za austriacką szturmówkę.

— Auf wiedersehen! — dodał ruszając dalej.

— Respekt, Herr Hauptmann — odpowiedziałem na pożegnanie, dusząc się od śmiechu.

Mijamy Starą Żuczkę, w której spotykamy stojący bezradnie przy drodze, mały oddziałek austriackich karabinów maszynowych.

Dochodzą do naszych uszu odgłosy strzelaniny z kierunku Rarańczy i okopów. Nie ulega wątpliwości, że to przebijające się pułki polskie ciężko torują sobie drogę. Podnieceni tymi strzałami, biegniemy co sił, trzymając w ręku zdjęte z pleców karabiny.

Droga teraz dość gwałtownie wznosi się aż do zakrętu na wysokości Mahali. Teren tu dobrze znany nam z poprzednich pobytów, tak, że mimo ciemnej nocy doskonale się orientujemy. W rowach przy gościńcu leżą popodcinane słupy telegraficzne, robota to naszych „druciarzy".

Wyłania się przed nami na drodze ciemna jakaś, nieruchoma masa. Zatrzymuję kompanię— kryjemy się do rowów przydrożnych. Po lewej stronie w dole mamy czarny bór, po prawej, także w dole wieś Mahalę. Wysuwam naprzód „szpicę", sam w niedużej odległości z paroma ludźmi idę za nią.

Napotkana masa, to koniec legionowej kolumny taborowej, oczekującej na rozkaz dalszego marszu. Taboryci stoją przy swoich wozach każdy, z bronią gotową do strzału. Od woźniców nic konkretnego nie mogę się dowiedzieć prócz informacji, że przed godziną była wielka strzelanina pod Rarańczą i że niedawno słyszeli w lesie na lewo, wielki ruch i nawoływania w języku niemieckim. Widząc, że tabor nie ma żadnego ubezpieczenia na końcu kolumny i świadom niebezpieczeństwa jakie wobec tego grozi od Sadogóry, pozostawiam chwilowo 3 pluton z zadaniem osłony taboru, ze szczególnym zwróceniem uwagi na zagadkowe ruchy w lesie. Reszta kompanii maszeruje dalej. Na najwyższym wzniesieniu drogi, na samym jej zakręcie, spotykam siedzącą w rowie grupkę legionistów, jacyś podoficerowie z taborów, których nie zatrzymując się informuję o pozostawionym na końcu plutonie, jak również że idę ostatni a za mną nadejdą chyba Austriacy.

Przeszedłszy kilkadziesiąt kroków, napotykamy bezładnie posuwającą się jakąś kupę ludzi, zdążającą z pola na drogę. Okazuje się, że to jest gromada rozbrojonych Austriaków, mniej więcej 100 ludzi, prowadzona przez kilku naszych „relutonów". Zapytuję najbliższego z konwojentów, co to za ludzie i dokąd z nimi idą?

— Jeńcy, zabrani do niewoli, panie poruczniku, prowadzimy ich na tyły! — brzmi dumna odpowiedź.

Odciągnąłem poczciwca nieco na bok, wytłumaczyłem mu, że tu nie mamy już żadnych tyłów a drżącym ze strachu Austriakom zejść kazałem z drogi na pole i leżeć spokojnie do rana, pod groźą śmierci. Jestem święcie przekonany, że rozkaz ten został wykonany.

Idziemy dalej w kierunku Rarańczy. Noc jest tak ciemna, że dosłownie na pięć kroków nic nie widać. Na drodze napotykamy kilku rannych nieprzyjaciół, chyłkiem przemykających się do lasu i znajdujemy rozwalonego przy rowie, trupa austriackiego kapitana.

Dochodzi godzina trzecia. Słychać pojedyncze wystrzały karabinowe ,ale gdzieś daleko za Rarańczą, jakby w pobliżu okopów. Wnioskuję z tego, że nasi musieli już przejść okopy.

Wobec tego, nie dochodząc do wsi, skręcamy w prawo i na przełaj, przez pola posuwamy się do znanego nam frontu. Nie upłynęło może 20

minut marszu, gdy prawe moje ubezpieczenie melduje o napotkanym w polu taborze 3 p. p. Dotychczas znikąd żadnych informacji o położeniu Brygady nie mogłem zasięgnąć, ogólnego planu przejścia nie znałem, lecz intuicyjnie tylko wyczuwam, że jaknajprędzej trzeba iść naprzód. Podporucznika Organa pozostawiam przy oddziale, sam zbaczam na prawo-wskos, w kierunku wspomnianych taborów. Tu szczęściem odrazu spotykam kapitana Przepilińskiego zrozpaczonego położeniem w jakim znalazły się dowodzone przez niego tabory. Opowiada, że łączności z piechotą nie ma, że wysłał do przodu patrole dla szukania drogi przejazdu przez okopy, tymczasem stoi tutaj, gdyż wozy wjechawszy po ciemku na bezdroża grzęzną, nie mogąc ruszyć naprzód. Informuję kapitana o sytuacji jaką zastałem na końcu jego kolumny, wyrażam wątpliwość, czy zdoła swoje wozy przeprowadzić i proponuję zebrać taborytów, co się da uratować ze sprzętów przenieść względnie przewieźć na lżejszych wozach. Jednak kapitan Przepiliński nie chciał pozostawić taborów w nadziei, że niedaleki świt da możność zorientować się w położeniu.

Po krótkiej rozmowie oświadczyłem Przepilińskiemu że ściągam 3 pluton, gdyż nie mam najmniejszej nadziei, by tabory przeszły. Wysłałem dwóch łączników do plutonu z rozkazem, maszerowania na okopy.

Posuwaliśmy się teraz bardzo wolno, gdyż wciąż strzelane przez Austriaków rakiety z Rarańczy i od wzgórza „Bojan" oślepiały nas i co parę kroków musieliśmy padać na ziemię.

Świt robi się już na dobre, gęsta mgła poranna ścieli się na polach. W przodzie na prawo, odzywa się artyleria austriacka, biją w okopy i na międzypola szrapnelami, potem ogień skierowują na nieszczęsne tabory, wyciągnięte długim wężem w dolinie.

Przemy dalej naprzód, pomięszani, pojedynczo, luźnymi grupkami, aby tylko wykorzystać jeszcze szarówkę niknącej nocy. Cały trzeci pluton pozostał jeszcze w tyle wielu ludzi pogubiło się wśród ciemnej nocy.

Artyleria strzela teraz daleko przed okopami, gdzieś już po rosyjskiej stronie wybuchają pociski.

Pełno tu lejów granatnich i rowów dobiegowych, które trzy lata temu własnymi rękoma kopaliśmy. Nasuwają się wspomnienia owych czasów... znamy tu każdy pagórek, każdy dół, ścieżki wydreptane naszymi stopami, gdy w r. 1915 staliśmy tutaj na pozycji...

Dopadamy do głównych, nieobsadzonych okopów, przez które niedawno przeszła Brygada. Nie zatrzymując się, przechodzimy zasieki drutów kolczastych i dalej wleczemy się ostatkami sił. Ten i ów z żołnierzy przystaje, rozgląda się, pieści wzrokiem starą, dobrze znaną okolicę, wspomina gdzie która kompania stała, skąd strzelały maszynki, gdzie stał na wedecie...

Jest już zupełnie jasno. — Doszliśmy do dawnych okopów rosyjskich. Artyleria posyła nam szrapnele na pożegnanie.

Zdala widać wyłaniające się z poza opadającej mgły pamiętne wiatraki na wzgórzu Rokitny... przed nami teren sławnej szarży ułańskiej...

Wiatraki stają się coraz wyraźniejsze, coraz bliższe i bliższe... tam właśnie wstaje słońce, w którego blask wpatrzeni, ledwie wlokący się żołnierze idą witać wschodzącą im jutrzenkę swobody...

„Zwycięstwo w boju doby dzisiejszej jest wynikiem wielkich wysiłków, trwających bardzo długo, wysiłków, w czasie których waha się szala powodzenia. Po długim zmaganiu się następuje wreszcie w boju kryzys, po którym jedna strona ulega drugiej. Jest to ów kryzysowy moment ulegania, przyznawania się do słabości, uznania przewagi zwycięzcy nad sobą.

W kryzysach więc boju zwycięstwo dokonywa się w tajnikach duszy ludzkiej. Szala zwycięstwa rozstrzyga się w sercu, woli, charakterze i w umiejętności trwania u człowieka. W kryzysie technika ustępuje miejsca charakterowi".

III. Kryzysy bojów.

JÓZEF E. SZARZYŃSKI

SEN O WIELKOŚCI

Dwa dni leżały już bataliony nasze na wzgórzach stepowych w gorącej ziemi bukowińskiej. Tuż przed nimi w obłoku okwitających grusz i jabłoni tuliła się w głębokim jarze rozrzucona magnacką dłonią Rokitna. Śmiały się do żołnierza i kwiaty srebrne w słońca poświacie i chaty świeżo bielone i ta zieleń czerwcowa, przepyszna, co pierścieniem szmaragdowym otaczała całą wieś.

Za wsią — za nieruchomymi wiatrakami, jasno-żółta taśma znaczyła nieprzyjacielskie okopy...

A był to dzień siódmy walki...

Dwa razy zwierały się myśli żołnierskie, dwa razy wiązały się stalowe bagnety w mur przedziwny, — dwa razy — rozkazowi posłuszne — sunęły szeregi w przód i dwa razy krótki rozkaz powoływał je z powrotem.

Darmo na prawym skrzydle rwał się naprzód z batalionem swoim w ukropie czynu kąpany porucznik Sokołowski, — darmo parł skrzydłem swoim, rycerskiej sławy żądny pułkownik Żegota, — padał rozkaz twardy, nieustępliwy: wracać i czekać...

A był to dzień siódmy walki...

Słońce rozpaliło powietrze i biło żarem tak wielkim, że zieleń stawała się co dnia ciemniejszą, kwiaty schły — nim z pąka rozpękły, — trawy więdły i stawały się tak szeleszczące, jak liście jesienią.

Aż dnia siódmego w słoneczne południe dojrzały myśli żołnierskie i pąki w kwiat szaleństwa rozpękły.

Skoczył z ułanów wierną garścią rotmistrz ułański Wąsowicz, by czynowi drogę torować...

— Dzień był skwarny — słońcem przesycony — trudem przeogromnym znojny — szaleństwem cudny...

— Przed okopem nieprzyjacielskim w krwawe maki rozkwitło szaleństwo polskie...

* * *

— Tejże nocy jeszcze umknął wróg cichaczem w step...

* * *

— A o świcie dźwignęły się twarde bataliony piesze, w szarą związane kolumnę i po trupach świeżych ułańskich ruszyły w pościg.

Rozwarła się przed nimi dal z nagła i ciągnęła ku sobie bezkresną szumiącą równiną, wiosenną zielenią, ciszą przedziwną, głębią widną a kresu niemającą...

Wiatr po niej chodził lekko, a słońce kładło się niezrównaną miękkością pieszczoty na pofalowane morze szarej zieleni, gubiąc się w jego ruchliwych garbach, kępach białej kaszki i szarych plamach szeleszczących bodiaków...

Jęły się oczy żołnierskie do cna przemęczone rozwierać, po kwiatach dziwnych, chwastach bujnych z dziecinną naiwną ciekawością ślizgać... Zaś gdy raz już dosięgły owej głębi w słonecznej przęśli — poszły za nimi myśli żołnierskie, odurzone raz pierwszy swobodą życia. Osypały się całe puchem kwietnym żywionych dni tyle tęsknot — stały się nieważkie jakby — lotne — słoneczne...

* * *

Szły bataliony obydwuch pułków — w szare kolumny związane szeroką, pyłem okrytą drogą besarabską. Skoczyły przodem na godzin dwie marszu ułańskie podjazdy i zatonęły w powodzi kwiecia...

W straży przedniej maszerował wypróbowany I batalion trzeciego pułku. Za nim — o stajań kilkaset — wiła się główna kolumna...

Nieprzyjaciel umykał dalej...

— Tam i sam wśród bujnej zieleni zamajaczyła w słońcu na chwilę ciemna sylwetka jeźdźca — błysnęła pika wzniesiona — pakraśniał lampas czerwony kozacki... Raz i drugi przeleciała śpiewnie nad szarą kolumną zdradliwa kula...

Witał ją żołnierz uśmiechem dobrym, bo dokoła tonął świat w przedziwnej jasności dnia i w cichej modlitwie stepu. Śmiało się zewsząd życie bujne...

— Osunęło się zmęczenie z żołnierskich nóg... Sprostował się grzbiet, ku ziemi ciężkim plecakiem tłoczony... Ciężki karabin stracił swą wagę — zatraciły ciężar ładunki...

Opuchłe — do krwi starte od buta twardego stopy przestały boleć i piec...

Zmęczone — z bezsenności i brudu czerwone oczy rozwarły się szeroko... szeroko...

— Szare kolumny szły prościuchno na wschód — jakby dłonią wskazał — szerokim szlakiem besarabskim.

* * *

Niewiadomo skąd zrodzila się wieść cudna i przebiegła w skok szarą kolumnę...

Pod Chocim!.. pod Chocim!..

Związały się myśli słoneczne z rycerskim wspomnieniem Chocima.

Tutaj=że to... tu...

— Jakiś hetman siwy szedł z rycerstwem bitnym przed wiekami, — na trawy bujne głowę kładł utrudzoną — sen cudny o czynie stalowym snuł w zachodzącego słońca godzinie...

Tutaj=że to... tu...

— O hetmanie — otośmy sławy twojej krwawej smutni dziedzice!.. Snów twoich o woli niezłomnej kapłani cisi!.. Garść przy sobie miałeś rycerstwa — ale w duszy myśl nosiłeś mocną o Wielkości Ojczyzny...

Spójrz na nas...

— Garść nas — ale takaż myśl o Wielkości w nas żyje...

* * *

Jakoś na pierwszym postoju dogonił straż przednią trzeciego pułku brygadier Zieliński i pieszo dalszą drogę odbywał...

Prosty szary mundur na nim — taż radość w oczach siwych — taki sam pył na szatach wędrówki dalekiej — taki sam znój u nóg jego.

Czapę twardą z głowy utrudzonej zdjął — siwe włosy pieszczocie wiatru poddał.

Zapatrzył się w step szeroki i myśli go naszły dziwne, jako i żołnierza w ów słońca pełen złotego dzień czerwcowy, boć nie inaczej i nie inną drogą, jeno tym samym trudem i znojem, co przed wiekami idzie przed się.

Sen=li?...

— Step przed nim szeroki i szumiący, droga prosta — trudu przeogromnego pługiem kiedyś ryta — na horyzoncie kurhany przepomniane, — kwieciem porosłe — a zanim szara zbita kolumna drobnego żołnierza i jakaś pieśń nad nią ordzewiala a przecież — jak życie — mocna.

Sen=li...

Spojrzał siwy pułkownik za siebie...

Szara za nim zbita ciżba drobnego żołnierza.

Uśmiechnęły się oczy jasne pułkownika starego, jakby w tym drobnym żołnierzu sen swój odnalazł — w spojrzeniu garści szarej — do ostatniej myśli wiernej — dumę hetmańską dojrzał...

Hetmańskim idzie szlakiem, — dolę hetmańską dzieli...

— Garści polskiej przewodzi...

— Z garścią polską wojuje...

— Tam — za nim — naród wielki, sny żywe jeszcze o wielkości — rządzenia — jako zwykle — ochota ogromna, — serc siła czujnych, — jeno ramion, coby trud na się wzięły — zbrakło...

— Jeno ramion twardych zabrakło za tobą — stary pułkowniku. — Garść do boju wiedziesz— garścią trud podejmujesz poniechany — garści przewodzisz — nieśmiertelnej garści polskiej...

— Dumny bądź — siwy pułkowniku — dumą garści polskiej.

* * *

,,,Mijali wioski ciche — przygarnięte kwieciem grusz i jabłoni — dwory białe, chaty pochylone i nędzne — a wszędzie witała ich niema cisza i pustka i martwota i lęk, co przodem — przed garścią polską szedł...

Step pod wieczór zatracił był radość w sobie... Jął się z dala oplatać zimną tkaniną liliowych zmierzchów, — miejscami płonąć krwawo lub mrozić chłodnym mrokiem...

Znieruchomiał i umilkł...

Zaginęły — zatonęły w nim pieśni żołnierskie...

— Szara kolumna szła teraz cicho w milczeniu szeroką drogą — szumiącym stepem besarabskim.

* * *

Zaś, gdy minięto wieś trzecią — a zwała się ona Dynowce — rozciągnęły się bataliony w linię bojową na wzgórzach.

Myślano zrazu, że to jeno spoczynek nocny — boć jeszcze oczy, szukające Chocima — ginęły w stepie — aliści przyszedł rozkaz, by okopy w noc robić.

Zwarł żołnierz pięści, zeby zacisnął — bo mu w duszy znagła sen najpiękniejszy się kruszył, ale że rozkazu mądrość już poznał, tedy jął skiby twarde besarabskiej ziemi odwalać.

Pracował noc i dzień, — a gdy kres pracy przyszedł — gdy strudzony chciał przyledz na ziemi — padł mu na myśli — jak kamień — nowy rozkaz.

— Odwrót.

* * *

Szedł żołnierz chmurny i milczący. Szarpał się w duszy bunt i krzykiem spierał krtań...

Smagała pręciskami wstydu bezsilna złość...

— A gdzież jest o Wielkości twój sen — żołnierzu polski?... Wyszedłeś z garścią w szumiący step i myślałeś, że przed twoim szaleństwem

bramy Chocimskie rozpękną — śpiących pobudzisz rycerzy — po sławy hetmańskiej porzucony, krwawy sięgniesz wieniec...

— Daleka jest droga do sławy hetmańskiego orszaku — daleka...

* * *

Szedł w straży tylnej, smutny odwrót kryjąc, pierwszy batalion trzeciego pułku pod groźnym majorem Minkiewiczem.

Ledwie świt zaróżowił niebo za nimi i podesłał im pod nogi zakwitający blado wrzos — ukazały się na horyzoncie oddziałki kozackie... Co chwila ginęły w bujnej zieleni i wypływały z niej bliżej... bliżej...

Pościg.

Łączyły się z sobą oddziałki owe — rozwijały groźnym półkolem i zajeżdżały na skrzydła...

Naówczas rozwinął major batalion swój w krzyż... Rzucił szare jego ramiona — widomy męki znak — daleko w step szumiący...

— Krzyżem szarym czterykroć przeciął zieleń stepu...

— Stal zimną bagnetów ukazał...

— Tak się cofa...

I owo z nagła wypłynęły ze stepu cudne opowieści o krwawej sławie hetmańskiego orszaku...

Dźwignął się z duszy nieprzepomniany sen o wielkości...

Wielkość... wielkość...

— Kiedyż stanęła ona przy siwym hetmanie— czy w dni one, gdy z garścią rycerstwa w stepy dalekie nawały tatarskie od granic polskich pędził — czyli w dzień ów przedziwnie znojny, gorący, gdy z garstką wiernych towarzyszy hardo czoło nacierającym wrogom stawiał.

— Zali w dni owe, gdy z rąk królewskich zasłużoną hetmańską brał buławę — czyli w tę chwilę ostatnią, gdy hetmańską buławę — własną krwią okrytą — Bogu na stepach dalekich oddawał, ścierając się samotrzeć z dzikim tatarzynem u modrej Dniestrowej wstęgi...

Więc cóż jest wielkość... cóż jest...

— Zali ponieśli ją towarzysze przezorni w szatach ociekających wodą na tamten brzeg rozgniewanej rzeki — czyli też tu ostała przy skrwawionym kurhanie niezłomnego hetmańskiego orszaku, ciche sprawująca warty...

* * *

Zatrzymal brygadę swoją siwy pułkownik Zieliński na wzgórzach granicznych Besarabii i rzucił przemęczone bataliony w linię. Wsparł prawe skrzydło — młodym dłoniom Januszajtisa zwierzone — o bataliony bukowińskiej piechoty pułkownika Pappa, — lewym skrzydlem Minkiewiczowego pułku opasał dąbrowę — naprzeciw cichej wioski bukowińskiej Rarańcze — i związał je pod Toporowcami z batalionem Kroatów.

Pod wieczór nadciągnął Minkiewicz z I batalionem swojego pulku. Rzucił go siwy pułkownik w lukę rozwartą pomiędzy drugim a trzecim pułkiem w obronie dwóch dróg i szumiącej poszarpanej dąbrowy.

Był zachód...

Po zboczach przeciwleglych wzgórz, tonących w purpurze słońca, staczały się w dolinę Rokitnej coraz to nowe kolumny nieprzyjacielskie. Tam i sam — za kępą drzew — czaiły się szwadrony jazdy... A dalej na horyzoncie stepu rysowały się nowe ciemne węże wojsk. Szły... szły...

Patrzył na to ponuro ukryty w stepie żołnierz polski i wiązał twarde żelazne mściwe myśli:

— Tu będę walczyć i konać!

— Nie odstąpię już w tył kroku!

— Nie stanę po tamtej stronie Prutu w ociekającej wodą szacie!

— Nie popuszczę piędzi ziemi!

...Nie doczekał wróg dnia jasnego i wczesnym świtem rzucił piechotę w bój o dąbrowę.

Był na skrzydle kompanii trzeciej trzeciego pułku jar lejkowaty, przerzynający step w poprzek, zakończony wąskim wylotem, przy którym rozsiadła się na straży kępa rozrosłych dębów. Tu — pod dębami — wiązały się skrzydłami kompanie 3-a z 4-ą — tu więź słabą wzmocnił z wieczoru jeszcze siwy pułkownik ostatnią rezerwą — garścią saperów pułkowych.

Tu najczęściej biegło trwożne spojrzenie pułkownika. Kładło się na przemęczonej linii — liczyło leżące na rzuconych w pośpiechu szańczykach karabiny, — szlo potem w daleki step, w którym kryły się linie nieprzyjacielskie i znów szło ku linii i znów liczyło rzucone na piach karabiny, obejmując troskliwie przemęczone, skulone postacie żołnierzy.

— Nie jest-że to garść polska — siwy pułkowniku?

* * *

O świtaniu — (a był to dzień 17 czerwca) — ryknęły rosyjskie baterie, ustawione na polu

chwały ułanów Wąsowicza rotmistrza. Bluznęły w twarz garści polskiej szyderczo ołowiem, — zamroczyły oczy twardym pyłem bukowińskiej ziemi hałaśliwe z sykiem pękające granaty.

Białym kwieciem pękających szrapneli osypała się z nagła dąbrowa i okryła tkaniną dymu.

Po bladym wrzosie świtu runęły do szturmu bataliony rosyjskie.

Szły — ramię przy ramieniu — wstydem piekącym gnane — bo za nimi kozactwo honoru żołnierskiego strzegło.

Zaś dzień wstawał w różanej kołysce słońca... Szare niebo rwało się w błękit, a ziemia kąpała w różaności świtu... Lekki wiatr chyłkiem — niepostrzeżenie biegał po stepie... Kędyś w trawie— daleko i blisko — grały świerszcze...

— Szły stepem linia za linią...

Targały je kule, rwały, siekły, rzucały w strzępy — to znowu zbijały w gromady bezładne, milczące, ponure.

— Szaniec polski się bronił... Darmo wróg trzymał na nim oko artyleryjskiego obserwatora — darmo głuszył stepu szemranie rozgłośnym wrzaskiem — darmo parł naprzód... naprzód...

Głucha już wówczas była garść polska... Zacięły się twarde myśli... mściwe myśli... Gniew je wiązał klamrą żelazną...

Nie było w nich ani litości — ani trwogi przed tą krwią, co wsiąkala w bujną ziemię bukowińską...

Był w nich już tylko mściwy gniew...

* * *

Aż przyszedł lęk...

Rozgorączkowana dłoń żołnierza dobyla ostatni magazynek z ładownicy...

Wbiła się w drugą — pustka...

Przetrząsnęła chlebak — pusty...

— Amunicji brak!...

I oto przyszedł na chwilę lęk... Przebiegl utrudzoną linią i myśli żołnierskie zmroził...

— I cóż teraz... cóż...

— Zginiesz! — krzyknęły powichrzone myśli.

A step wzdął się i wynurzył z siebie nową ciemną masę.

—Urra! — wrzasnęła masa, bo już tylko gdzieniegdzie padł strzał polski...

— Urra! — huknęło rozgłośnie na skrzydłach...

Runęla z wąwozu brunatna ciżba i wsparła się podstępnie klinem między milczące skrzydła kompanii 3 i 4.

Milczące skrzydła rozchodziły się coraz więcej — coraz groźniej...

W potarganej dąbrowie stał na laseczce wsparty siwy pułkownik Zieliński...

Sucha, koścista twarz starego pułkownika jakby zakrzepła i zastygła w twardej męce... Zbiegła w serce wezbrane ostatnia krwi czerwonej kropla...

...Oto iści się sen o wielkości...

Rozpiął płaszcz szary, zakurzony — i wyszedł spokojnie na pole krwawiące, by żołnierzom swoim raz jeszcze w oczy spojrzeć, by tu z nimi — pobok dąbrowy szumiącej — śluby żołnierskie dopełniać...

Idzie samotrzeć... Przy nim nachmurzony — z brózdą przez czoło wysokie — major Minkiewiecz. Pobok — młodziutki adiutant Chmielowski...

Idą wzdłuż linii ku tym dębom czterem wyniosłym, kędy to sny o wielkości jawą się stają...

Ale już na skrzydło krwawiące porwie się znojem walki przywalony — zawzięty porucznik Godziejewski...

Poszarpał mu myśli gniew...

— Na bagnety!

Z za pasa broni palnej nie bierze... Z laską sękatą — po drodze wyciętą — idzie do szturmu.

Garść za nim żołnierzy wiernych rośnie — dwoi się — troi...

— Na bagnety!

Lśniąca broń na słońcu się pali...

— W słońcu idą.

Dłoń objęła na śmierć mocno wierny karabin... Wejrzały oczy żołnierskie w zimną stal...

— Tobie honor żołnierski zwierzam — stali zimna.

— I tu — pod kępą czterech rozrosłych dębów po raz wtóry pojrzał wróg w twarz szaleństwu polskiemu i raz drugi się uląkł...

Rzucił broń i zdał się na łaskę i nielaskę garści...

* * *

Cwałem na step odkryty wypadla rosyjska bateria.

Pyszna szóstka ogierów rwała w skok na dąbrowę...

Zionęła linia ogniem...

Wspięły się pyszne ogiery i powlokły o stajań kilka armaty..

Pozostały tak milczące — nieszkodliwe do zmroku.

* * *

Rzucił teraz w bój od prawego skrzydla jeden batalion swojego pułku pułkownik Żegota. Rozwinął go groźnym półkolem i wpadł na skrzydła rosyjskie...

Nie bronił się już piechur rosyjski... Rzucał broń, ręce wznosił ku górze i szedł pokornie w niewolę.

Mijał ze wzrokiem tępo w ziemię wbitym milczącą linię polską i szedł gromadą pobok poszarpanej dąbrowy — pobok siwego pułkownika, — okrytą pyłem bukowińską drogą...

* * *

A w dąbrowie siwy stary pułkownik na laseczce wsparty patrzył w oczy pojmanemu do niewoli kapitanowi artylerii rosyjskiej — Więckowskiemu — i mówił cicho:

— A pan-eś polak i takeś mi chłopców natłukł?

— Stał pobok nachmurzony major Minkiewicz i bił się szpicrutą po cholewach...

Młodziutki adiutant Chmielowski klepał dłonią lśniącą szyję rannego kasztana...

Przed pułkownikiem w brunatnym mundurze stał kapitan Więckowski i płakał...

Słońce naówczas poczynało już opadać i step cały pławił się w krwawym złocie...

„Jeżeli porównamy wszystkie fachy i wszystkie zajęcia, które ludzie wykonywują, jeżeli porównamy wszystkie prawdy o pewnej jakiejś wartości człowieka w wykonywaniu pracy, to jest jedna prawda, która żołnierza najwyżej stawia, jest jeden fakt niezaprzeczony, który się rzuca w oczy, a który tak trudno się przyjmuje, — że żołnierz jest tą istotą, która musi żyć i umierać nie dla siebie, a dla innych".

„Żołnierz walczy i żyje dla wszystkich, podczas gdy wszyscy inni walczą o swoje jedyne interesy. Jest coś, co duszę żołnierską, gdy jest prawdziwa, podnosi, coś co go czyni piękniejszym wewnętrznie od innych, co łączy wszystkich żołnierzy w jedno — to jest symbol i emblemat narodowy".

VIII. Stosunek wojska i społeczeństwa w 1863 r.

„..W pracy człowieka na wojnie, elementarnym faktem jest fakt dowodzenia. W dowodzeniu tym faktem jest, że człowiek dowodzi człowiekiem, nigdy zbiorowymi jednostkami. Dowodzenie.. idzie od człowieka do człowieka bezpośrednio i to dowodzenie łączy dowódców wszystkich, całego wojska, w jeden łańcuch, tak że podoficer, dowodzący plutonem, słusznie może wyciągnąć rękę do swojego naczelnego wodza, mówiąc „Kolego", bo wszyscy dowodzimy".

VIII. O istocie dowodzenia.

„Dowodzenie jest rozkazywaniem; rozkaz jest aktem dowodzenia. Przed daniem rozkazu trzeba mieć decyzję, a praca psychiczna, która daje decyzję, jest jednym z najważniejszych procesów, gdyż jest robiona w niebezpieczeństwie, w niepewności, w ciągłym wikłaniu się w sprzecznościach".

VIII. O istocie dowodzenia.

„Dobre wojsko nie może istnieć bez ożywionego dobrym duchem obywatelskim społeczeństwa, którego ideały nie mogą być urzeczywistnione bez dobrego wojska".

V. Przemówienie w Verdun 6.II 1921 r.

STANISŁAW MALIK

POD JASTKOWEM

Zaiste — jak różne bywają okoliczności, w których dobieramy sobie towarzysza w warunkach życia bojowego i jak inna jest ta przyjaźń zawarta przy szczęku bagnetów, w szumie walki, przy akompaniamencie świstu kul — od przyjaźni zawartej w spokojnym życiu pokojowym.

Było to w 1915 roku. 4-ty pułk Legionów po wymarszu na front i po przebyciu kilku „namiastek" wojny w postaci wzmocnienia drugiej lub trzeciej linii — znalazł się nareszcie „oko w oko" z nieprzyjacielem. Jastków, — wczesnym lipcowym rankiem posuwamy się coraz wolniej. Coraz częściej zatrzymuje się kolumna, pewnie czoło nie znając terenu idzie ostrożnie, czując w powietrzu spotkanie. Ale ranek taki jest piękny, że nikomu w głowie nie mieści się smutek, — przeciwnie, z pierwszymi promieniami wschodzącego słońca, z kroplami błyszczącej w nim rosy — odżywamy, nabierając nowych sił, otuchy i humoru mimo kilkudniowych marszów.

Idziemy czwórkami.

Powietrze czyste, kurz jeszcze leży na zroszonej ziemi. W takt spokojnego marszu toczy się pogawędka; o czym? — wiadomo, o swoich. W pogawędkach tych wszak poznajemy się, swoje pochodzenie, przeżycia, przekonania i nastroje.

Obok mnie ramię przy ramieniu maszeruje „towarzysz". Dziwnie kojąco oddziaływa na mnie jego spokojna i zamyślona twarz. Nie jest jeszcze stary, — jednakże „chrystusowa" broda czyni go poważnym. Czuję się przy nim jak przy starszym bracie. Niedawno przybył do nas. Z cywila niedokończony profesor, gdyż przerwawszy studia, wstąpił do Legionów. Sierżant Zaręba — a wołają go Jasiek. Oprócz „chrystusowej" brody, zdobiącej jego zresztą gładką „potwarz" — ujął nas niepospolitym talentem wygrywania najpiękniejszych aryj na małych harmonijkach ustnych, które zawsze przy sobie nosił. A jaki chętny — wystarczyło zawołać: — Jasiek — zagrajno co! — i Jasiu wnet wyciąga z chlebaka małe „piccolo", wyciera z okruszynek chleba wydmuchuje resztki tytoniu i zaczyna grać. Nie widać na czym gra, bo maleństwo to znika w łapach przystawionych do gęby a jedynie drgania i ruchy każą się domyślać, że w nich coś jest, co tak rzewnie gra. Gra, wpatrzony w przestrzeń nic nie widzącymi zamyślonymi oczyma. Gra pewnie dla kogoś ukrytego w zamkniętym sercu, którego przed nikim jeszcze nie otworzył. A może dla swego marzenia tak gra? A może w marzeniach tych widzi białego orła trzepocącego nad wieżami Wawelu w Krakowie. Nie pytamy, zapatrzeni w niego, sami oddani własnym marzeniom. Polubili go wszyscy za tę grę, za tę brodę i milczącą powagę. To też idąc teraz obok niego, słuchałem jego zwierzeń i opowiadań.

Wchodzimy w las stary, dębowy, podszyty las. Przyjemny chłód oblał nasze spocone twarze. Stoimy. Cisza. Siadać! Siedliśmy przy sosobie.

— Stasiu! no co? — czy nie zdaje ci się, że dzisiaj będziemy wojować? — A no tak, — coś tam na czole niewyraźnie. — Psiakrew! — ale przecież nie słychać żadnych strzałów a w poprzednich walkach zdaleka już słyszeliśmy grzechot. — Czekaj, czekaj, wnet je usłyszysz. — Cisza przed burzą. — Coś taki dzisiaj smętny? — zapytuję. Widzisz, bo przypomniało mi się jak to dwa lata temu w taki sam ranek jak dzisiaj, siedziałem na plantach w Krakowie. — Hm — ...co za uroda! — żebyś ty widział jej oczy! — Duże, anielsko niebieskie, z wyrazem niewysłowionego wdzięku, takie dobre oczy
Pod Jastkowem (3367) 28.4 Matuszew. szp. 2
o głębokim, przejmująco czystym i niewinnym spojrzeniu. A jej głos! — jaki nadzwyczajny wdzięk! Powiadam ci: głos stworzony do wypowiadania najcudniejszych rzeczy, głos, któryby pozwolił znieść głupią paplaninę i opromieniłby urokiem najpospolitszą rozmowę. Piłem jego czar, jak się slucha tonu jakiegoś instrumentu, nie bacząc na melodię.

Zwierzenia jego przerwał krótki i cichy rozkaz: powstań! Przebiegł koło nas goniec konny, czołowa kompania ruszyła a nam kazano stać. Nadchodzi dowódca kompanii, wydaje cichy rozkaz dowódcom plutonów. Ruszamy. Każdy pluton osobno, wszystkie w lewo od drogi, do lasy. W szyku luźnym podchodzimy do skraju lasu. Wtedy odezwały się pierwsze strzały. Posłyszeliśmy pierwszy świst daleko od nas wystrzelonych kul.

— Jasiek! — nie odchodź daleko, trzymajmy się razem! — Dobra!

Dochodzimy do skraju lasu, skąd widzę otwartą przestrzeń pól z falującymi łanami zbóż. Jesteśmy nieco w dole. Przed nami około 200 m wzniesienie. Na prawo, wychodzi z lasu tyraliera — to 2-ga kompania.

— W tyraliery! Naprzód! Skokami! Biegiem marsz! — Biegniemy do wzniesienia. Łomot! — padł granat — świst się wzmaga. Zaczyna się. — Ktoś krzyczy: chor. Krajewski ranny! sanitariusz! — Podsuwamy się linią całą do horyzontu wzniesienia. Już — padamy. Rozglądam się wprzód, czy daleko do okopów rosyjskich. Leżymy na owsianym polu. Unoszę się, żeby coś zobaczyć. Przed nami otwarta przestrzeń pokryta zbożami. W odległości około 100 metrów następne wzniesienie, widzę na nim plamy piasku — jakiś wiatrak — to zapewne okopy rosyjskie.

Uch! — to jeszcze daleko.

Dochodzi mię rozkaz wzdłuż linii: sekcjami naprzód! — Podrywam się, biegnę. Widzę Jaśka, też biegnie. Znowu padamy, nie widzę go, znikł mi gdzieś w życie. Idę dalej, nie idę, lecę, skaczę jak oparzony. Docieram do jakiejś małej dolinki, w której leży własna linia. Jest i Jasiek. — Nie stało ci się co? — Nie, alem się zmachał.

Odruchowo cała linia zatrzymała się w tej dolince dla złapania tchu. Kule nad nami gwiżdżą jak osy, ale i my na nie gwiżdżemy bo one wysoko. Jeszcze nie strzelamy bo za daleko, jedynie artyleria własna nie próżnuje bo słychać przeraźliwy świst przelatających nad nami pocisków na pozycje rosyjskie. Artyleria rosyjska godnie odpowiada. Co chwila przerywa powietrze piekielny huk — to wybucha gdzieś obok lub za nami granat albo szrapnel, a my jak robaki, wgniatamy się w ziemię, unikając deszczu żelaza.

Jestem już cały mokry, piasku mam pełno w zębach, manlicher zakurzony. Podbiega do nas dowódca plutonu, chor. Roliński. — No co jest — chłopcy? —

— Odpoczywamy. No to idziemy — 2 kompania poszła już naprzód.

I znów, grupkami, po kilku, wreszcie pojedyńczo — podciągamy się coraz bliżej do okopów rosyjskich.

Sądząc z coraz ostrzejszego świstu kul i coraz wścieklejszych trzasków ekrazytówek — musimy być niedaleko. Zgiełk, kurz i huk rozrywanych pocisków wzmaga się coraz bardziej. Słońce wyszło już wysoko. Jest coraz goręcej. Zatrzymujemy się. Podsuwa się do nas chor. Roliński. — Daleko do mochów? — Klęka na jedno kolano, przykłada lornetkę do oczu i patrzy, chcąc ocenić sytuację, odległość i dać rozkaz do otwarcia ognia. Nagle słyszę przeraźli-
Pod Jastkowem (3367) 28.4 Matuszew. szp. 3
wy bo bliski świst kuli — przylegam twarzą do ziemi, chor. Roliński coś się zachwiał.

— Panie chorąży! Co się stało? — Nic, nic — zdaje się, że dostałem w rękę. — Rzeczywiście, przekłada lornetkę do lewej ręki a prawa opada bezwładnie i widzę ściekające po dłoni pasemko krwi.

— Panie chorąży! — proszę się schylić, bo biją celnie.

— Zaraz, zaraz — odpowiada — zobaczę rosyjskie okopy — i w tym momencie słyszymy drugi świst, zakończony głuchym uderzeniem. Jakby go kto kijem w piersi ugodził. Wypadła mu z ręki lornetka — zachwiał się mocno — wypluł z siebie rozkaz: „chło-opcy strze-elać" — i upadł w żyto. Zniknął nam z oczu, pokryły go falujące łany zbóż.

Świst i huk dochodzi do granic piekła. Na prawo słyszę jęk: O Jezu! — Znowu ktoś pada.

— Chor. Roliński — ranny! — Sanitariusz!

Wysunęliśmy się za daleko do przodu. Dochodzi nas rozkaz: wycofać się pojedyńczo 50 kroków do tyłu. — Jakto? — a chorążego tak zostawić? — Jasiek! czekaj! — niech oni idą a my podsuńmy się do chorążego — może jeszcze żyje.

Czołgamy, w życie — kierując się gdzie upadł chorąży. Własna linia już otworzyła ogień. — Mam. — Jasiek! chodź tu!

Leży twarzą do ziemi. Odwracam go — ani znaku życia — na piersiach w okolicy serca, czerwona plama. Potrząsam nim — Jasiek bada puls, na nic, nie żyje.

— Psiakrew! — skończyli biedaka — co robić? — Musimy wiać do tyłu, bo nas własna linia postrzela. W nocy go stąd zabierzemy.

Wracamy skokami. Na linii pytają: no co? a coby — nie żyje! Wszyscy przygnębieni i wściekli — a to dają bobu, no! Szymański zabity,z Feinkuch ranny — Drozdowski. Przez chwilę poszła po nas smutna fala goryczy, ale wnet w huku własnego ognia i świstu kul, porwala nas zawierucha walki — nie dając rozmyślać.

Okopywać się! — idzie rozkaz wzdłuż linii. Leżę w owsie, nikogo nie widzę, zasłania ich owies, ale słyszę ich. Leżąc, wykopuję sobie wnękę. po czym strzelam, celując w okienka blindaży. Odległość do okopów rosyjskich, około 150 metrów, strzały ich są celne i często śmiertelne.

W południe podsuwa się do nas dowódca kompanii i zapowiada: „zaraz zacznie nasza artyleria przygotowanie ogniowe do szturmu. — Potem szturm".

I za chwilę otwiera się prawdziwe piekło, huragan pocisków przelatuje nad nami, by okopy rosyjskie wywrócić do góry nogami. Wiatrak, który wskazywał nam miejsce okopów rosyjskich staje w płomieniach.

Na linii okopów rosyjskich widać teraz jedną wielką chmurę dymu, kurzu i ognia: Po dwugodzinnej takiej kanonadzie, słyszę na prawo: s z t u r m! s z t u r m!

Krzyczę: s z t u r m! — Jasiek! — Idziemy! — za Rolińskiego! — Bij sk....ów!

H u r r a a a!

Biegniemy oszaleli, nie słysząc już ani świstu, ani huku, a jedynie długie i przeciągłe: H u r r a a a! Brudni, podrapani, zziajani. Potykam się co chwilę, upadam na jakieś ciało. Kto to?— zabity.

Znowu biegnę, czuję niemal gorący wiatr koło siebie od syku kul. Znowu padam. Biegnę — i w końcu na odległości około 80 m od okopów rosyjskich, padam, w życie zupełnie wyczerpany.

Nie widzę nikogo. Słyszę zdala: okopać się! Wgrzebuję się w ziemię, gdyż moskale, widząc nas jak na dłoni, polują poprostu na człowieka. Żyto kryje mię zupełnie, mimo to wykopałem sobie wnękę jaką taką i czekam.

Ogień artylerii i karabinów nieco zelżał. Słyszę teraz wokoło siebie bliżej i dalej przejmujące jęki, charczenie i westchnienia. Czuję i słyszę moc rannych. Dla wielu z nich są to ostatnie chwile. Słychać wezwania Boga, matek i różnych imion. — Jakże oni cierpią!

Czując takie męczarnie naokoło siebie i nic nie widząc — jedynie gdzieniegdzie poruszające się żyto, sam cierpię niewymownie. Jestem bliski szaleństwa, — co robić?. — Zalewam się łzami.

Nagle... — przywala mię coś. Czuję ludzkie ciało na sobie. Zrzucam je z siebie, patrzę — leży obok mnie nieznany mi kolega. Blady jak papier. Potrząsam nim. Otwiera oczy i ciężko wzdycha.

— Co ci jest? — czyś może ranny? — Tak — słyszę cicho — brzuch. Rozpinam bluzę i spodnie i wstrząsa mną przerażenie i zgroza, na widok rozszarpanego brzucha. Kula ugodziła go z tyłu i wychodząc brzuchem, wyrwała dziurę wielkości dłoni. Jestem bezradny. Kiszki i jelita mu wychodzą. — Masz bandaż? — tak — w torbie. Otwieram torbę, wyciągam bandaż. Próbuję zawinąć. Ciężko go unieść. Co chwilę traci przytomność. Słyszę jego cichą skargę: kolego! — jestem sanitariuszem. — Już 22 rannych opatrzyłem i teraz mnie trafili. — Uspokój się — zawołam „łapiduchów" to cię zabiorą na noszach.

Z wielkim trudem, przy pomocy podartej jego koszuli i wszystkich bandaży, udało mi się jakoś go opatrzyć. Znowu stracił przytomność — może umarł? — Nie.

Leżałem tak koło niego, słuchając westchnień ulatującego życia i strzelając na okopy rosyjskie — naprzemian, aż do zmroku. A gdy ciemność nocy pokryła skrwawione pola i strzały ucichły nieco, wtedy usłyszałem za sobą jakiś ruch. To łapiduchy zbierali ofiary. Zawołałem ich. Zabrali go do tyłu. Pytam sanitariuszy: — co jest z plutonem? — Rozbity! — zostało nas kilkunastu.

W nocy podeszła jakaś kompania dla wzmocnienia naszej przetrzebionej linii. Strzelanina ustała. Szukam Jaśka — leżał 20 kroków w lewo, zdrów i cały ale coś mocno przygnębiony.

Całą noc przeleżeliśmy tak koło siebie, nic nie widząc, za wyjątkiem momentów gdy z okopów rosyjskich strzelały w górę rakiety oświetlające przedpole. Nad ranem, nowy dowódca plutonu pyta o ochotnika na patrol. Idziemy we dwóch z Jaśkiem.

— Podczołgacie się pod okopy rosyjskie, bo coś tam zrobiło się cicho — ani strzałów, ani rakiet. — Rozkaz!

Idziemy chyłkiem, krok za krokiem, ostrożnie i cicho stąpając i zatrzymując się co kilka kroków dla podsłuchu. Cisza. Kierujemy się na czerwone ogniki pochodzące ze zgliszcza po spalonym wiatraku. Padamy na brzuchach, cicho podsuwamy się pod same okopy. Nic. Zatrzymuje nas jakiś wał ziemny. — Acha — to blindaże. Chwilkę słuchamy. Żadnego głosu ani szmeru. Wskakuję do okopu — ciemno — potykam się na czymś, — jakiś trup. Idziemy

w prawo okopem — niema nikogo. — Brawo — zwiali.

Wracamy biegiem do własnej linii.

— Co jest — pyta dowódca plutonu.

— Niema moskali — uciekli — okopy próżne! — Nie wytrzymali!

Tak zdobyliśmy okopy rosyjskie pod Jastkowem. Rano, wschodzące słońce zastało nas w czasie smutnego obrzędu: grzebaliśmy nieodżałowanej pamięci chorążego Rolińskiego i wielu, wielu kolegów. A gdy w pościgu za moskalami, znów maszerowaliśmy z Jaśkiem koło siebie, nie było ochoty do pogawędki, na widok zmniejszonego plutonu.

Zmieniliśmy się bardzo.

Przeżyliśmy chrzest ogniowy.

„Dobre wojsko nie może istnieć bez ożywionego dobrym duchem obywatelskim społeczeństwa, którego ideały znowuż nie mogą być urzeczywistnione bez dobrego wojska”.

„Nie oddamy ani piędzi ziemi polskiej i nie pozwolimy, by uszczuplano nasze granice do których mamy prawo”.

„Tylko rzeczy własnemi rękami robione posiadają istotne znaczenie”.

„Jedna silna wola porusza wszystkie słabe”.

„Wojna inaczej nie może być prowadzona pomyślnie, jak jeno wtedy, gdy się wojsko zlewa w swoich wysiłkach z wysiłkami całego narodu, całego państwa, będącego w stanie wojny".

VIII. Stosunek wojska i społeczeństwa w 1863 r.

„Wojsko ma dwie stałe podstawy dla swego codziennego życia, podstawy krępujące nadzwyczajnie każdą indywidualność. Pierwsza z nich — to rozkaz, rozkaz wymagający posłuszeństwa; bez niego każde wojsko jest zerem i ulega szybkiemu rozkładowi. Druga to służba, ciężka codzienna służba żołnierska".

V. Przemówienie w Krakowie 19.X 1919 r.

„Zarówno w najradośniejszych, jak najcięższych chwilach żołnierz musi być opanowanym i zrównoważonym, zdolnym do wykonania swego zadania w porządku i dokładnie".

V. Pierwszy rozkaz do Wojska Polskiego 12.XI 1918 r.

„Niech każdy żołnierz, zacząwszy od najwyższego dowódcy, kończąc na najświeższym rekrucie. pamięta, że od jego sumienności w pracy, od jego wysiłku zależy, czy zabezpieczymy narodowi to, czego po nas, żołnierze, naród spodziewać się ma prawo — niezależność i pełną swobodę urządzenia się po swojemu w wolnej Ojczyźnie".

V. Rozkaz noworoczny 1.I 1919 r.

ADAM DOBRODZICKI

NIEDOSZŁA ULINA WIELKA

Potyczki nasze i „strzelane" boje pod Kowlem w jesieni 1915 r. mogłyby nie mieć w życiu naszym znaczenia, gdyby wszystkie razem nie stanowiły ram do daleko idącego zamysłu Komendanta, i gdyby nie ujawniały tak dobrze ówczesnego nastawienia psychicznego w I Brygadzie.

Wzgardliwe odnoszenie się do t. zw. sympatii narodów było u nas odruchowe. Odwalane były jednym słowem. Przecie jasne, czym było obdarzanie naszej sprawy zatroskaniem zaborców, i dla jakich rachub wygrywać nas chciano. Niemców gorszyła brutalność rosyjskich zniszczeń, gdy innych, z dalszego świata, gorszyły niemieckie poczynania nad Wisłą. Chciano wygrywać naszą nienawiść, tylko nie chciano uznać, że nienawiść ta na obie strony była jednako ugruntowana. Dla narodów wolnych przestaliśmy być w ogóle narodem. Odwykli już dawno od patrzenia na nas, jako na wartość, która może własny byt stworzyć. Rozrzewniano się nad nami co najwyżej, jak nad gnębioną masą ludzką, jak długo to rozrzewnianie można było przerabiać na własny rachunek.

Byliśmy z tym wszystkim dostatecznie otrzaskani. I właściwie nie wiele nam to przeszkadzało w pracy nad odradzaniem w narodzie tradycyj bojowych. Dokuczliwszym przecie było zmaganie się ze strachem przed ruchem we własnym narodzie. Byliśmy aż nazbyt niewygodni i niestrawni dla wszelkich wiernopoddańczych uczuć. Bano się każdego zalążka niezależnej pracy polskiej, jak gdyby w przewidywaniu kłopotów, jakie sprowadzi jej likwidowanie. Ale upór wytrwania i właściwą nam przekorę najskuteczniej mogło zasilać coraz liczniejsze zgłaszanie się do szeregu chłopców, których z wyglądu możnaby raczej posądzać, że nigdy imienia Polski nie słyszeli. Bo cóż innego mogło lepiej ujawniać, że szarpaliśmy jakieś głęboko utajone struny duszy prostej, że szaleństwo nasze zazębiało o grunt prawdy nie skażonej wyrachowaniem? Szliśmy zaprzepaszczonym niby marszem, ale byliśmy przecie zapowiedzią, która pozostawiała posiew. Narzucaliśmy wszystkim zaciągnięcie długu wobec nas. Nasze cierpliwe mieszanie błota na wszystkich drogach było przecie najsolidniejszą odpowiedzią na przemądrzałe wątpliwości, którymi chciano nas otoczyć. Przyznajmy, iż w takich warunkach najbardziej dręczącą była myśl, że koniec wojny jest bliski. Gdy się tak męcząco maszerowało wciąż naprzód, to każdy dzień, w którym nie napotykaliśmy na poważniejszy opór, urastał do znaczenia groźby, że siły przeciwnika się wyczerpują, że koniec wojnie już bliski, gdy siłe nasze na tę właśnie chwile najważniejsze, wciąż jeszcze były nikłe. Bo cóż, że już zaistniało imię polskiego żołnierza, gdy tego żołnierza było tak mało.

W szeregu naszym była spokojna pewność siebie i gotowość, która nie potrzebowała się ujawniać w słowach. Chciało się jakiegoś wyczynu, który ludzie żyjący w sferze strat prywatnych, przezwaliby skokiem w stratosferę, byle oderwać się od tych, co „czyn radziby widzieć w czynownictwie".

Kogóż z nas wzruszały wówczas jakieś tam Sekunie, myślińskie łąki z Kubańcami, uganianie się za nieprzyjacielem w Serechowickich lasach czy Gołowickich Potokach? Bagno Lute czy Uroczyska Czerewachy, jak się tam zwą — albo bili się czy się nie bili — zwało się Łapnie czy Obłapy — przeszkadzało jezioro czy przeciwnik się wymknął — wszystko to razem było bez znaczenia. Przemijały Niesuchoiże i Grabowo, Błota Soroczymoch i Karpitowskie Bagno, tuzin potyczek więcej czy mniej, przed sobą czy za sobą, wszystko to razem spływało po nas jak deszcz.

Ważnym było tylko to, że Komendant wrócił do Brygady, która była dojrzałą by pójść z zupełną swobodą na drogi najbardziej nawet nieprzewidziane.

Z niezamąconą jednostajnością był w szeregu bunt przeciw cesarsko-królewskiej Polsce mniej lub więcej okrojonej, z mniej lub więcej autonomiczną służbą w interesie tych lub innych wrogów. Roiło się w głowach żołnierskich jakieś brutalne uderzenie. W nastawieniu myślowym zaznaczało się dręczące oczekiwanie jakiegoś gwałtownego ruchu. Rozszerzała się w szeregach przekora. W służbie najspokojniejsi nawet żołnierze fałszywie meldowali o rzekomo zjawiających się patrolach kozackich. Na placówkach zrywały się strzelaniny w krzaki. Wszystkie wiadomości o utarczkach z nieprzyjacielem witano z miną złośliwą wtajemniczonych, którzy widzieli w nich tylko zakłamanie,

jakby zamącanie położenia było podświadomym nakazem.

To odruchowe współdziałanie z zamącaniem wglądu w prawdę, pochłonęło tyle wzburzonych namiętności, że już na zawsze utarczki i walki na odcinku Kowla pozostały w pamięci naszej tylko planowanym pozorem.

W takich nastawieniach psychicznych podeszliśmy do Stochodu. I w takich nastrojach w szeregu, Komendant przesądzał decyzję wyłamania frontu ,oraz przemarszu w skali tak wielkiej, że zbladłaby pamięć Uliny Małej.

Wyłamanie frontu przeprowadzone pod Uliną Małą było podważeniem woli cudzej przez narzucenie własnych naszych celów, było buntem przeciw wyzyskowi sił. Przejście pod Uliną Małą uchyliło nas od krwawienia się dla osłony ziem cudzych przed grożącą inwazją, a pozwoliło skupić siły na drodze celów własnych. O ileż bardziej dalekosiężnym było zamierzone wyłamanie frontu na Polesiu.

Gdy w dziesięć lat potem Marszałek Józef Piłsudski we wspomnieniu „Czeremoszno" określa marsz Brygady na Stochód, jako marsz ku wyłamaniu frontu, to czyż wagę tego wyłamania nie dość określają Jego własne słowa:

„Otwieram w dziwaczny sposób nową kartę historii naszej".

„Idziemy dzisiaj w niewiadomą przyszłość", połamawszy wszystko, co jest rozkazem w wojsku, co jest służbą na wojnie. Idziemy sami ku nieprzyjacielowi, nie szukając nigdzie ani oparcia, ani pomocy".

Mógł ważyć się na to Komendant, ponieważ wzgardliwa gorycz przeciw ponownemu handlowaniu Polską, w szarych szeregach żołnierskich wytworzyła gotowość przekraczającą miarę Uliny.

Szara Brygada szła w niewiadome.

I przyszły zmagania równie znane, jak i długo nierozumiane.

Pospieszne skupianie sił, i gorączkowa, dręcząca ciemna noc przedzierania się przez rzekę. Niepowodzenie wypadu na Czersk, rozbieżność ruchu na odcinku Bereźnicy, rozmijanie się nasze w nieznanym lesie i związanie sił w boju pod Hulewiczami.

Noc dała zawód.

Kiedy już po wojnie, w gromadzie rozpamiętywano te dni, w rozmowie poobiednej, Naczelnik Państwa rzucił uwagę: „Straciliśmy czas; potem — dobrze że się nie udało... wpadlibyśmy na korpus niemiecki, który za frontem walił od północy; byłoby za ciężko..."

I dla tej tylko uwagi notuję wspomnienie o niedoszłej wówczas przeprawie.

„Wojsko jest stworzone dla wojny i każdy z was uczyć się musi nie czego innego, jak prowadzenia wojny. Na tym polega nasza praca, do tego was się przyzwyczaja, do tego was się wciąga".

VIII. Stosunek wojska i społeczeństwa w 1863 r.

Wyroki Stwórcy skazują ludzi na tę ziemię rzuconych na mozół i trud wielki, by z ubogiej gleby jak ta sosna życie wydobywali, by byli w trwałości pracy niezmienni, jak zieleń wieczna koron drzewnych, a na straż swej ziemicy wysyłali silnych, co w burzy się nie zegną.

Trzeba mieć silną wolę i pewność siebie, a przyszłość jaśniejsza będzie, niż smutne nieraz „dzisiaj".

„Dowodzenie na wojnie jest czymś innym, niż jakiekolwiek dowodzenie, wymagające posłuchu. Istnieje bowiem jeszcze jedno zjawisko — zjawisko, nieodłączne od wojny i nieodłączne od rozkazodawstwa na wojnie. Jest nim rozkaz, noszący w sobie zarodek śmierci".

VIII. Naczelny wódz w teorji i praktyce.

ANTONI JAKUBSKI

Z PRZEŁOMOWYCH DNI

Dziś niemal każdemu legioniście wydaje się, że termin „legionista" i „piłsudczyk" to niemal synonim; wydaje się, że on sam bez względu na to, jaki stopień wojskowy przypadł mu w Legionach, stawał się ipso facto poważnym czynnikiem w dziele tworzenia wojskowości polskiej, a tym samym w dziele odbudowy państwa polskiego.

A jednak rola Legionów tylko częściowo została wypełniona. Dziś może za wcześnie jeszcze na pełne krytyczne naświetlenie faktów składających się na tę gehennę, którą przejść musiała twórcza myśl Komendanta, zanim ucieleśniła się w coraz silniejszym, zwartszym i pełniejszym wyrazie wewnętrznego dojrzewania, co przybrało ostateczną formę, w znanej powszechnie doli Legionów.

Z jednej strony działała potęga woli, myśli i serca jednego Człowieka, tajemniczego dla oficjalnych kół polityki polskiej, a tym więcej dla naczelnych sztabów mocarstw centralnych, którego plany przecież musiały im być w zarysie znane, które ich niepokoiły i ich mozolnie opracowane zamierzenia na terenach zdobycznych dawnej Polski wręcz przekreślały. To też druga strona dokładała wszelkich starań, by w Legionach doprrowadzić do rozdźwięku, zmóc rozkwitającą akcję niepodległościową, po prostu złamać człowieka, który Legiony stworzył, a same Legiony nagiąć pod czysto wojskowe wpływy naczelnego dowództwa armij sprzymierzonych, jako instrument bezwolny i bezkrytyczny.

I oto okres ten, rozgrywający się w postaci dramatycznych nie raz zmagań, nierzadko między ludźmi sobie najbliższymi, dotąd nie znalazł należytego opracowania historycznego, a wielu z nas dotąd utrzymuje się w błędzie co do roli, jaką w owych czasach spełnili.

Szóstemu pułkowi przypadła w owej dobie niepowszednia rola. Może to, co powiem, będzie dla wielu kolegów pułkowych niespodzianką, ale mam prawo stwierdzić, że jeśli szósty pułk został wcielony do pierwszej brygady, jeśli mu przypadła wyjątkowo zaszczytna, wprost niezwykła rola, to źródeł tego zjawiska dopatrywać się należy nie tylko w fakcie wspólnych walk odbywanych z pułkami pierwszym i piątym, ale przede wszystkim, a może wyłącznie, w historycznym fakcie, iż w dobie przesileń wewnętrzno-legionowych szósty pułk ani razu się nie załamł, ani razu nie zawiódł planów Komendata, lecz dumnie i ofiarnie strzegł wielkich haseł, które tylko ochotnie wyczuwał, bo w formie rozkazów nie mógł ich otrzymywać.

Stąd rola pułku była niezmiernie trudna i przykra i jeśli wybrnął z niej zwycięsko, to tym większa jego zasługa, tym dziś większa nasza duma.

Przypomnijmy sobie koledzy ówczesną sytuację.

Za zgodą polskiej reprezentacji politycznej i przy pomocy NKN-u dowództwo austriackie stworzyło trzecią brygadę Legionów w tym celu, by obniżyć wpływy i znaczenie Komendanta, któremu pozostawiono jedną tylko brygadę i starano się wszelkiego rodzaju szykanami osłabić Jego stanowisko, — jeśli by się tylko dało — chętnie wyzuto by Go nawet z Komendy Jego własnej brygady. Oto był plan austriacki zniszczenia w zarodku wszelkiej samodzielnej polskiej myśli wojskowej. Trzecia brygada, której większość sztabu stanowili obcy oficerowie, miała być w rękach władz austriackich narzędziem do wykonania tych zamierzeń. A pamiętacie, nasz pułk miał, nie bez przyczyny — można powiedzieć, najmłodszych oficerów. Przecież kompaniami dowodzili nieraz chorążowie, którym obiecywano szybki awans, a dwoma batalionami dowodzili zrazu oficerowie austriaccy. Wszystko, zdawało się, sprzysięgło się na dokonanie bez przeszkód zamierzonej akcji.

Tymczasem stało się inaczej.

Nie w drodze rozkazów, nie w drodze jakiegoś przymusu, lecz z własnej woli, z własnego wewnętrznego popędu obudził się właśnie w najmłodszym pułku legionowym ten niezapomniany, potężny zryw, który mimo bolesnych ciosów, jakie w represjach spadły, doprowadził do cudownych chwil, jakie każdy z nas mógł przeżywać i jakie zadecydowały o roli pułku i Legionów w historii narodzin armii polskiej.

Pamiętacie koledzy cudowne chwile, gdy szósty pułk przywdział w pierwszych dniach lipca 1916 roku czerwone wężyki, właśnie w momencie, gdy Komenda Legionów wydała rozkaz o wprowadzeniu jednolitych odznak wedle wzoru austriackiego. Przypomnijcie sobie, że byli między nami tacy, którzy uważali to za awans

ofiarowany Legionom za ich bitność wobec wroga. I oto szósty pułk nie tylko rozkazu nie wykonał, ale ustroił się w „czerwone maki", jak później śpiewał o tym pieśniarz pułkowy, i co w piękną melodię ubrał nasz kochany kapelmistrz pułkowy.

Pamiętacie przegląd pułkowy w dniu 2 lipca 1916 r. przez komendę trzeciej brygady, a w godzinę później na wezwanie płk. Grzesickiego ponowny przegląd przez gen. Puchalskiego? Czy pamiętacie moment, gdy pułk witał nadjeżdżającego dowódcę hymnem „Jeszcze Polska nie zginęła"; jak ten kazał muzyce przerwać i drżącym z oburzenia głosem domagał się odegrania państwowego hymnu austriackiego? Jak kapelmistrz Sidorowicz meldował spokojnie, że muzyka szóstego pułku nie umie grać hymnu austriackiego na pamięć i że nut nie posiada? Pamiętacie, jak polanka pod Nowym Jastkowem zakwitła od czerwonych wężyków pułku. Represje nie długo kazały na siebie czekać Szósty pułk zdjął odznaki, ale solidarnie z innymi pułkami żadnych innych odznak nie przypiął. Dowódca pułku ppłk. Norwid został aresztowany ,odesłany do Maniewicz i tam oddany pod sąd polowy. Mnie, jako uwikłanemu już poprzednio w szereg zatargów z dowódcą trzeciej brygady płk. Grzesickim i zawieszonemu już poprzednio w czynnościach adiutanta pułku, przypadła tym razem lżejsza rola odpowiadania przed sądem polowym z wolnej stopy.

Dowódcą pułku został mjr Galica, adiutantem por. Łubieński.

Wypadki przyjęte zostały przez pułk z godnością i spokojem.

I oto w tym momencie przeżyłem zajście, które wśród innych wręcz wstrząsających wypadków, przecież niezmiernie wyraziście utkwiło mi w sercu i pamięci. Momentu tego, póki życia mego nigdy nie zapomnę i w momencie tym nieraz później, znajdując się również na rozdrożach życia, szukałem otuchy i rozwiązania.

Oto major Galica, znajdując się w niezmiernie trudnym i przykrym położeniu, wysyła mnie do Komendanta, by Mu zameldować o sytuacji pułku i odebrać od Niego rozkazy, czy ma objąć dowództwo pułku i w ogóle co pułkowi i jemu samemu czynić należy.

Pełniąc rolę łącznika między płk. Śmigłym a szóstym pułkiem i tym razem wyjechałem niezwłocznie wprost do Komendanta, do miejsca postoju dowództwa pierwszej brygady. Wpadłem tu jak bomba. Wstrzymują mnie wprawdzie, o ile pamiętam ppor. Nałęcz i Sulistrowski, przekładając mi, że Komendant właśnie ma ważną odprawę. Odpowiadam, że sprawa nie cierpi zwłoki i wpadam do środka.. W obszernej izbie panuje tłok niezwykły. Szukam oczami Komendanta i w krótkich urywanych słowach melduję o zajściach w szóstym pułku. Komendant cierpliwie wysłuchał i tonem spokojnym, jak gdyby chodziło o drobiazg. powoli i cicho wypowiedział tylko te tak pamiętne dla mnie słowa:

„Dziękuję. Major Galica winien dobrze wiedzieć, co ma zrobić". Po czym, jak gdyby nic nie zaszło, wrócił do przerwanej odprawy. Wróciłem. Słowa usłyszane wydały mi się zrazu rezygnacją ze strony Komendanta z możliwości liczenia na szósty pułk, a może w ogóle z nadziei udania się zamierzonych planów wyodrębnienia grupy legionowej z wojska austriackiego.

O ślepy i krótkowzroczny człowiek! Jak mogłem tak myśleć!

Najbliższe już wypadki zorientowały mnie jasno i zdecydowanie. Zrozumiałem, że metoda Komendanta to nie droga wydawania rozkazów, to nie droga uwalniania ludzi od odpowiedzialności za współudział w akcjach, ale że to droga wewnętrznego dojrzewania, to droga wyrabiania charakterów, to droga najwłaściwsza, bo kto raz dobrowolnie i świadomie na nią wstąpił, ten nigdy już z niej nie zszedł, bo prowadziła ona zawsze do najlepszych rozstrzygnięć i najwłaściwszej inicjatywy. W tych warunkach -- zrozumiałem — dlaczego Komendant może liczyć na swoje najbliższe otoczenie i skąd to pochodzi owa siła promieniująca na coraz dalsze i dalsze kręgi. I oto już w owych czasach stało mi się jasnym, że wielkość Komendanta to nie tylko dzieło bezpośrednie Jego pracy i życia, ale to cud właściwy tylko geniuszom, obdarzonym umiejętnością oddziaływania na masy i kierowania ich nieraz nieporadnymi posunięciami.

Honor nasz powinien polegać na służbie. Komu zaś służymy — służymy Ojczyźnie. A służba jest niczym innym, jak słuchaniem praw przez Ojczyznę dla Ojczyzny ustanowionych.

JAN PUDEŁEK

KOMENDANT O VI BAONIE

We wrześniu 1920 r., po zwycięskim odparciu bolszewików z pod Warszawy i odepchnięciu ich poza linię Bugu, Naczelnik Państwa i Naczelny Wódz, Komendant J. Piłsudski wyjeżdżał na odprawę dowódców armii do Brześcia nad Bugiem.

Komendantowi towarzyszyli w tej podróży: ś. p. gen. Rozwadowski Tadeusz, ówczesny Szef Sztabu Generalnego, płk Szt. gen. Piskor Tadeusz, ówczesny Szef Oddziału III-go (Operacyjnego) Naczelnego Dowództwa, ś. p. płk Stachiewicz Julian, ś. p. kpt. Andrzej Nałęcz-Korzeniowski i porucznik Jan Pudełek z Kancelarii Wojskowej Naczelnika Państwa.

W chwili, gdy pociąg ruszył punktualnie o godzinie 0.05 z dworca głównego (stała godzina wyjazdów Naczelnego Wodza na front), Komendant przeszedł z wagonu salonowego wraz z gen. Rozwadowskim do wagonu restauracyjnego, w którym przy herbacie zgromadzeni byli towarzyszący Mu oficerowie.

W świetnym humorze, zresztą jak zwykle, gdy opuszczał Warszawę i wyjeżdżał na front, opowiadał Komendant gen. Rozwadowskiemu jeden z „kawałów" legionowych z życia VI-go Baonu I-szej Brygady Leg. Pol.

„Była jesień 1915 r.", opowiada Komendant, „gdy I-sza Brygada była rozparcelowaną na dwie grupy, z których jedną w składzie: 1. p. p. oraz V i VI baony I-szej Brygady dowodził Śmigły pod Czartoryskiem, drugą w składzie: 4. i 5. p. p. leg. dowodziłem ja pod Kołkami. Rozdzielone oddziały I-szej Brygady ciążyły oczywiście ku sobie i dokładały wszelkich starań, by jak najprędzej się połączyć. Udało się to dopiero późną jesienią i oddziały I-szej Brygady pod Śmigłym otrzymały rozkaz dołączenia do mojej grupy pod Kołkami".

„Przed przymarszem oddziału Śmigłego nawiązałem kontakt z Komendą Placu w Kołkach i po długich targach uzyskałem przydział kwater dla jednego batalionu. Więcej zdobyć nie mogłem, na Polesiu bowiem był duży brak kwater spowodu rzadkości osiedli. Kwatery te przeznaczyłem dla najbardziej zmęczonego i wyczerpanego wskutek ostatnich, ciągłych i ciężkich walk Baonu VI-go. O decyzji tej zawiadomiłem komendanta baonu, Fleszara i poleciłem mu zająć kwatery, po uprzednim porozumieniu się z komendą placu".

„Wśród deszczu i śniegu, w błocie po kostki, maszerował baon do Kołek. Żołnierze, wyczerpani dotychczasowymi bojami, przemoknięci, obłoceni, wygłodzeni, zmęczeni ciężkim i długim marszem, z trudem dobrnęli do Kołek. Kolumna zatrzymała się na ulicy między domami, przeznaczonymi na kwatery dla VI-go Baonu, a zajętymi przez Austriaków i Niemców, którzy wzdragali się opuścić te domy. Wobec tego komendant baonu odjechał do komendy placu, by, zgodnie z mym rozkazem, porozumieć się co do kwater".

„Żołnierze, pozostawieni w kolumnie czwórkowej w błocie, na śniegu i deszczu, cierpliwie oczekują na powrót swego komendanta. W pewnym momencie, gdy czekanie przedłużało się, nakładają bagnet na karabin, kolumna łamie się i jedne dwójki atakują zakwaterowanych z jednej strony Austriaków, a drugie Niemców, zakwaterowanych po przeciwnej stronie ulicy. Zgiełk, hałas, krzyki i baon jest zakwaterowany, nim zdążył komendant baonu wrócić z komendy placu. Żołnierze nie zapomnieli przy tym o wygodnej i jak najładniejszej w tamtych warunkach kwaterze dla komendanta baonu".

„Ponieważ przy tym sposobie zakwaterowania nie obeszło się bez użycia broni, przeto nic dziwnego, że między napadniętymi była spora ilość poturbowanych i kilku rannych; ucierpieli zwłaszcza Austriacy".

„Nie ulega wątpliwości, że nie mogłem", opowiada dalej Komendant, „przejść nad tym zajściem do porządku dziennego i zmuszony byłem zrobić baonowi wymówkę. Sprawy to jednak nie wyczerpało. Za ten, tak rzadko praktykowany, system obejmowania kwater, zwłaszcza od „sprzymierzeńców", należała się tym „sprzymierzeńcom" jakaś satysfakcja" — dodaje z humorem Komendant.

„To też wybrałem się z wizytą, najpierw do komendanta odcinka austriackiego, płk. artylerii, Polaka, by za incydent, spowodowany przez moich żołnierzy, wyrazić mu ubolewanie. Pan pułkownik wprawdzie wyrazy ubolewania przyjął, ale zaznaczył przy tym, że jest mu z powodu zajścia niezmiernie przykro, że nie tylko żołnierze, ale i oficerowie zostali mocno poturbo-

wani, że wkońcu będzie się starał cały konflikt załagodzić i wpłynąć na poszkodowanych oficerów, by nie dochodzili swych pretensyj".

„Zgoła inaczej", snuje ciekawe opowiadanie Komendant, — „wypadła wizyta u miejscowego dygnitarza niemieckiego, w stopniu generała (Hülsen?) Skoro adiutant zameldował mnie generałowi, ten, nie czekając wejścia, wyszedł mi naprzeciw i w tonie b. uprzejmym pyta: „Czemu mogę zawdzięczać, że mam honor dzisiaj Pana u siebie powitać? Oddawna byłem b. ciekaw Pana poznać, ale to trudno, bo Pan nas unika". Czułości pana generała przerywam i oświadczam: „Niestety, przybyłem w przykrej sprawie, mianowicie wyrazić Panu ubolewanie z powodu poturbowania przez moich żołnierzy Pana podkomendnych i przeprosić Go za ich niekarne zachowanie". Generał doskonale, jak się następnie okazało, poinformowany o incydencie, przerywa moje przemówienie i krótko rzecz załatwia: „Aber das macht nichts!" („Ależ to nic nie znaczy!"). „Myśmy dotychczas innych (czytaj: Austriaków) z kwater wyrzucali, a teraz znaleźli się od nas lepsi. Tak, to nic nie znaczy, zwłaszcza, że to zrobili „Sieger von Kukle" (zwycięzcy spod Kukli) — zakończył generał i krótko, po żołniersku sprawę zlikwidował. Tu trzeba zaznaczyć, że przed kilku tygodniami batalion VI-ty zdobył w brawurowym szturmie kluczową pozycję pod wsią Kukle, wziął do niewoli kilka setek jeńców i odebrał z niewoli zagarnięty przez moskali 99. pułk austriacki. Dla uczczenia batalionu za ten wyczyn Niemcy na froncie armii Linsingena wznieśli trzykrotny okrzyk: „Hoch Polen!" (Niech żyją Polacy).

„Na tem też zakończona została sprawa zbrojnego objęcia kwater w Kołkach przez VI-ty Baon".

„Ale co też to był za batalion", — kończy swą opowieść Komendant. „Przyszedł do Brygady ostatni, żołnierze mieli jeszcze czarno-żółte opaski austriackie na ramionach. Z początku bojowo słaby, w krótkim czasie tak się wyrobił, że był jednym z najlepszych baonów w Brygadzie. Do końca jednak istnienia batalionu żołnierze grzeszyli nie przebierającym w słowach językiem, którym zresztą „zarazili" całą moją Brygadę. W skład baonu wchodzili żołnierze, pochodzący z Rzeszowa i okolic, Krosna, kompania wiedeńska, robotnicy z Łodzi, Zagłębia i Częstochowy, „batiary" ze Lwowa, robotnicy z Lublina i grupa młodzieży inteligentnej".

Na tem zakończył Komendant swą ciekawą opowieść. Po dopiciu herbaty, pożegnał się z wszystkimi i udał się na spoczynek do swej „salonki", by wczesnym rankiem stanąć w Brześciu nad Bugiem.

„Najistotniejszą częścią „moralności" wojska jest namiętne dążenie do zwycięstwa, do zgniecenia i ostatecznego pokonania nieprzyjaciela oraz wiara w powodzenie swego oręża i płynące stąd zaufanie do siebie, jako żołnierza. Uczucia te, bo są to uczucia — gdy są szeroko w masie żołnierzy rozpowszechnione, wytwarzają podłoże tak dogodne dla rozkwitu wszystkich cnut żołnierza, jak męstwo, wytrwałość, humor przy znoszeniu ciężarów bitwy i wogóle wojny, że dają siłę fatalną, prowadzącą do zwycięstwa, osobliwie gdy u wroga napotykają „rany tajemnicze", to jest uczucia wręcz odwrotne. W naszym „technicznym" i zarazem „pokojowym" wieku daje się zauważyć usilne staranie, by te elementarne uczucia zastąpić wartościami technicznymi, więc dobrą organizacją, dyscypliną wojska, ładem i porządkiem. Śmiem twierdzić, że techniczne zalety lub wady są tylko surogatem powyższych elementarnych podstaw morale żołnierza i wojska, surogatem, najczęściej niewystarczającym w pracy wojennej".

„Fatalną siłą, sprowadzającą w czasie wojny klęski na jednych a zwycięstwo na drugich, jest morale wojska. Moralność zaś ta jest namiętnością i wiarą, chociażby jedna nic wspólnego z etyką, druga z rozumem i rozsądkiem nie miała".

III. Przyczyny porażek tureckich.

BOLESŁAW KARPICZ KARPIŁOWICZ

ODWRÓT

Pięknego czerwcowego poranka 1916 roku padła w sielankę ułańską wieść, że maszerujemy per pedes apostolorum do okopów pod Kostiuchnówką. Niektórym ułanom zrzedły miny, dziewczęta hradyskie jakoś też posmutniały, a naprawdę ładna Nastia jakoś złowrogo zerkała na wschód i od czasu do czasu groziła pięścią, zgrzytała przepięknymi zębami i żuła jakieś przekleństwa pod adresem moskali.

Zaroiło się jak w ulu. Skończyły się dobre czasy „garówki".

Iść na okopy — to w konnym szyku. Ale my, ułani, do okopów na piechotę, z łopatkami zamiast szabel? Jakoś nie w smak poszedł nam ten rozkaz, ale nikomu do głowy nie przychodziło, by się długo nim rozwodzić; każdy szykował się do wojny na piechotę, tylko ci koledzy, którzy mieli zostać na kwaterach przy koniach klęli na czym świat stoi.

Szemrano po szwadronach, że to już na pewno wymysł „Szefa", bo ten jakoś kawalerzystów na owe czasy nie bardzo lubił, gdyż Dziadek napewno by takiego despektu swoim ułanom nie czynił. Podobno nawet Belina jeździł w tej sprawie do Dziadka,, lecz to nic nie pomogło. Musiała być tam u „bomberaków" sytuacja niewesoła, kiedy aż nas ułanów posyłano piechocie na pomoc.

Nie obca nam wprawdzie była walka piechoty, bo każdy z nas dokladnie pamiętał Fröhlichsdorf, Wesołuchę, Tabałę i te „blockhausy" na błotach, gdzie przez luty i marzec 1916 roku, leżeliśmy formalnie na lodzie, przez dachy ziemianek lało się na łeb, a od ziemi, przez „wolinę", ciągnęło wilgocią. Jedzenie pod psem, a w dodatku wszy gryzly niemiłosiernie, bo nieraz po trzy tygodnie nie ściągaliśmy butów.

Na drugi dzień, gdzieś około godziny 7 rano naznaczono zbiórkę.

Do okopów wyruszał II dywizjon, t. j. 3 i 4 szwadron Beliniaków pod dowództwem porucznika Janusza i oficerów młodszych — Lewandowskiego, Karskiego, Abłamowicza, Sroczyńskiego, Żuławskiego i innych.

Caly ten „gesellschaft fusreiterów" obejrzal Belina, kropnął do nas mówkę siarczystą, by mu wstydu ułani nie zrobili, by pokazać, że ułan ma tyle fantazji i wigoru, że potrafi równie dobrze rąbać szablą, jak i kłuć bagnetem.

Przed frontem dywizjonu na swym wspaniałym „Erebie" podjechał porucznik Janusz i na jego komendę — dwójkami stępem — marsz — odjechaliśmy do okopów.

Po przyjeździe do miejsca przeznaczenia, pożegnaliśmy czule nasze szkapy, swemu „Matuskowi" serdecznie ucałowałem jedwabiste chrapy, poleciłem go czułej i troskliwej opiece kochanego Stasia Białowiejskiego (nie wiem gdzie jesteś teraz serdeczny druhu) i pomaszerowaliśmy, pobrzękując łopatkami, manierkami i chlebakami wypchanymi, po brzegi wszelkimi specjałami żołnierskimi, jakimi koledzy nas obdarzyli na drogę.

Zajęliśmy okopy po III baonie kapitana Scewoli-Wieczorkiewicza; „bomberaki" powitały nas serdecznie, nie obeszło się i bez uszczypliwych przycinków ze strony piechurów, w czym szczególnie celował porucznik Szafranowski, którego język był cięty, jak ułańska szabla.

Nie pozostawaliśmy i my dłużni i każdy na swój sposób odgryzał się jak umiał piechocie, wymyślając im od łazików i dłubinosków. Obszedł nasze okopy ze swym sztabem i naszą starszyzną pułkownik Śmigły Rydz, darząc nas swym przemiłym uśmiechem i dobrocią swej twarzy, okolonej, jak mawialiśmy, kacapską potężną brodą.

Okazało się, że nie taki diabeł straszny, jak go malują. Życie w okopach ma też swój specyficzny wyraz, to też po paru dniach czuliśmy się doskonale, a bomberaki stali się najmilszymi kompanami, jakich kiedykolwiek znałem w życiu.

Okopy, ziemianki — toż to istne pałace! Czego tam nie było! Wyra, wysłane wrzosem i jakimś zielem, że to niby dlatego, by „blondynki" odstraszyć, a jakiś dłubinosek radził wyścielać posłanie macierzanką, bo powiada, że wesz tak się tego zapachu boi, że wieje na milę.

Front spokojny, cicho jak makiem zasiał, czasem w nocy gdzieś tam na wysuniętych placówkach padał pojedynczy strzał. Cudowna pogoda, widne, ciepłe noce, ożywcze powietrze, przepojone żywicznym zapachem wołyńskich borów, nie robiło absolutnie wrażenia, że jesteśmy w obliczu wroga.

Porucznik Janusz przydzielił mnie, jako podoficera ordynansowego do swego skromnego sztabu dywizjonu kawalerii i odtąd nosiłem się z plikiem papierzysków, a w skrzynce od amunicji spoczywała cała kancelaria naszego ułańskiego sztabu. Zadaniem moim było pisać pod

jego dyktando rozkazy bojowe, zarządzenia gospodarcze i być łącznikiem pomiędzy dowódcami szwadronów, a niekiedy i sztabem 1 pułku piechoty pułkownika Śmigłego Rydza.

Jak wspomniałem, odcinek był cichy, martwy, okopy stawały się duszne, ziemianki ciasne i niewygodne, to też brać ułańska, tuż przy linii okopów rozpostarła swe namioty i od tej pory sypialiśmy pod nimi, rozkoszując się przepiękną pogodą i cichym poszumem wołyńskich borów.

Życie w okopach nie było monotonne, bo w wolnych chwilach grano w piłkę nożną, organizowano zabawy, orkiestra 1 pułku przygrywała do tańca, saperzy w swym lasku budowali istne arcydzieła sztuki budowlanej, a dzisiejszy Naczelny Wódz w swym „Anielinie" (tak nazwany został jego barak), na rozpostartym na sztalugach płótnie, malował jakiś pejzaż prawdziwymi olejnymi farbami.

Od czasu do czasu chodziły poza kordon placówek patrole i „fasowały" Moskali, by zasięgnąć języka. Nie mało sprawił nam kłopotu Witeź Karski, który podczas takiego patrolu nikł jak kamfora i sądziliśmy, że go nam „zafasowały" mochy, a porucznik Janusz nie małą miał troskę z odszukaniem, gdy on najspokojniej w świecie z ułanem Marcińskim podkradał się pod moskiewską czujkę, by ją „wyfasować", jak mówił.

Chorąży Sroczyński, „szerwus bogiem" zwany, wybrał się wczesnym rankiem ze swymi morowcami i „zafasował" cały pluton mochów, tylko biadał, że mu „komandir zwoda" oficer zwiał i musiał się kontentować brodatym „unteroficerem" i kilkudziesięciu wystraszonymi czubarykami w papachach, mimo upalnego lipca.

Takich polowań na ludzi było dużo i dla fantazji podkradano się pod rosyjskie placówki po „fasunek" moskali.

Życie płynęło barwnie i sielankowo, aż zaczęła się przykrzyć ta idylla, gdy pewnego pięknego poranka, a było to 4 lipca 1916 roku, wraz ze wschodem olbrzymiej, purpurowej tarczy słońca dał się słyszeć warkot silnika moskiewskiego samolotu, który na wysokości kilkuset metrów, spokojnie szybował nad naszymi okopami. Padły krótkie komendy — „alarm", „kryj się", „zwinąć namioty"!

Niektórzy wybiegli z naładowanymi karabinkami. Celowano, chciano strzelać, lecz znów rozkaz — „nie strzelać", „marsz do okopów"! — I taka była zadziwiająca karność w tym obywatelskim wojsku, że rzeczywiście ani jeden strzał nie padł.

Od tej chwili zaroiło się w naszym spokojnym obozie od bieganin, meldunków, wysyłania patroli i zwiadów. Bomberaki odżyły. W czasie okopowych nudów uzbierały piechury parę butelek „blondynek", które teraz pięknie zalakowali, nakleili kartki i przesłali do N. K. N. do Piotrkowa, jako żywy znak gorliwej pracy i dbałości intendentów o legionowego żołnierza.

Około godziny 15 tegoż dnia rosyjska artyleria zaczęła „macać" nasze, dobrze zamaskowane i ukryte okopy. Pod wieczór ogień artylerii rosyjskiej grzmiał coraz intensywniej. W nocy spodziewaliśmy się natarcia. Noc z 4 na 5 lipca przeszła na ogół spokojnie, słychać było tylko na prawym skrzydle, na „Polskiej Górze" silniejszy ogień karabinowy i szczekot karabinów maszynowych. Nocy tej nie spaliśmy i nikomu sen do głowy nawet nie przychodził, byliśmy przecież aż nadto wypoczęci. Rano zajechała kuchnia z kawą i fasunkiem chleba i buraczanej marmelady. Wszystko w pogotowiu, jakoś wesoło, raźnie.

Koło południa zajechały znów nasze kuchnie z historycznym pęcakiem. Wtem znów „macanie" artylerii. Na wysokości kilkunastu metrów, tuż nad samą naszą kuchnią pęka szrapnel. Krzyk, jęki. Skutek — 7 ułanów rannych ubyło z naszego grona do szpitala.

Zaczęło się istne piekło. Leżeliśmy w namiocie z wachmistrzem Kaziem Małochlebem (kochany lwowski batiar), armaty grają coraz mocniej, „macają" co raz celniej, Kazio wyłazi z namiotu. — „Te bracie! trzeba wyrywać z pod plandeki, bo te . . . . ich mać mochy i nas tu wymacają!" Skryliśmy się do ziemianki oficerskiej, pokrytej podwójną warstwą grubych okrąglaków i metrową warstwą ziemi. Odzywa się któryś z oficerów: „na polówki, to dobre, ale jakby tak ośmnastocentymetrowy „kufereczek", to z nas wszystkich miazga".

Odcinek porucznika Lewandowskiego wysunięty bardziej naprzód. Porucznik Janusz zwraca się do mnie z rozkazem: „skoczcie no obywatelu do porucznika Lewandowskiego, żeby mi zameldował, co u niego słychać, dlaczego nic nie melduje".

Biegnę. Wzdłuż krętej linii okopów w swych ciężkich ułańskich butach, zeschniętych na kość, bo już od miesiąca nie widziały smaru. Gniotą jak diabli, rżną do krwi, do nieznośnego fizycznego bólu...

Znów jakiś kufereczek bryznął w trawers okopu, krzyk — Jezus Maria! — Coś tam grzebią w ziemi, wyciągają strzęp ludzkiego ciała, ociekający krwią. Krzyczą na łapiducha. Dobiegam do okopów porucznika Lewandowskiego, melduję rozkaz porucznika Janusza. Lewandowski spokojny, jak zwykle opanowany z przedziwnym i ujmującym uśmiechem na przemiłej twarzy, powiada, że u niego nic nadzwyczajnego, wysłał patrol przed zasieki drutów. Powiada, że na lewym skrzydle, na reducie „Pakosza" jest Komendant. Co? Dziadek w okopach, w takim piekle i pozwalają Mu? Któżby Mu śmiał zabronić, idzie wzdłuż okopów od „Polskiej Góry" ze Śmigłym...

Idzie Wódz, Orzeł o posępnym obliczu, tylko z pod krzaczastych brwi szklą się Jego dobre i tak ukochane przez legunów oczy.

Idzie przyszły Majestat „Tej, co nie zginęła" wzdłuż szańców swych drogich chłopców, by własnymi oczyma otaksować ich krwawe czyny i zestawia w swym genialnym umyśle bilans strat i zysków.

Zysków?

Któż z nas wówczas myślał o zyskach? Chyba tylko On!...

Przed oczyma zamajaczyła mi postać Komendanta Piłsudskiego, którego po raz pierwszy w życiu zobaczyłem w pierwszych dniach sierpnia 1915 r. w Lublinie, potem w kilka dni w Niedźwicy pod Lublinem, gdzie zamienił ze mną słów parę i pytał o mój zawód. — „Cóż sprzykrzyło się wam pigułki kręcić i wąchać karbol?" Odpowiedziałem, że wolę proch. — „No to będziecie mieli dość okazji!" — Potem rozmawiałem jeszcze z Komendantem w Leczniewce, gdy robił przegląd, jakeśmy szli do Fröhlichsdorfu, pytał mnie, czy mam sweter, czy mi ciepło będzie... Tak pytać żołnierza może tylko ojciec, bezgranicznie dobre serce...

Ocknąłem się z chwilowej zadumy i pobiegłem znów z meldunkiem do porucznika Janusza, niepomny na ból wpijających się w ciało butów i huk pękających dookoła pocisków.

— No oczywiście u Jasia zawsze spokój i dobrze — mówi porucznik Janusz po wysłuchaniu mego meldunku.

W ziemiance zdejmuję buty, bo nie mogę wytrzymać. Zostałem boso. Naraz grzmot moskiewskich dział cichnie, słychać dalekie hurra... hurra... hurra... Z lasu wyłania się tyraliera moskiewska. Idą miarowo, spokojnie, przeważnie brodacze, już starsi. To „opołczeńcy", 400 setny moskiewski pułk piechoty. Naliczyłem cztery linie tyralierskie. Już dochodzą do naszych zasieków, przecinają druty nożycami, rzucają na kozły druciane szare swoje szynele, giną jak muchy pod kośbą naszych karabinów ręcznych i maszynowych. Klną, modlą się — „Hospodi pomiłuj, spasi mienia!" — i idą, idą, zda się bez końca...

Anonsują. Na lewym skrzydle przerwali front honwedom, są już podobno na naszych tyłach. Pada rozkaz — „cofać się na drugą linię oporu, do zawczasu przygotowanych okopów". — Widzimy, jak nasz dzielny wachmistrz Kmicic Skrzyński wyskakuje z okopów tuż przed bagnetami Moskali... — „Stoj, nie ujdiosz!"....

Cofamy się o kilkaset metrów do rezerwowej linii okopów, gonieni przejmującym i zda się nie milknącym okrzykiem: hurra, hurra, hurra...

Po drodze leżą zabici, jęczą ranni, ruch żołnierzy z białymi z czerwonym krzyżem opaskami, bandażują, prowadzą pod ręce, noszą na noszach bez liku, bez końca...

Zapada zmierzch, chmurzy się, zaczyna padać deszcz, jakby chciał zmyć krew, zakrzepłą i wcisnąć ją w każdą grudkę wołyńskiej męczeńskiej ziemi, krew najlepszych synów Rzeczypospolitej, krew bratobójczej walki, lejącej się w trzech zaborach...

Noc z 5 na 6 lipca przeszła na czuwaniu w rezerwowych okopach. Na naszym odcinku było jakoś tej nocy spokojnie, tylko tam na prawo, na „Polskiej Górze" jeszcze wrzała walka. Tam dziesiątkowała nieubłagana śmierć piątaków Berbeckiego, nazwanych przez Dziadka „zuchowatymi". Dowiedzieliśmy się, że z Zuchowatych zostały tylko strzępy, że piątacy ponieśli olbrzymie straty, dotąd w historii Legionów nie notowane, że 1 pułk Śmigłego Rydza poszedł piątakom na odsiecz, że oddziały legionowe cofają się na linie Stochodu.

Na prawym skrzydle wciąż wrzała zażarta walka. Walczyły wszystkie brygady legionowe. Legionistami zatykano luki, po uciekających z pola walki austriakach i aż przykro było patrzeć na tę nędzną hołotę, bo albo szli jak barany pod bagnety rosyjskie, albo poddawali się do niewoli, w czym odznaczali się Czesi, albo uciekali w panicznym popłochu, pozostawiając po sobie wszelki sprzęt wojenny.

Dotarliśmy tego dnia do „Legionowa" (Legionowo, to cały szereg budynków i baraków, wzniesiony ręką polskich saperów, wśród lasu), panował tam ruch niebywały. Gotowano się do kontrataku i pospiesznie zbierano maruderów, którzy w nocy pobłądzili i stracili wszelką orien-

tację i poczucie własnego ja. Po dwóch dobach nieprzerwanej walki, bez snu, bez jedzenia, żołnierz polski był tak przemęczony i wyczerpany, że trzymał się tylko jakimś cudem. Jeżeli chodzi o mnie, to wiem, że trzymało mnie jakieś nadzwyczajne podniecenie, wiem, że żyłem tylko nerwami, bo głód, mimo, że dwa dni nic nie jadłem — jakoś mi przestał w ogóle dokuczać.

W godzinach popołudniowych zmienił nas batalion niemieckiej piechoty. Pamiętam, jak kapitan z tego batalionu miał krótką przemowę do swych żołnierzy i odezwał się mniej więcej w te słowa: — „Koledzy, idziemy zluzować naszych towarzyszów broni legionistów, którzy przez trzy dni nie jedząc i nie śpiąc, bohatersko i mężnie bronili powierzonych sobie pozycji. Zapewniamy was, koledzy legioniści, że wstydu wam nie przyniesiemy!" — Po czym padła krótka komenda — „vorwärts!" I rzeczywiście poszli Niemcy z brawurą i butą. Jak potem dowiedzieliśmy się, to z tego batalionu wróciło zaledwie kilkunastu.

W szeregi ułańskie padła wieść, że z tego piekła na ziemi wracamy do swych ulubionych rumaków. Mimo zmęczenia i nadludzkich wysiłków, wstąpił w nas jakiś nowy duch. Jeden drugiego popędzał zachęcał, a gdy po drodze spotkaliśmy ułana Rolanda i dowiedzieliśmy się, że lada chwila zobaczymy nasze konie, które idą na przeciw nam — radości nie było końca. Gdzieś koło północy spotkaliśmy konie, ale nie wszystkie one miały swych jeźdźców. Jedni legli snem wiecznym, drudzy poszli do szpitala.

Po przybyciu na kwatery, każdy zwalił się jak kłoda i spał. Około trzeciej godziny nad ranem pobudka, wstawać, siodłać konie i wymarsz. Lano niektórym kubły zimnej wody na łeb, bo nie można się było niektórych wogóle dobudzić. W ten sposób pozostał nasz nieodżałowany kolega i towarzysz Roland, obywatel z Lubelskiego ze swoją piękną „Heterą". Zasnął biedak, nikt go widocznie nie obudził i Moskale go zakłuli bagnetami w Hradyskach.

Wraz ze wschodem słońca cały pułk był już gotów. Krótkie jakieś rozkazy Beliny, podział pułku na dwie części, I dywizjon pod Trojanówkę, II na lewo od Trojanówki.

Wysłano mnie z rozkazem do sztabu Brygady w Trojanówce. Przed kwaterą Komendanta jakieś C. K. ekscelencje z czerwonymi lampasami, obersty, szteblery i paru naszych oficerów. Tam w Trojanówce dowiadujemy się, że ukochany nade wszystko przez piechurów Wyrwa Furgalski zginął, Berbecki ciężko ranny, moc oficerów legionowych zabitych, a poległych legunów liczą na tysiące. Powiał po nas jakiś smutek i zaciętość.

Z kwatery wychodzi Komendant, po drodze rozmawia z rotmistrzem Orliczem Dreszerem. Idzie zobaczyć rannego Berbeckiego, którego przed chwilą przywieziono do Trojanówki. Twarz Komendanta ziemista, pełna jakiegoś bezgranicznego smutku i skupienia...

Podchodzi pod kwaterę rotmistrz Orlicz. — „Chłopcy, kto ze mną na ochotnika? — Wysuwa się pierwszy Górnicki na swym białym jak śnieg „Boćku", Piętka-Majewicz i ja. — „Wystarczy trzech — mówi Orlicz, — na koń i za mną". — Piękna ogorzała twarz Orlicza, cała postać jak z brązu wykuta. Siedzi w siodle trochę pochylony i nad czymś duma, bo nie do nas mówi. Jedziemy wyciągniętego kłusa w stronę nieprzyjaciela. Musi być jakaś sprawa ważna, bo Orlicz na ogół szanował konie. Rozmawiamy między sobą, gdzie i po co jedziemy.

Ujechaliśmy parę kilometrów, spotykamy 1 pułk piechoty Śmigłego Rydza. — „Serwus ułany!" — wita nas piechota. Idą spokojnie, cofają się, zmizerowani, wynędzniali, tylko te oczy płoną jakimś niesamowitym ogniem. Jedziemy dalej, po drodze spotykamy maruderów z musu. Ustają z wycieńczenia, ale jak mogą „szlusują". Ujechaliśmy jeszcze kawał drogi, słyszymy pojedyncze strzały karabinowe i od czasu do czasu serie maszynówek. To grają maszynówki Lisa Kuli, bronią przyczółków mostowych, zasłaniają odwrót Brygadzie. Spotykamy naszych ułanów. To 1 dywizjon pod dowództwem rotmistrza Zaruskiego, rozrzucony w lesie w tyralierkę konną. Podjeżdżają pod Moskali jak najbliżej, walą z koni. Widzimy Zaruskiego wydającego jakieś rozkazy porucznikowi Statkiewiczowi. Na przedzie porucznik Zdzisław Jabłoński, oficer-dziecko, wygląda na lat ośmnaście, ale jakiż spokojny w ogniu.

Dalej Grzmot Skotnicki ugania się po lesie i zachęca do walki — „walić drani, bić... synów, naprzód! Tam do cholery jasnej Romek!"

Orlicz z Zaruskim naradzają się, strzelanina z koni trwa, kule bzykają, rekoszety gwiżdżą pomiędzy drzewami. Nadjeżdża Lis Kula, coś radzą. Znów jakiś manewr, posuwamy się naprzód. Zaczynają kule bzykać częściej, maszynówki grają co raz intensywniej. Mała garstka piechurów Lisa Kuli nie wytrzymuje naporu Moskali, pada komenda — „cofać się i ostrzeliwać". — Przychodzi wieść, że na tyłach naszych,

na drodze, po której niedawno jechaliśmy — jest już rosyjska kawaleria, odcięli nam odwrót. Trzeba się jakoś przebić, ale z kilometr odwrotnej drogi, to droga przez bagno, sporządzona z okrąglaków, t. zw. przez austriaków prügelweg. Pada komenda rotmistrza Zaruskiego — „dwójkami za mną marsz, marsz, potem szable w dłoń!"— Jedziemy kłusem. Z prawego skrzydła cofa się ze swym plutonem Romek Niementowski. Padają gęste strzały karabinowe, słychać hurra, hurra... Po drodze walą się konie i jeźdźcy. Droga wąska, na prawo i lewo bagno — śmierć dla koni. Ułani w galopie zeskakują z koni, walą do mochów, idą na Moskali na piechotę.

Przejechaliśmy tę nieszczęsną „prügelweg". Dowódca pułku Belina Prażmowski idzie z trzcinką, utyka na nogę. Orlicz donośnym głosem rozkazuje" — z koni i do ognia! „Zsiadamy. — „Koniowody z końmi do tyłu!" — Nadciąga piechota. Zaczyna się pranie do nadjeżdżającej kawalerii rosyjskiej. Szarżowało na nas kilkanaście szwadronów. Szli rzeczywiście z fantazją, lecz dopuszczeni przez piechotę na jakieś 50 metrów, jakby w nich piorun strzelił. Tylko się zakotłowało. To salwy naszej piechoty, takiego bobu mochom dały, że jak szybko na nas wpadli, tak jeszcze szybciej uciekli, pozostawiając po sobie moc rannych i zabitych.

Gdy znalazłem się w Trojanówce, poczułem w lewej nodze jakieś szczypanie i wilgoć. Lekarz porucznik Żuławski nalał mi w ranę jodyny, łapiduchowi kazał zabandażować i coś w tydzień mała rana się zgoiła.

Z Trojanówki poszliśmy za Stochód i rozłożyliśmy się na szerokich błoniach Czeremoszna. Wiem, że spałem bez przerwy kilkanaście godzin, a gdy mnie Julek Filipowicz zbudził — nie wiedziałem, gdzie jestem i co robię.

Gdy dziś, z perspektywy lat przeszło dwudziestu patrzę i wczuwam się w przeszłość, mam wrażenie, że to był jakiś sen, który śniłem dopiero co. Ale to nie był sen. To była rzeczywistość. Tam pod Kostiuchnówką biły się trzy brygady legionowe o niepodległość Polski. Tam poważnione z powodu intryg z zewnątrz brygady legionowe, w huku dział, w morzu krwi dopiero się zżyły i zbratały na wieki. Tam zatarły się antagonizmy dzielnicowe, tam był naprawdę bratem i andrus z nad Wisły z Czerniakowskiej i Antek Krakowski i batiar Lwowski. Tworzyliśmy jedność.

Pamięci bohaterów z pod Kostiuchnówki, którzy snem wiecznym posnęli i śnią o Wielkiej i Potężnej Polsce garść tych wspomnień poświęcam. A kolegów Beliniaków przepraszam, jeżeli coś niezbyt dokładnie opisałem.

„W Krakowie stanęła do boju garść młodzieży, robotników i chłopów, by w rozpacznej chwili próbować walczyć nie pod obcym, lecz pod własnym polskim sztandarem, by umierać na polu bitwy nie jako żołnierz z pod obcego znaku, lecz jako żołnierz polski".

„W rozpoczętym pod znakiem jedności dziele budowania państwowości polskiej naczelnym dążeniem być musi i będzie złączenie poszczególnych ziem Rzeczypospolitej Polskiej w jednolity organizm państwowy".

„Gdy bracia żywią miłość ku sobie, wiąże się węzeł między nimi, mocniejszy nad inne węzły ludzkie".

„Solidarność między Francją a Polską, polegająca nietylko na uczuciach głębokiej i starej przyjaźni, ale także na ścisłej wspólności interesów, pozwala Polsce spoglądać z ufnością na czekające ją ogromne zadania, od których żadną miarą odstąpić nie zamierza".

STANISŁAW ROSTWOROWSKI

ROKITNA

Dywizjon kawalerii zebrał się w komplecie w sadzie owocowym na szczycie góry. Doje=chały tam po trzech dniach po raz pierwszy kuchnie polowe i ułani przypomnieli sobie teraz dopiero, że właściwie tego dnia nic dotąd w ustach nie mieli. Pod rozłożystym dębem zasielli oficerowie. A więc zawsze pogodny Włodek, siejąc wokół dowcipnymi uwagami nad wojną, życiem i światem, więc dziwnie dnia tego pochmurny Topór, którego korciło, że nasi tak blisko Lwowa, a on jeszcze tam jechać nie może, by żonę choć na dni parę odwiedzić, więc ruchliwy i zawsze wspaniale zaprowian-towany Nowakowski, wachmistrz, w którego „paktaszkach" nie zabrakło nigdy papierosów dla kolegów, więc dziarski i uczynny Fąfara, dalej trójka nierozłącznych od czasów krakow=skich wachmistrzów, trójka dyskutująca ciągle nad przyszłością Legionów i Polski, wreszcie kręcący się wśród ułanów, których przyprowa=dził ze sobą z plutonu pułkownika Hallera, wachmistrz Adamski, wysoki, smukły, nasz szwadronowy Longinus — wszyscy oni byli tego wieczoru tam zebrani na wzgórzu między Rarańczą i Rokitną, pod rozłożystymi konarami dębu

Kto mógł wówczas przypuszczać, że na dru=gi wieczór do tego sadu z nich wszystkich tyl=ko jeden zdrów powróci? Chyba Topór, który trzynastki dziwnie nie lubił. Jeszcze tego wie=czoru mówił: „Trzynastego sierpnia ubili mi pod Kielcami konia, czegom ledwo życiem nie przypłacił, dwudziestego szóstego października ledwo cały szwadron pod Cucyłowem głową nie nałożył, trzynastego maja pod Strzeleckim Kątem mało brakowało, by i po nas kozaczki nic przejechały — ano zobaczymy, co też nam jutro przyniesie?" Zawinął się w białą derkę, kożuszek, pod głowę sobie położyć i usnął z myślą, że chyba Lwów za kilka dni znów bę=dzie wolny.

W parę godzin później wstał dzień trzyna=stego czerwca. O świcie wyruszyło, jak zwykle kilka patroli i kilku jeźdźców meldunkowych odłączyło się od szwadronu. Bitwa pod Rokit=ną zaczynała się na nowo. O godzinie szóstej ordynansowy jeździec przyniósł nam rozkaz odmarszu na pozycję. W kilka minut zebrały się szwadrony z nabytą w ciągu tylu miesięcy wojny sprawnością i pokłusowały wzdłuż sa=mochodów korpuśnego sztabu na pozycje arty=lerii.

Na polu kwitnącej niebiesko lucerny przy=szło nam wśród cudownego, słonecznego dnia spędzić parę godzin oczekiwania. Niebawem dojechali do nas na ranną przekąskę oficero=wie sztabowi Brygady, przywożąc świeże ga=zety. A z gazet tych biły radosne wieści o zwy=cięstwach na wschodnim froncie. Południe mi=jało, gdy niespodziewanie nadjechał z bratem swym rotmistrz Wąsowicz. Głośne „hurra!" powitało jego przybycie. Rotmistrz uśmiechem witał swych ułanów, patrzył po szeregach, czy też którego z nich nie zabrakło, a dochodząc do nas zawołał: „Nie szarżowaliście jeszcze? A bałem się, że się spóźnię — to też, choć jeszcze zdrów zupełnie nie jestem, wróciłem, bom się przez te dwa dni zanadto za wami stę=sknił". I znów posypały się wesołe rozmowy, dyskusje i dowcipy.

Wtedy nadjechał ordynans ze sztabu Bryga=dy, powołując rotmistrza. Wiedzieliśmy, co to znaczy. Koniom przeciągnięto pasy, szwadrony posunęły się o dwie staje naprzód. Na wzgó=rzu stał rotmistrz z szefem sztabu i śledził za ruchem jego ręki. Chwilę coś tłomaczył, o coś się pytał, a potem do nas zawrócił i zirytowa=nym głosem krzyknął: „Na koń!".

Szwadrony ruszyły kłusa wzdłuż niedawno wykopanych rowów strzeleckich. Przed nami o cztery kilometry w dole ciągnie się wieś Ro=kitna, przed nią rzeczka — to granica Besa=rabii. Na lewo o kilka tysięcy kroków las — między lasem a wsią faliste błonie — na nim widać kilka wiatraków.

Jedziemy w lewo w kierunku lasu rozwinię=tym szykiem. Padł rozkaz: „Rostworowski, Ejzerman, Kosowski spatrolują las!" Szwa=drony za patrolami jadą kłusa, pada komenda „Dobądź broń!" Pierwszy rząd dojeżdża do rzeczki — konie mimowoli zwalniają tempo. Spostrzegł to rotmistrz: „Dla polskiej kawa=lerii nie ma przeszkody" — krzyknął i prze=sadził rzeczkę swą Hochlą, Za nim w trop wszyscy inni, choć brzeg stromy, urwisty.

Dywizjon skręcił w prawo na błonie za wsią. Gdy mijał okopaną naszą tyralierę piechoty, rot=mistrz zawrócił konia i dał komendę: „Trzeci szwadron pod wieś w rezerwę, drugi szwadron tyralierą za mną galop!". I sam pomknął na pięć=dziesiąt kroków naprzód.

W dali widnieją rosyjskie okopy. A od okopów to tu, to tam odzywa się strzał. Kule zaczynają z rzadka brzęczeć koło uszu. Ruszyły konie marsz — marsz, rozwiały się szare ułanki od pędu, zacisnęły silniej dłonie na gardach pałaszy, zabłysnęły oczy radością.

Więc w końcu upragniona chwila nadeszła, chwila, o jakiej dzieckiem będąc, każdy z nas czytał w historii, w powieści, w poezji — więc my jedziem na ułańską szarżę, więc za chwilę my wpadniem na wroga, zabłysną szable na jego głowami i ciąć, rąbać będziemy, co nam kule, co strzały — my jedziem — polska kawaleria.

Rozświeciły się twarze żołnierskie i z sześćdziesięciu młodych piersi krzyk poszedł: „Hurra!“ A Topór im przewodzi, bo woła: „Naprzód polskie ułany!“ A wtórują mu inni: „Naprzód stara wiara, naprzód Przegorzalczyki!“

Chwila dziwna, chwila tak osobliwa, że ten, co ranny wraca ze szarży, mówił mi: „Gdybym wiedział, że w drugiej szarży rękę bym miał stracić, taki bym pojechał!“

Jechali długim, szerokim rzędem, a równo jak nigdy, na żadnych ćwiczeniach. Kule idą coraz gęściej, jak rój os nadlatują. Zachwiał się w siodle jeden — tego jeszcze prawie wszyscy widzieli — to Kubik z trzeciego plutonu. Zachwiał się i padł z konia twarzą do ziemi, i na niej bez ruchu pozostał. Kula w czoło trafiła. Klacz jego kara „Mucha“ z rzędu się wyłamała. Szła bez jeźdźca dalej.

Trafili na pierwszy rów strzelecki. Był pusty. Skoczyli rzędem, jak jechali — nie wszyscy. Koń z wachmistrzem Wąsowiczem zwalił się w rów, potem zerwał i pogalopował dalej. Jeździec z pod kul wyszedł cało.

Za tym rowem drugi, ale już obsadzony piechotą. Jadą nasi. Tylko, że kule coraz gęściej lecą, tylko, że częściej trafiają. Ubiły „Fausta“ pod Brinkenem, jemu rękę i bok przeszyły. Stachura dostał ich dwie w piersi. Ranny wali się Janiszyn, kontuzjowany Szczepan, koń padł pod Polańskim. Skoczyli przez drugi rów — nie wszyscy. Pod Sokołowskim koń padł, przygniatając go ciężarem. Nadbiegł Rotkeel, wołany o pomoc. Odkrzyknął: „Wedle rozkazu“, dźwignął łeb konia i wachmistrza uratował. Sam dostał też kulę. Kapral Sperber ma ich trzy w nodze, porucznik Fąfara jedną, ale bolesną w pachwinę. Konie ich ubite. Na lewo na wzgórzu osunął się wachmistrz Adamski z „Gorgony“, trafiony w czoło. Cierpieć długo nie mógł, padł na wznak, ręce w krzyż rozłożył, i tak już pozostał. „Gorgona“ jego do wsi lekko ranna wróciła. Zwaliła się „Siwka“ kaprala Liszki i „Murzyn“ plutonowego Swidzińskiego — wrócili obaj. Byli może i inni ranni, ale tego nie czuli, gdyż rwali naprzód. Osunął się ranny Garbaczewski — koń jego poszedł za innym, ale wnet zawrócił do swojego pana i stał bezradny nad leżącym ułanem — jak w bajce, a było to prawdę.

Ci, co pognali dalej, tego nie widzieli. Przed nimi na sto kroków ciągnął się już nie rów, ale darnią kryty okop strzelecki. Sto strzelnic na nich patrzyło, a z każdej wystawał najeżony bagnet. Gęsto było Moskali, jak mrowia. Pada salwa jedna, druga, trzecia, dziesiąta. Chwilę zaterkotały karabiny maszynowe, ale głos ich się zgubił wnet, w ciągłym huku broni palnej. To nie kule pojedyńcze już szły na jeźdźców i nie po jednej koło nich syczało — to szły ich roje, jak jeden przeciągły syk.

W okopie była przerwa. Na wiodącą tam drogę skręcił wachmistrz, skręcili i inni. Nie wszyscy... Łuszczewski już leżał.

Rotmistrz krzyknął: „Zdawajsia!“ i stała się rzecz nieoczekiwana. Ci, ukryci w głębokim rowie piechurzy rosyjscy, których ułani nawet szablą dosięgnąć nie mogli, zdrętwieli na widok pędzących, ręce wznieśli do góry i o zmiłowanie prosili.

Okop był zdobyty. Ale z prawej flanki ogień nie zesłabł — owszem wzmógł się jeszcze. Padła „Hochla“ rotmistrza i on sam miał już bok przeszyty. Chcieli go inni ratować. Dał znak ręką, by jechali dalej i tylko żegnał się z nimi. Za chwilę i Włodek trafiony w usta, padł wraz z koniem, osunął się ranny Jagrym, Topór teraz prowadził. Za nim wdarła się przez bramę reszta. Kilka koni okop wprost przeskoczyło. Zajechali na Moskali z tyłu. Kuszel jeden dosięgnął szablą i już płatnął piechura w głowę. Krzyknęli znów, że się poddają, a w piersiach tych kilkunastu ulanów, którzy tam dojechali, zbudziło się uczucie tryumfu: zdobyli okopy!

Ale z flankowych rowów porwali się Moskale na bagnety. Padł przebity koń Topora. On broni się jeszcze rewolwerem i szablą, aż osunął się przeszyty dziesięcioma kulami. Obok zginął Rakowski. Na ten widok Moskale z frontowego okopu znów chwytają za porzucone przed sekundą karabiny. Na dwa kroki dają salwę do ułanów. Ale i tak źle mierzyli. Zranili konie nie ludzi.

Wtem z góry pada szrapnel, kartacz czy granat — skąd szedł nie wiadomo, czy to od armat które ostrzelały przed chwilą pod lasem boczną patrol Rostworowskiego i Kosowskiego, czy od

tych, które stały za okopem o sto kroków, czy jeszcze od innych, nie wiadomo. Dość, że pocisk padł w środek rosyjskiego okopu i jednym wybuchem zwalił pięciu ułanów. Kapral K. Karasiński, Tworkowski, Starczewski, walczący pod pseudonimem Rawskiego, Żwatszke i Majda padli w proch. Padli i zastygli, dzierżąc w dłoniach szable. Upadł wachmistrz Nowakowski, który potem opatrzony przez Moskali, zmarł w ciągu nocy z dziesięciu otrzymanych ran — upadł z koniem kapral Bokalski, również ranny, który udając umarłego, dał się obrabować, lecz gdy doczekał się nocy, wypełznął z okopu, ubił kolbą karabinu placówkę rosyjską i przyniósł do sztabu meldunek o rozkładzie rowów.

Od dalszych salw, idących od okopu rezerwy czy szrapneli ranni zostali: Jakubowicz, Sierzhiejewicz, Krawczyński, Prokop, kapral Sztembarth, Kułakowski, Sciborowski — zabity Eugeniusz Potok słuchacz praw z Krakowa i Szysz, ogłuszony Łabędzki, zraniony Metsche, kapral Mieczysław Chwalibóg, Senowski i Firlit. Ubitych kilkanaście koni zasłało pole, a w ich liczbie chwały naszego szwadronu: Ocean, Pajac, gniady Eriwan. Tych kilku, co zostało w siodłach, przeszedł dreszcz. O sto kroków przed nimi, za okopem rezerwy, rosyjskie armaty, ale dojechać do nich niesposób, bo okop za wysoki i za długi. Pod jego ogniem przejechali, a inni przebiegli drogę do wsi i tamtędy siedmiu jeszcze do naszych pozycji wróciło.

Gdy mijali ten okop, doszedł ich głos rosyjskich oficerów: „Wot gieroje, mołodcy!" A z góry biły jeszcze do nich szrapnele.

Szarża była skończona. Ustały strzały, ścichły jęki konających i rzężenie koni. Planowany atak naszej piechoty odwołano, trzeci szwadron cofnięto rozkazem już wcześniej. Przy granicznej rzeczce zbierali się ci, co wrócili z szarży i z pod lasu. Opatrzono rannych, starano się doliczyć zabitych. Brakowało ich bardzo wielu. Doktór nasz szwadronowy Bujalski, nie bacząc na to, że wieś jeszcze nie zajęta, przeszukał wszystkie skrajne osady i chałupy, i jak prawdziwy ułański doktór opatrzył ludzi i — konie. Ranny wachmistrz Sokołowski dosiadł jeszcze jednego z nich i powoli wracał na górę do Rarańczy. Gdy ujrzał go brygadier Kütter, zdjął przed jego siwą głową sztabowe czako i zawołał: „Cześć bohaterom!"

Pod wieczór tego dnia wystąpił przed placówki naszej piechoty lekarz Więckowski i nie bacząc na gwizd kul, skierowanych do niego, niósł jako parlamentariusz do okopów rosyjskich list z prośbą o wydanie rannych. I byłby to może uzyskał, gdyż i z drugiej strony wystąpił już z białą chustą oficer, lecz fatalna pomyłka rozłożonych na skrzydle placówek udaremniła strzałami ten zbożny czyn. Niechaj ta wzmianka będzie mu przynajmniej nagrodą za okazane poświęcenie.

Przed świtem następnego dnia Moskale, obawiając się dalszych ataków, opuścili bez strzału okopy pod Rokitną. Gdy tylko doszły o tym meldunki, wyprawiły się patrole drugiego i trzeciego szwadronu i objechały całe pobojowisko. Kto je widział, będzie je pamiętał do śmierci.

Z tych skrwawionych zwłok bohaterów, z tych zaciśniętych w dłoniach pałaszy, z tych postrzelanych trupów końskich, rozsianych tym gęściej, im bliżej ostatnich okopów i pustych dziś pozycji artylerii, bił jeszcze pęd wczorajszego ataku. Zwłoki porąbanych wśród okopów Moskali świadczyły o tym, że nie jeden drogo sprzedawał swe życie. Rannych zabrali pierwotnie Rosjanie z sobą, lecz przy dalszej ofensywie odnalazł ich wachmistrz Konarski z trzeciego szwadronu w sąsiedniej wsi Dinancy — jednak nie wszystkich, tylko tych, których wieść już dalej się nie dało.

Zwłoki zabitych zabraliśmy na wozy, ubrane kwieciem polnym i przywieźliśmy przez granicę do wsi Rarańcza. Pluton pozostałych towarzyszy broni był im eskortą w tej powrotnej drodze.

Dnia piętnastego czerwca odbył się żołnierski pogrzeb w Rarańczy. Deputacje komendy korpusu i stacjonujących tam pułków zapełniły cmentarz wiejski. Piętnaście białych z desek zbitych trumien znieśli na swych barkach ułani, każdą ustroiły kwiaty, tylko jedna trumna rotmistrza Wąsowicza okryta była czerwono białym całunem, a nad nią wznosiło się czako ułańskie i złamana szabla.

„Dowódca musi umieć czekać i trwać w wesołości i szerzyć ją koło siebie"...

VI. Dowodzenie podczas wojny.

STEFAN TRUCHIM

ZAPOMNIANA BITWA

(Arsenowicze 18.VII — 20.VIII 1916).

Ranek 18 lipca 1916 r. nie zapowiadał żadnych specjalnych wydarzeń. Pierwsza bateria haubic artylerii legionowej, która zajęła poprzedniego dnia pozycje w lesie Kolonia Dubniaki, zdołała wieczorem wstrzelać się. Wczesnym rankiem 18 lipca odkomenderowano część obsługi do miejsca postoju terenu, gdzie rozpoczęto budowę stajni, część zaś zaczęła budować przy działach blindaże.

Tymczasem nagle w godzinach południowych przyszedł rozkaz komendy pułku, by bateria natychmiast odmaszerowała do Sielc. O godz. 3 po południu bateria wyruszyła. Droga była uciążliwa. Błoto straszne. Deszcz ustawiczny, a przy tym niezwykle parno, i zupełny brak wody do picia. W czasie marszu klękaliśmy, by pić wodę deszczową, która gromadziła się w zagłębieniach po kopytach końskich. Maszerowaliśmy w tempie przyspieszonym przez Miryn, Rudkę Miryńską.

Do Sielc przybyliśmy o godz. 8 wieczorem. Równocześnie komenda parku amunicyjnego. stacjonowana w Piasecznie, otrzymała rozkaz natychmiastowego odesłania za baterią kolumny amunicyjnej, przy czym komendant kolumny miał po przybyciu do Sielc, zameldować się u miejscowego komendanta grupy artylerii, skąd łącznik naszej baterii haubic miał odprowadzić kolumnę na pozycję.

W tym samym czasie komenderujący odcinkiem pod Kolonią Dubniakami austriacki podpułkownik Buzek zwrócił się do komendanta 1. pułku artylerii legionowej majora Brzeziny z rozkazem, by w czasie nieobecności legionowej baterii haubic część północną pola jej ognia zaporowego objęły baterie legionowe, podczas gdy południową obejmie 4. bateria 26. pułku haubic austriackich.

Po przybyciu do Sielc zarządzono półtoragodzinny postój, poczem ruszyliśmy dalej. Zapadła ciemna noc, zmęczonych nóg wprost nie można było wyciągnąć z gęstego błota. Od czasu do czasu oświetlały drogę grygzaki błyskawic i frontowych rakiet. Bateria posuwała się w ciszy, przerywanej od czasu do czasu zaklęciami.

Wreszcie wjechaliśmy na zorane pole. Konie z trudnością ciągnęły armaty, często pomagać musiała obsługa, ujmując za szprychy kół. Tę pracę przerwał nagle trzask: nasze pierwsze działo ugrzęzło w rowie. Trzeba było zejść do rowu pełnego wody, założyć liny na hak przyosiowy i ciągnąć. Ale tego dnia wszystko składało się fatalnie: hak pękł. Cała obsługa pierwszego działa znalazła się w rowie i wspólnymi siłami wydobywała armatę.

Wkońcu o godzinie w pół do drugiej w nocy zajęliśmy pozycję. Armaty oblepione błotem, my wszyscy przemokli do nitki i obłoceni jak nieboskie stworzenia. Oczywiście kolacji nie dostaliśmy. Obok naszej pozycyji stała chata, którą zajęliśmy po krótkiej energicznej i zdecydowanej dyskusji z trzema nierozmawiającymi po polsku węgrami, którzy się w niej zainstalowali (podobne jakieś kuchnie komendy brygady austriackiej), i wykręciwszy przemoczone ubrania oraz przewiązawszy suchymi onucami nogi, zasnęliśmy, by już o godzinie 4 rano 19 lipca stanąć przy działach.

Taki był dojazd pod Arsenowicze, gdzie rozegrała się jedna z większych bitew artyleryjskich na froncie rosyjskim, a w której wzięła z oddziałów legionowych udział tylko 1 bateria haubic. O godz. 4 rano zbudzono nas.

Dopiero teraz mogliśmy się zorientować w sytuacji. Przede wszystkim dowiedzieliśmy się, że w kolanie, który tworzy Stochód pod Arsenowiczami, zajęli pozycje moskale. Rozkaz generała pruskiego Bernhardiego polecał usunięcie moskali na brzeg wschodni, ewentualnie wzięcie tych oddziałów do niewoli, po czym miało nastąpić cofnięcie się atakujących oddziałów wojsk sprzymierzonych z powrotem na dawne pozycje.

Na odcinku ataku zgromadzono około 20 baterii dział polowych i haubic (razem około 80 dział), oraz 2 ciężkie moździerze austriackie. Ponieważ jedna z baterii haubic bawarskich została skierowana na południe, wezwano w jej miejsce 1 baterię haubic Legionów Polskich. Baterie zostały ustawione tyralierą, po 5 baterii w jednym rzędzie. Wieczorem miał być skierowany ogień huraganowy ze wszystkich baterii na pozycje piechoty rosyjskiej, po czym atak piechoty miał dokończyć rozpoczętego dzieła.

Cała przestrzeń, na której ustawiono baterie, zamknięta była od strony okopów piechoty lasem. Pod lasem ze strony lewej ku nam ciągnęły się łany zboża, których z powodu ustawicznych walk miejscowa ludność nie mogła uprzątnąć. Za naszą baterią ciągnęło się zorane pole.

Nasze działa przedstawiały obraz nędzy i rozpaczy. Najpierw więc wzięliśmy się do oczyszczania dział, co trzeba było tem spieszniej robić, że nasze działo miało pierwsze wstrzelać się w oznaczone punkty. Na punkt obserwacyjny, znajdujący się w okopach 20. pułku piechoty honwedów, udał się komendant dywizjonu kapitan Borucki i komendant baterii porucznik Kazimierz Schally.

Wkrótce też obsługa 1 armaty zaczęła pracować. Oddaliśmy kilkadziesiąt strzałów, po czym zaprzestano ognia, a nam kazano przygotować okopy oficerów, oraz zamaskować armaty. Po gałęzie, z których poustawialiśmy następnie niesamowite krzaki, udaliśmy się do pobliskiego lasu. Wkrótce praca została ukończona. Przy każdym dziale wykopany został dość obszerny okop dla obsługi i również zamaskowany gałęziami, jakieś 25 kroków w tyle dla oficerów.

Deszcz mżył. Moskale zaczęli od rana ostrzeliwać nasze pozycje, co było tem łatwiejsze, że nagromadzenie baterii na małej przestrzeni było duże. Nieprzyjaciel ostrzeliwał nas granatami i szrapnelami, przyczem zauważyliśmy, że większa niż zazwyczaj ilość granatów nie wybuchała. Pociski padały w odległości 1 kilometra do 40 metrów od naszej baterii.

Wszystkie baterie z naszej strony milczały. Deszcz na chwilę ustał i słońce zaczęło dopiekać. Nasi obywatele rozłożyli się na ziemi, by na sobie wysuszyć mundury po ulewie nocnej, lecz nierzadko trzeba się było przenosić, gdy zbyt blisko padł granat.

Trudno mi dziś ustalić pełny skład obsługi baterii. Wymienię tylko tych, których dokładnie sobie przypominam, przy tym jednak zaznaczyć pragnę, że zestawienie moje nie wyczerpuje nazwisk wszystkich kolegów. I tak obsługę 1 działa stanowili: Tomasz Kuśmierek, Piotr Wilner, Zwan Kowalski, Stefan Truchim, Michał Głowacki, Zawadzki i Aksentowicz, drugiej: Grzęsło, Konior, Grochowski, Gałczyński, Grzywa, Lubuśka, trzeciego: Ciecimirski, Krzepicki, Grzybowski, Gadomski, czwartego: Stanisław Kowalski, Witkoś, Surman, Stolarczyk, Pilecki. Telefonistami byli: Wilczyński, Krasnodębski, Karliński, Zieliński, Muściołek i Boratyn; kapralem wywiadowczym był Przypkowski, konnymi telefonistami: Gąsior, Łanowski, Kułakowski, Kowalski i Passendorfer, Siobowicz i Michałowski.

Obiad dostaliśmy wyjątkowo obfity. Przywieziono kluski — niebywała rzadkość — oraz każdy z nas „wyfasował" menażkę rumu. W czasie obiadu artyleria rosyjska zapaliła granatami wspomniany łan zboża na pniu. Czarne i rude chmury dymu, na których chylące się ku zachodowi słońce kładło się złotymi plamami, wzniosły się wkrótce nad lewą stroną lasu.

Przywieziono nam amunicję, którą poukładaliśmy obok jaszczów. Również pod lasem jakaś austriacka, czy pruska kolumna amunicyjna poukładała stosy amunicji. Tymczasem artyleria nieprzyjacielska zwiększyła ogień. Bateria nasza znalazła się w polu obstrzału, zdenerwowanie wzrastało, tym więcej, że w innych obok stojących bateriach było już kilku rannych i zabitych.

O godzinie 4-ej po południu kapitan Borucki, komendant baterii Schally, oraz podporucznik doktór Mankowski udali się na punkt obserwacyjny. Porucznik Schally, zdając sobie sprawę z możliwości przerwania przewodów telefonicznych w czasie bitwy pozostawił komenderującemu ogniem baterii porucznikowi Kilińskiemu dane wstrzelania się, na wypadek niemożności podawania komend z punktu obserwacyjnego.

Powoli, lecz nieustannie zbliżała się wyznaczona godzina ognia huraganowego. Otrzymałem razem z kolegą Wilnerem trzy dane, według których mieliśmy strzelać. Porucznik Kiliński słusznie przypuszczając, że w huku, który powstanie, obsługa nie będzie mogła słyszeć komendy, podał przed bitwą celowniczym elementy strzelania.

Godzina 6 minut 30.

Równocześnie ze wszystkich baterii rozpoczął się ogień. Nie było słychać poszczególnych strzałów, tylko jakiś ogromny huk, od którego drżało powietrze, a zdawało się, że drży i ziemia. Ośmdziesiąt dział, skupionych na małej przestrzeni, oddawało strzał za strzałem. Obsługa naszych armat pracowała bez wytchnienia. Sprawnie i cicho. Wyraz twarzy i ruchy rąk były jedynymi sposobami porozumiewania się. Strzelano według przedtem podanych elementów, bez komendy, szybko, najszybciej.

Od czasu do czasu przelatywały nad naszymi głowami ciężkie, o charakterystycznym poszumie „kuferki moździerzy austriackich". I artyleria nieprzyjacielska nie próżnowała. Strzelała rzadziej, lecz celniej niż zazwyczaj. Jeden z nieprzyjacielskich granatów padł na ustawioną pod la-

sem amunicję. Eksplodowała różnokolorowym fajerwerkiem z niezwykłym hukiem. Obok płonął jeszcze łan zboża. Główka jednego z nieprzyjacielskich szrapneli bezwładnie potoczyła się pod koła naszego działa. Kilkanaście kroków od naszego czwartego działa padł granat, zawalił jakąś ziemiankę, na szczęście nie wybuchł.

Pracowaliśmy bez wytchnienia, krzepiąc się w czasie strzelania rumem. Spojrzałem na kolegów. Twarze czarne od dymu, oczy przekrwione. W drugim dziale szrapnel eksplodował w lufie. Jeden z obsługi — bodaj Lubaśka — który poprawiając zerwany drut telefoniczny, znalazł się przed działem na chwilę przedtem, potknąwszy się padł na ziemię, nad głową przeleciał mu strumień żelaza. W czasie ognia nieprzyjaciel niszczył kilkakrotnie połączenie telefoniczne z punktem obserwacyjnym. Telefoniści nasi, na ochotnika, przywracali przerwane połączenia zawsze na próżno.

Przywieziono nam amunicję. W czasie przenoszenia z wozu skrzynek z amunicją pękł nad wozem szrapnel. Kule posypały się pod konie. Nic się nikomu nie stało, konie się jednak spłoszyły, a Czech woźnica, nie czekając aż zabierzemy resztę amunicji, podciął jeszcze konie i umknął. Że w tych warunkach połowa obsługi nie zginęła — to naprawdę cud boski. W czasie ognia porucznik Kiliński, nie korzystając zupełnie ze schronu, przechodził od działa do działa, kontrolując poprawki i kąty.

W nielepszych, a bodaj gorszych warunkach pracowali nasi oficerowie i telefoniści na punkcie obserwacyjnym. Najpierw punkt obserwacyjny był pod ustawicznym obstrzałem karabinu maszynowego, później znowu granat rozbił redutę, zasypał ziemią prawie wszystkich, tak że musieli zmienić punkt obserwacyjny. Jeszcze dwukrotnie zasypani ziemią od wybuchu granatów nieprzyjacielskich usiłowali mimo wszystko utrzymać kontakt z baterią. Trzykrotna naprawa drutów telefonicznych przez telefonistów punktu obserwacyjnego nie dała żadnych wyników. Nowe wystrzały natychmiast niszczyły dopiero co naprawione połączenia.

Wreszcie po dwu i pół godzinnym ogniu armatnim zapadła nagle cisza.

Baterie umilkły.

Był to zresztą najwyższy czas, gdyż ludzie zaczęli słabnąć z wyczerpania. Bateria nasza oddala około 600 strzałów, z czego działo pierwsze 159. Lufy działa rozgrzane były tak, że dotknąć ich ręką nie było można. Wynik naszego ognia był, jak później dowiedzieliśmy się, pozytywny.

Pierwsze okopy rosyjskie zostały zupełnie zniszczone i spalone. Atak piechoty jednak nie udał się, gdyż oddziały rosyjskie zaczęły go oskrzydlać i piechota zmuszona była wycofać się. Celu więc zasadniczego nie osiągnięto i kolano Stochodu pozostało nadal w rękach nieprzyjaciela.

Zaczyna padać ulewny deszcz, chłód się robi przejmujący. Rzuciłem się na ubitą ziemię w obok stojącej chacie i natychmiast zasnąłem.

Następnego dnia 20 lipca o godzinie 9 rano rozpoczęliśmy powrót na dawne pozycje. Deszcz nieustannie siekł, błoto utrudniało posuwanie się baterii. Rozpoczęty o 9 rano powrót zakończył się dopiero o 6 wieczorem zajęciem dawnych pozycji.

Taki był chrzest ogniowy pierwszej baterii haubic legionów polskich i tak zakończyła się „Zapomniana bitwa". Zapomniano zaś o niej dlatego, że oddziały legionowe, poza baterią haubic, nie brały w niej udziału.

Zapamiętali ją jednak na całe życie ci, którzy ją przeszli.

„Przywiązanie do broni, w której się służy, umiłowanie barwy, ukochanie pułku jest niezaprzeczenie jedną z najcenniejszych cnót żołnierskich. Jednak piechur, nie umiejący ocenić wartości innych rodzajów wojska, artylerzysta, i nie uznający innych broni, kawalerzysta, wynoszący się ponad wszystkich — jest być może, dobrym piechurem, artylerzystą, czy kawalerzystą — ale z pewnością jest złym żołnierzem. Tylko wzajemne zrozumienie, tylko znajomość cnót, wartości i słabości wzajemnych, tylko najsilniejsza współpraca między poszczególnymi oddziałami jest tym podwalinowym środkiem, który tworzy sprawną, bitną i zwycięską armię".

V. Przemówienie w szkole podchorążych 20. VI 1920 r.

ROMAN GÓRECKI

ARESZTOWANIE SZTABU POLSKIEGO KORPUSU POSIŁKOWEGO

Działo się w Łużanach, w siedzibie Polskiego Korpusu Posiłkowego, dnia 15 lutego 1918 roku, po południu.

Protestując przeciw traktatowi brzeskiemu, jako czwartemu rozbiorowi Polski — Brygada Karpacka szykowała się do nocnego marszu, by zerwać z wrażą potęgą państw centralnych i pójść na Ukrainę, połączyć się z formacjami, które się tam tworzyły i walczyć dalej o wolną Polskę.

Ubiegłej nocy omówione zostały wszystkie szczegóły marszu, a więc czas wymarszu, marszruta, miejsce zbiórki, miejsce przegrupowania, jednym słowem wszystko.

Cały plan ułożony został bez udziału i bez wiedzy Dowództwa Korpusu Posiłkowego i jego sztabu.

Mając sobie powierzone dowództwo nad formacjami i zakładami, podległymi bezpośrednio Korpusowi, wydawałem od rana potrzebne zarządzenia mające na celu wymianę koni artylerii, wydzielenie taborów, by zbytnio nie obciążać kolumny marszowej, rozdział nielicznej bardzo amunicji, wydanie racyj rezerwowych dla ludzi i koni — słowem wszystko, co jest koniecznym dla sprawnego rozpoczęcia marszu.

Zarządzenia te nie mogły ujść uwagi sztabu Korpusu. W pewnym momencie zapytuje mnie szef służby weterynaryjnej major Postolka, co to ma oznaczać, że jego ordynans otrzymał świeże racje rezerwowe, a piekarnie polowe wyjeżdżają na szosę? Powiedziałem, że musiałem uzupełnić racje rezerwowe, bo żołnierze je dawno pozjadali, a piekarni polowej nakazałem ćwiczenie w instalowaniu się w innym miejscu.

Zdawałem sobie sprawę z tego, iż niemożliwym będzie wyruszenie w drogę bez zwrócenia uwagi na to ze strony sztabu korpusu. Wiedziałem jednak, że na nocnej odprawie ustalonym zostało, że sprawę samego sztabu korpusu, a raczej ściśle mówiąc dowódcy korpusu generała Zielińskiego Zygmunta, załatwi brygadier Haller, który miał do niego przyjechać i z nim się rozmówić.

Generał Zieliński był przed południem na ćwiczeniach w 1 pułku artylerii. Przyjechał późno na obiad. Tymczasem z brygady nikt nie przyjeżdżał. W sztabie korpusu widać było niepokój jakiś i podniecenie, spowodowane niepewnością co do stanowiska generała, który już wyczuwał, że coś się dzieje i żądał co raz natarczywiej informacji.

Dopiero koło godziny 3 po południu, przyniósł mi chorąży Gruszka rozkaz z brygady: „Za wszelką cenę nie dopuścić, aby Austriacy czy Niemcy dowiedzieli się przed czasem o zamierzonym marszu brygady, gdyż w przeciwnym razie wszystko stracone".

Wobec tego, że od frontu dzieliło nas 30 — 40 kilometrów, że należało przechodzić obok Czerniowiec, gdzie była kwatera austriackiej grupy operacyjnej, wystarczył by jeden sygnał alarmowy, by całe przedsięwzięcie zniweczyć w samym zarodku. To też należało działać ostrożnie i stanowczo. Wezwałem do siebie porucznika Ocetkiewicza, który był dowódcą placu w Łużanach i zażądałem od niego 12 szeregowców z sierżantem na czele. Zastrzegłem, że muszą to być ludzie dobrani, pewni, gotowi na wszystko. Zdecydowałem się bowiem aresztować sztab korpusu, a następnie każdego oficera austriackiego, który by w tym czasie przyjechał do Łużan, lub przez Łużany przejeżdżał.

Porucznik Ocetkiewicz poszedł wybierać dla mnie ludzi, a ja skierowałem się do kwatery komendy korpusu. Przede wszystkim należało sobie zabezpieczyć wyłączne dysponowanie wszelkimi środkami łączności. Wydałem więc odpowiednie zarządzenia chorążemu Wallnerowi, dowódcy oddziału telefonicznego i kolumny samochodowej.

W razie żądania ze strony sztabu połączenia z komendami austriackimi należy połączenie dać, ale natychmiast przerwać i meldować uszkodzenie linii.

Po pewnym czasie słyszę zbliżające się kroki w stronę kwatery korpusu. To Ocetkiewicz przysyła mi żądany patrol. Przyprowadził ich sierżant. Melduje mi 12 ludzi. Spojrzałem po twarzach: poważni, zawzięci — z oczu im można wyczytać, iż gotowi na wszystko. Część ich zostawiłem pod domem, a resztę wraz z sierżantem wziąłem ze sobą do kwatery korpusu.

Z pokoju wychodzi do mnie porucznik Malinowski i daje mi plik dokumentów podróży, bym je dla pewności schował, by ktoś czasem nie wyjechał w niepożądanym kierunku. Następnie zwraca się do mnie z prośbą, że już najwyższy czas, żebym rozmówił się z generałem, bo ten wydaje rozkazy kapitanowi Pomazańskiemu, by czy to telefonicznie, czy samochodem nawiązał łączność z komendą armii.

Wszedłem więc do pokoju generała Zielińskiego, gdzie był zebrany cały sztab korpusu. Generał stał przy stole, wpatrując się we mnie swymi zmrużonymi, jakby w głąb czaszki zapadłymi oczyma.

W tym krótkim momencie przeżyłem całą tragedię bezpańskiego żołnierza. Oto stałem wobec mego generała, dowódcy którego kochałem i czciłem jak ojca i któremu miałem meldować, że jego pułki „zbuntowały się" wobec swej dotychczasowej „Władzy" i że za godzinę, dwie ruszą na wschód, by sobie nowych dróg szukać i o Polskę dalej walczyć. Chciałem mu przeciwstawić jakiś autorytet, na czyjś rozkaz się powołać, nie mogłem poprostu powiedzieć: „Oficerowie II Brygady idąc za wolą całego żołnierstwa postanowili wypowiedzieć posłuszeństwo naczelnej komendzie armii austriackiej".

Te rozważana jednak i refleksje — to była kwestia sekundy. Stanąwszy przed generałem, meldowałem salutując: „Panie Generale, melduję posłusznie, że z rozkazu Naczelnego Komitetu Polskich Organizacyj Wojskowych wypowiedzieliśmy posłuszeństwo armii austriackiej". Generał mi przerwał: „Z czyjego rozkazu?!" „Z rozkazu Polskiej Organizacji Wojskowej". I dalej jednym tchem meldowałem o całym planie i wszystkich jego szczegółach; nadmieniłem, że mamy nadzieję, że i 16 pułk austriacki landwery (w której służyli sami Polacy), także z nami pójdzie; w końcu prosiłem Generała, by szedł z nami, że to jest jedyna nasza odpowiedź dana państwom centralnym za czwarty rozbiór Polski!

Generał wsparty o krzesło, słuchał uważnie mego meldunku, w pewnych momentach żądał uzupełnienia, utkwił we mnie swoje siwe stroskane oczy... widziałem przed sobą człowieka, pod którym ziemia się zapadała.

Wtedy powiedziałem: „Panie Generale! Zapytuję posłusznie, czy Pan Generał pójdzie z nami, czy nie?"

Generał jakby z odrętwienia się obudził, machinalnie ręką do kieszeni sięgnął, a potem mierząc mnie swym złamanym wzrokiem powiedział: „To wy mnie tutaj zabijcie!" Wtedy oświadczyłem: „Biorę Pana Generała pod przymus wojskowy". — Nie chciałem, nie mogłem powiedzieć: „Aresztuję Pana, Panie Generale!". Potem zawołałem do sieni „Sierżant! Jeden posterunek do mnie!" I wszedł do pokoju żołnierz, stanął z bronią u nogi, na karabinie miał bagnet. Wskazałem ręką generała; żołnierz stanął za nim w odległości dwóch kroków.

Generał spojrzał po obecnych, do mnie powiedział: „Jestem do pańskiej dysypozycji" i usiadł na krześle.

Wtedy zwróciłem się do szefa sprawiedliwości majora Ganczarskiego z zapytaniem, czy pójdzie z nami. Ganczarski oświadczył, że on słucha tylko rozkazów swego generała - dowódcy i zwrócił mi uwagę na konsekwencje, jakie ściągam na siebie moim postępowaniem. Wobec tego aresztowałem go, stawiając przy nim drugiego żołnierza.

Wtedy zwróciłem się do szefa sanitarnego podpułkownika doktora Rogalskiego, który oświadczył, „Jak wszyscy idą, to i ja pójdę".

Wreszcie aresztowałem również szefa służby weterynaryjnej majora Postolkę i zastępcę szefa sztabu kapitana Pomazańskiego.

Po wyjściu z pokoju, w którym został aresztowany sztab, zostałem tam ponownie wezwany przez generała Zielińskiego.

Generał starał się mnie przekonać, że go niepotrzebnie biorę ze sobą, że on po tamtej stronie frontu dowództwa nad nami z powrotem nie obejmie, cudzych laurów zbierać nie będzie, a wobec tego, że jest stary i schorowany, więc pożytku z niego żadnego nie będzie. Wreszcie zaproponował mi, bym go zostawił na miejscu, a on ręczy słowem oficerskim, że do przyjścia Austriaków z miejsca się nie ruszy. Nie mogłem odmówić dużej słuszności argumentacji generała. W drugim pokoju natknąłem się na rotmistrza Okołowicza i podpułkownika Rogalskiego, którzy, gdy im zakomunikowałem prośbę generała, zaczęli mi radzić, bym się na pozostawienie go nie godził i zabrał go z nami, obaj nie tracicili jednak nadziei, że po przejściu da się przebłagać i obejmie z powrotem dowództwo korpusu. Najbardziej zaś przekonywującym był ich argument, że po naszym przejściu odbierze sobie życie.

Dość było zresztą spojrzeć na niego, by się upewnić w tym przekonaniu.

Wróciłem więc i zameldowałem generałowi, że jego prośbie zadość uczynić nie mogę, co tenże przyjął z rezygnacją do wiadomości.

Potem zacząłem się naradzać z Okołowiczem, jak zaaranżować eskortowanie generała.

Czas naglił. Udałem się do generała i zapytałem go, z kim chce jechać w samochodzie w czasie marszu. Zburczał mnie za to mówiąc: „Poneś tutaj komendantem! Z kim Pon każesz, z tym pojadę". — Wtedy oświadczyłem: „Pojedzie Pan Generał z podpułkownikiem Rogalskim, a rotmistrz Okołowicz pojedzie z panami, jako eskorta". Generał odpowiedział: „Widzisz Pon. Tak, to rozumiem! Jestem do pańskiej dyspozycji".

Za chwilę ruszył w stronę frontu samochód wiozący generała.

Nie przypuszczał wtedy, że za kilka godzin będzie ponownie aresztowany — tym razem... przez wojska austriackie.

Załatwiszy się w ten sposób ze sztabem, wychodziłem z kwatery by dosiąść konia i wyjechawszy naprzód, nawiązać łączność z piechotą, która w tym czasie już była w marszu.

Wtedy zwrócił się do mnie porucznik Barzykowski Stanisław i zwrócił mi uwagę na sytuację, w jakiej znajdą się rodziny aresztowanych oficerów austriackich, a mianowicie: gdy nie będzie stwierdzone, że przeszli pod przymusem, wtedy władze austriackie wstrzymają im uposażenie i stosować będą różne szykany.

Wobec tego postanowiłem wystosować do naczelnej komendy armii austriackiej jakieś pismo czy protokół, z którego by wynikało, że protestując przeciw czwartemu rozbiorowi Polski wypowiadamy Austrii posłuszeństwo, a następnie, że sztab cały poszedł z nami pod przymusem.

Wtedy podyktowałem sierżantowi Mielochowi, który pisał na maszynie następujący protokół:

Dowództwo
Polskiego Korpusu Posiłkowego

PROTOKÓŁ.

Dnia 15 lutego 1918 r. o godzinie 6.30 wieczór z rozkazu mej chwilowej bezpośredniej władzy przełożonej przedstawiłem generałowi Zielińskiemu w formie służbowego raportu, że drugi i trzeci pułk piechoty, 1 pułk artylerii, kompania saperska i inne oddziały, podległe bezpośrednio Dowództwu Polskiego Korpusu Posiłkowego zakwaterowane na Bukowinie w ciągu dzisiejszej nocy, wypowiadają posłuszeństwo c. i k. armii austriackiej, jako protest przeciwko IV rozbiorowi Polski, a następnie przechodzą celem połączenia się z Naczelnym Dowództwem Wojsk Polskich, tj. z generałem Muśnickim. Gdy na zapytanie moje, czy generał Zieliński, ppłk. Rogalski, mjr Ganczarski, mjr wet. Postolka i kpt. Pomazański decydują się pójść z nami, oświadczyli odmownie, zameldowałem, że z tą chwilą wszyscy wyżej wymienieni oficerowie zostają do tego zmuszeni przemocą wojskową. Następnie oddałem ich wszystkich pod straż.

Łużany, dnia 15 lutego 1918 r., godz. 7 po poł.

Jako świadek:	Wykonawca rozkazu:
N. Okołowicz, rtm.	*Dr. Górecki Roman*, kpt. int.

Dla nadania temu dokumentowi większej wiarogodności, poleciłem rotmistrzowi Okołowiczowi, by go podpisał jako świadek, co też uczynił.

Protokół ten zostawiłem kapitanowi Lewartowskiemu dla doręczenia odnośnym władzom austriackim.

„Cała sztuka dowodzenia jest zrozumienie rozkazów wodza, przeniknięcie ich ducha przez podwładnych".

„Im bardziej praca jest indywidualna, tem jest silniejsza w swoich przejawach, im bardziej ludzie indywidualnie silni podadzą sobie ręce dla wspólnej pracy, tym jest bezpieczniejszy naród".

OBYWATELE!

Przed dwoma laty strudzone pracą przestało bić serce JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO.

Skurczem bólu odpowiedziały miliony serc w Narodzie. Troską zasnuły się oblicza. Prysł spokój o jutro, którym oddychał każdy, gdy losy Państwa w Jego ręku widział.

Dziś w Jego naukach pragniemy znaleźć wskazania, jak spokój odzyskać, na czym poczucie naszej mocy zbiorowej ugruntować.

Zajrzyjmy w prawdziwą treść tego co robił, a tam odpowiedź znajdziemy.

Los i Duch Jego Wielki kazały mu przez całe życie drogi znaczyć, samemu iść w awangardzie i budzić ducha w Narodzie. Budzić, by własne siły rozprężył, by na swoje sumienia i honor swój byt Rzeczypospolitej przejął.

By w poszanowaniu praw własnego Państwa, w służbie dla niego, w jego obronie Naród przyszłości swoją własnym budował wysiłkiem.

Testament ten, w rocznicę zgonu przypomniany, niech na każdy dzień naszego życia wskazaniem będzie.

NACZELNY KOMITET UCZCZENIA
PAMIĘCI
MARSZAŁKA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

OBYWATELE!

Na XIII. Walnym Zjeździe Delegatów Związku Legionistów Marszałek Śmigły Rydz rzucił zapowiedź pracy nad zorganizowaniem kierowanej woli ludzkiej w Polsce.

Powstający Obóz Zjednoczenia Narodowego jest realizacją tej zapowiedzi. Przed szerokiemi warstwami społeczeństwa zostaje otwarta możliwość zorganizowanej pracy nad „podciągnięciem Polski wyżej".

W pracy tej nie powinno zabraknąć żadnego legionisty. Liczę na Wasze wypróbowane ręce.

Zrozumiałem jest oczekiwanie na instrukcję Komendy Naczelnej co do form udziału członków Zw. Leg. w tworzącym się Obozie.

Na odprawie Prezesów Zw. Leg., która się odbyła w Komendzie Naczelnej dnia 18 lutego dałem wyjaśnienia co do założeń ogólnych i organizacyjnych Obozu:

Nie powinno w nim braknąć nikogo kto z dobrą wolą chce pracować dla Polski. Każdy z Was postawą i działalnością winien przyczynić się do tego, by zasięg obejmowanych prac stał się najszerszy.

Prace organizacyjne Obozu obejmą w pierwszym okresie przede wszystkim odcinek miejski i wiejski. W następnej działalności ogarnie dalsze środowiska.

Formowanie odbywać się musi od góry, starannie, bez zbytniego pośpiechu, który tak często zamiast pożytku przynosi szkodę przez niedość przemyślaną formę pracy. Na poszczególnych terenach wojewódzkich pracę organizacyjną powierzyłem osobom, których nazwiska zostały podane do wiadomości publicznej przez prasę.

Obowiązkiem Waszym jest przyjść im w tej pracy z pomocą. Jest to pierwsza zaczątkowa sieć organizacyjna, która dopiero następnie z tymczasowej przetworzy się w trwałą i stałą.

W miarę dalszego rozwoju prac organizacyjnych Obozu wykrystalizuje się ściślej rodzaj współpracy ośrodków organizacyjnych Związku i poszczególnych członków z Obozem.

Tendencją moją jest by wszystkie żywe elementy z pośród b. legionistów wzięły jak najczynniejszy udział w pracach Obozu.

Nie należy jednak nikogo zmuszać do brania czynnego udziału w pracach Obozu. O tym decydować musi wewnętrzne, głębokie przekonanie każdego człowieka.

ADAM KOC
Komendant Naczelny Zw. Leg.

ADAM DOBRODZICKI

DO MŁODEGO POKOLENIA

Nakazy Waszego pokolenia, które jest zaczynem najbliższej przyszłości, nie mogą być wyprowadzane z tego, że nasze pokolenie zdobyło niepodległość państwową. Nie wolno Wam uznać siebie jako przyczepkę do już wykonanej pracy, ani odczuć siebie jako spożywców już zdobytego dobra. Wam danem jest Niepodległość dalej budować i poszerzyć. Spocząć nie wolno! Nakazy Wasze, jak syn z ojca, wywodzą się z tego samego źródła, z którego wyszedł ruch niepodległościowy, to znaczy z pędu do odrodzenia. Jesteście naszymi dziećmi w czasie, ale w czynie jesteście naszymi braćmi. Wyszliśmy ze wspólnego źródła, którym jest wspólny nam pęd do odrodzenia. Zdobycie niezależności gospodarczej,społecznej, kulturalnej, stanowi w pracy Waszej dalszy ciąg wielkiego zmagania się o Niepodległość. Nasz i Wasz wysiłek, Wasze i nasze prace razem wzięte, to jest wielkie rodzeństwo zadań, — ocena ich musi być wspólna na miarę ich ogromu. Nie należy mieszać zadań tych rodowodów. Wspólnie, a zarazem wzajemnie uzależniają one siłę naszego wyzwolenia. Nie dajcie więc zamącać Waszej prawdy. Dziś młode pokolenie ma przez los przydaną tę samą wielkość, jaka była udziałem starszego pokolenia.

Ten sam pęd do odrodzenia, który w minionych latach nas postawił w karnym szeregu żołnierskim, wymusi i na Was karność, która będzie potrzebna Waszym zadaniom w walce o odrodzenie gospodarcze, społeczne i kulturalne. Wiedzcie, że co nie jest bronią na drodze tego wielkiego zadania, jest mącicielstwem. Bo nie historyczne ani naukowe prawdy, lecz prawda położenia narodowego wytycza i przesądza, co w danym pokoleniu ma być zrobione, a co ma być odłożone lub pominięte.

Wszystkiego naraz zrobić nie można. Krwi na to nie starcza. Macie wiedzieć, że jeśli się do Was zwracamy dziś, w ten dzień uczczenia Ducha Józefa Piłsudskiego, to czynimy to w uczciwym poczuciu, że jeśliby nasza i Wasza praca nie znalazła wspólnej prawdy, to związanie wszystkich Waszych i naszych zadań tylko zakłamie grunt i istotę odrodzenia. Tą wspólną prawdą jest i tą wspólną prawdą pozostanie to, że niepodległość musi być zdobytą we wszystkich dziedzinach życia narodu. Bo niepodległość znobyta w jednej dziedzinie życia nie może być przyczynkiem do podtrzymywania przeżytych norm zniszczenia niewolą. Niepodległość państwa nie może być kwiatem na ugorze niewolniczego trwania.

Macie wiedzieć, że ojcowie Wasi, gdy mieli dość charakteru aby przejść do porządku dziennego nad różnicami swych przekonań, zdolni byli kłaść podwaliny siły. Wy, młodzi, macie być napiętnowani dziedzictwem tej samej siły charakteru bodaj w przełomowej chwili swego życia, jeśli nie macie się stać stróżami bezradności w rozbiciu. Przecie i Wy chcecie poczuć, że wysiłek Wasz wbudowany zostaje w podwaliny współczesności jako jedynej podstawy Waszej pracy przyszłej. Przecie i Wy nie chcecie być tylko widzami życia i odbiorcami cudzej pracy, lecz chcecie poczuć się wprzęgniętymi w dyszel współczesności. Przecie nie z Waszej winy bronią Waszego młodzieńczego czynu zbyt często stawała się ucieczka od zaleceń i otrzymywanych rad, skoro ucieczka ta bywała Waszym uchylaniem się od prawd poprawianych przedawnionymi sądami i teoriami, a nie potrzebami, które położenie narodu narzuca.

Życie każdego z nas ma wartość przede wszystkim w tym pracy naszej ułamku, który odpowiada narodowemu położeniu i narodowemu charakterowi. Można iść niezależnie od tego położenia i przeciw temu charakterowi. Ale czy w tym należy szukać prawdy? Przecie źle jest spiskować przeciw własnej sile.

W latach naszej młodości również żerowano na zapalczywości naszego młodzieńczego wieku. Szczepiono nam i myśmy szczepili innym, hasła może piękne, ale obce i dalekie. W następstwie tego musieliśmy się przebijać do zrozumienia rzeczywistego położenia własnego narodu. I na nas również nastawiano pułapki. W trudach tych, jednych z nas starło życie do poziomu biernej masy — innym danym było odczuć w sobie zew czasu. I tylko ci znaleźli się w bojowym szeregu. Beprzedmiotowymi stały się nam wówczas sprzysiężenia i zobowiązania i dlatego musiały one od nas odpaść. Bojowość właściwa zadaniom czasu wskazała nam właściwe drogi. Zadaniem stało się nam bowiem to, co przeszłość pozostawiła w największym zaniedbaniu.

Wy również ulegniecie takiemu nakazowi.

Jak długo tkwi się w związaniu odrodzenia z niewolniczością, tak długo trwa się w walce wartości ze sobą sprzecznych, zawisa się w sprzeczności celów, które spychają na drogi samowoli. Zdobycie niepodległego porządku w różnych dziedzinach narodowego życia jest warunkiem obronnej trwałości. Zapominać jednak nie można, że rozbudowa własnej formy, własnego porządku, nie ogarnia odrazu wszystkich dziedzin narodowego życia. Na plan pierwszy wysuwają się same przez się sprawy, które przeszłość pozostawiła w największym zaniedbaniu. One to urastają do miary docisku powszechnego. Powszechny docisk budzi dopiero siły niezbędne do przezwyciężenia oporów na drodze do odrodzenia. W ten sposób sprawa staje się wyrazem współczesności skupia przy sobie siły i siłą swą zdobywa cechy rozstrzygające o zwycięstwie.

Powaby wielkich haseł przyniesionych z obcych, a często i z wrogich nam środowisk, mogą nie tylko bałamucić nam sąd w wyborze drogi, ale również mogą wogóle nie posiadać charakteru środków nam właściwych. Dlatego i Wy odczujecie jako zew czasu tylko to, co na drodze swej zastaniecie w najgłębszym zaniedbaniu, co dorośnie już do miary powszechnego docisku.

Bojowość Wasza sprawi zawód wszystkim tym, którzy chcieliby czujność Waszą zmącić. Bo w Waszym pokoleniu ci, którzy odczują w sobie zaczyn wiary, porwani będą w karnym szeregu do spełnienia tego zadania, które czas postawi jako wielkość przydaną wam przez los. Przedwczesne są utyskiwania i żale, przedwczesne chytre zacieranie rąk, skoro wszyscy, którzy niesiecie w sobie siłę, pójdziecie ku jednej sprawie, bez względu na dzisiejsze rozbieżności przekonań i sprzeczne namiętności.

I zrozumiecie wówczas, że naśladownictwo obcych wzorów nie prowadzi do zwiększenia naszej niezawisłości, ponieważ spycha nas w psychiczną i kulturalną zależność, ponieważ wtłacza nas w obcą formę i zniża do roli odbiorców cudzego wysiłku. I pogodzicie się z tym, że ład równoległych, a nie równoczesnych wysiłków w pracy w różnych dziedzinach narodowego życia stanowi sprawdzian, że idzie się we właściwym kierunku. Bo moc wzajemnego uzupełniania się prac otworzy prawdę przed Waszymi oczami.

Właściwa nam forma, właściwy porządek tkwi w charakterze narodu, a tym samym zapewnia wszystkim udział w twórczym wysiłku.

Nasza forma odwiecznie przejawiała się jednakowo w sztuce ludowej, w prawie polskim, w splocie energii i lenistwa, w systemie wojowania, w porządku społecznym, w typie ruchu i spoczynku, w konstrukcji siły i zespołu.

Polega ona na wiązaniu w jednym kształcie czynników o różnym napięciu, opanowanych wspólnym zadaniem. W ten sposób rzeczy wielkie i proste ze swymi odpowiednikami małości i krzywizny, splątane z ruchliwością i siłą, z przyczajoną słabością czy natręctwem skupiają w natężeniu jednego wyrazu nieoczekiwaną barwę i wielkie decyzje. Blaski bohaterstwa związane z ciemnymi zakamarkami wstydliwości ludzkiej, siły małe obciążane wielkimi zadaniami i rozdęte zasoby grzęznące w obojętności, ospałość i awanturniczość owładnięte jedną wolą dawały świetne zwycięstwa. Równość prawa sprzęgnięta z samowolą i wybujałością jednostek ogarnięte poczuciem wspólnego wyrazu ujawniały wielkie poświęcenia. W tym splocie różnic i sprzeczności objętych wspólnym celem czy zadaniem, leżała tajemnica naszych zwycięstw i pomyślności, oraz źródło naszych imponderabiljów.

Przeróżne formy federacji i unji wartości wielkich i małych ujęte dłonią silną i charakterem nieugiętym, dawały nam przedziwne wyniki i zwycięstwa, jak również prowadziły do zupełnej zagłady i poniewierki, gdy brakło dłoni silnej i nieugiętego charakteru.

Obcym jest nam azjatyckie zagubienie w wielkości i niemieckie wyrównanie, jak obcym był nam immunitet rzymski czy feudalny.

Ale, że właśnie tak jest, że właśnie służba sprawie narodowej przygiąć i udźwignąć musi splot sprzeczności i bierności, wiedzcie, że najnikczemniejszą wysługą wyrządzaną przyszłości naszej, jest niszczenie ludzi z charakterem.

Bo czyjeż ręce i ku czemu łączyć będą siły nasze, jeśli my sami wyniszczać będziemy ludzi z charakterem? Czy siłę charakteru zastąpić ma frazes o jakichś tam ludzkościowych cnotliwościach, uprawiamy w imię jakichś doskonałych wolności sumienia, woli i praw żerujących na cudzym wysiłku? Czy siłę odpowiedzialności ma zastąpić podła nadzieja, że ofiarną służbę narodowi zawsze oddadzą tylko jacyś zwariowani ochotnicy, którzy zachłystywać się będą urokami własnego osamotnienia w pracy?

ADAM NIEZABITOWSKI

Z DORAŹNYCH OBOWIĄZKÓW

Warto przypatrzeć się temu, co dzieje się dookoła... jakie spustoszenia w naszej odporności szerzy wroga nam propaganda.

Wroga praca wciska się wszędzie. Jednako podstępnie atakuje ona organizacje lewicowe i prawicowe, postępowe jak i zachowawcze nie wyłączając związków religijnych. Ryje wszędzie i nieustannie. Nie znaczy to, żeby ta krecia robota miała organizacje rozbijać, lub narzucać im swoje programy dla żmudnego pozyskiwania wyznawców. Zdobywanie wyznawców to sprawa długa, ciężka i zawodna. Łatwiej jest zniszczyć siły w narodzie przez rozbudzanie skrajności. Wszelkie przecież skrajności najpewniej muszą prowadzić do poróżnienia ludzi, do zepchnięcia mas ludzkich na różne drogi. A czy drogi te będą sobie wrogie i przeciwne, czy też tylko rozbieżne, to wynik tego będzie ten sam. Jedne i drugie rozprowadzają życia narodu na bezdroża, jedne i drugie zjadają siły i czas. Dlatego to rozbudowa skrajności wewnątrz społeczeństwa najskuteczniej prowadzi do rozbicia sił i najpewniej wydaje na łup cudzych zamysłów.

W takich warunkach nasze poczucie powinności nie może się dać zaciemniać przemijającym rozgrywkom między poszczególnymi grupami w społeczeństwie. Nie możemy się okłamywać „chmurami dymnymi" straszaków, i budować rozbrat wewnętrzny dla doraźnych powodzeń. Bo rozbrat najpewniej gwarantuje zniszczenie odporności.

Trudności, jakie przed narodem stoją, nie można opanować tylko w ciasnym kółku, jakby w kapliczce własnych wyznawców. Skoro krzyżują się i uzupełniają złośliwości obcej roboty burzycielskiej, to muszą również skrzyżować się i uzupełnić nasze przekonania, aby odpadło z drogi naszej wszystko co nie jest ważne, a pozostało to co siłę daje, co łączy.

Nam, którym nigdy nie zbrakło namiętności, los każe budzić namiętność w zwalczaniu rozbieżnych dążeń i sprzecznych woli.

Kiedyś przed laty Komendant powiedział: „nie myślcie, że się skończyło — naród, który przynajmniej trzech pokoleń nie przeprowadzi przez zmilitaryzowanie, muszą djabli wziąść..."

Kto ma wiedzieć lepiej od Komendanta jak się montuje wytrwałość?

Dziś musimy podeprzeć wysiłek, który służy sprawie przysposobienia wojskowego. Trzeba nam wytrwać w tej pracy nie dlatego, że szmat życia własnego związaliśmy z wojskiem, ale że czasy dzisiejsze nakazują dać więcej serca, więcej troski, więcej środków wiązania sił naszych. Należy przeszczepić innym zrozumienie, że są rzeczy, które winny się rozwijać niezależnie od różnic przekonań. W naszej dawnej pracy nikt się nie pytał o przekonania, bo ważnym było tylko to, co się w służbę wnosiło. Legionowa brać miała w szeregu ludzi różnych zapatrywań a przecie różnice przekonaniowe odpadły od nich wobec służby.

Dzisiejsze czasy nie są łatwiejsze; wymagają one też siły woli.

Wiadomo, że już przystąpiono do tego, aby całą młodzież szkolną ogarnąć wspólną troską. Przysposobienie do obrony ma być troską nieodstępną przy nauce wszystkich przedmiotów; ono winno młodzieży dać zdolność wzięcia na siebie odpowiedzialności na życie własne i zbiorowe zarówno w pracy zawodowej jak i w służbie obronności państwa. Ta służba ogarnia wszystkie ich dążenia, bo nie ma zawodu, któryby nie był składową częścią siły narodu, nie ma zdolności, któraby nie była potrzebną sile narodu, i nie ma temperamentu, któryby nie mógł znaleźć ujścia w pracy dla siły narodu.

Ale szkoła nie obejmuje wszystkich.

Pamiętacie jak kiedyś w lata ciężkie, najcięższą udręką nam było to, że nas jest mało, że za mało nas jest do udźwignięcia tych zadań, które musiały na drodze stanąć. Pamiętajmy, że dziś zadań jest nie mniej, ale między młodymi jest dość ludzi, którym życie nie pozwala bawić się w nastroje, którym twardy żywot nie daje wyboru między tym co się im podoba lub nie podoba. Ciężki trud każdego dnia buduje w nich wolę. W szeregach ich są młodzi Strzelcy. Między nimi szukajmy charakterów. Zadania, które stoją przed nami wymagają wielu charakterów. Odpowiedzialności wmawiać im nie potrzeba, bo na ich grzbiecie wybija czas niedostępną odpowiedzialność za życie własne.

Jeśli umieliśmy przewidywać zamysły cudze, i na cudzy manewr znaleźć manewr własny, to w dużej mierze dzięki temu, że w codziennym życiu zdolni byliśmy w gromadzie swobodnie

żyć i wzajemnie sobie ufać mimo różnic przekonań; że umieliśmy liczyć się nie tylko ze swoją, ale i cudzą myślą, że umieliśmy cudzą myśl dobrą przerobić na broń dla sprawy wspólnej. I w naszym szeregu bywały martwe dusze jak były i martwe pola przed nami, a jedni i drugie dały się użyć skutecznie. Byli ludzie „górni i chmurni“ a byli i leniwce grząskie jak torfowe bagna, a jedni i drudzy mieli służbę swoją. Bo cóż z tego, że niektórzy się zacinali, lub czasem zawadzali? Karabin się również zacinał, a nikt nie myślał o jego odrzucaniu. Maskowało się nieraz nietylko pozycje, ale maskowali się i poniektórzy żywi, a czasem bój cały był tylko maskaradą, a mimo wszystko naprzód szło się do zwycięstwa, nawet wówczas, gdy słabym zdawało się, że już wszystko pogrzebane.

Przeciwności było wśród nas dość, ale nie zaćmiewało to jasnego widzenia. Przeciwności przemijały, a zasłało się zwycięstwo tego, co wspólne nam było, co było wielkie ponad miarę wszystkich małości naszych razem wziętych.

W gromadzie różnice były jakby dla rozmaitości, aby nuda nie miała dostępu. Bywało ciężko ale nie bezradnie. Bywał i bałagan też, ale to jakby dla odpocznienia.

Dlaczegóż by więc miało dzisiaj zbraknąć woli? Przecie do naszych przywar nigdy nie należała płochliwość.

Trzeba aby nas nie zbrakło przy budowaniu sił. W rozproszeniu naszym po całym kraju wszędzie możemy przyjść młodszym z dobrą współpracą. Nie bójmy się przekazać im naszą dawną obliczalność szeregu w pracy, naszą gotowość, która znała przede wszystkim niezmęczoną przebojowość.

Są czasy takie, co przeboju potrzebują.

„Partia socjalistyczna jest w ręku polskiej klasy robotniczej nietylko tą udoskonaloną bronią, która ułatwi obalenie najazdu i urzeczywistnienie dzisiejszych jej żądań, lecz zarazem jest tym środkiem, który pozwala proletariatowi zastąpić brak niezbędnych swobód politycznych na drodze tajnego życia organizacyjnego".

„Rachunek każdego wodza od siebie, od swych własnych wartości, od swych własnych sił zacząć się powinien, dopiero wtedy można myśleć o tych, z którymi walczy, dopiero wtedy, kiedy rachunek ten co do siebie zrobił, tylko wtedy wolno mu przejść do rachunku nieprzyjaciela i do rachunku tego, co spotkać może na swej drodze".

„Trzeba mieć silną wolę i pewność siebie, a przyszłość jaśniejsza będzie, niż smutne nieraz „dzisiaj“. Wśród ludzi, którzy w trudnym swojem życiu ciężkie łamali przeszkody i którzy mimo to nadal będą optymistami, spokojnie można mówić o trudnościach, które przyszłość nastręczy"

„Gdzieś z pod Wawelu królewskie oczy patrzą nie wzrokiem, lecz ciemnymi oczodołami! A koło królewskich grobów w obcy mundur ubrany żołdak wartę trzyma. A kopiec Kościuszki w forty i armaty nie swoje, lecz obce ubrany!"

„Legiony stworzyły w Polsce, odrodziły na nowo typ dobrego żołnierza. Ta zdobycz może w przyszłej historii stanowić będzie więcej, niż te, czy inne przewagi w tych, czy innych bojach. Potrafiliśmy swym wysiłkiem, swojem sercem, swoją wielką pracą i wolą dać Polsce nowy kulturalny nabytek — dać typ dobrego żołnierza polskiego“.

DZIAŁ INFORMACYJNY

I. KOMENDANCI KÓŁ PUŁKOWYCH I ICH ZASTĘPCY.

1 p. p. Leg. Pol.:

Komendantem Naczelnym Koła, decydującym o życiu ideowym i organizacyjnym Koła jest Marszałek EDWARD ŚMIGŁY RYDZ.

Inspektor Koła —
ob. gen. dyw. Dąb-Biernacki Stefan;
I. Zastępca Komendanta Naczelnego —
ob. gen. bryg. Kruszewski Jan;
Komendant Koła z siedzibą w Wilnie —
Dca 1 p. p. Leg. Pol. — ob. ppłk. dypl. Burczak Kazimierz.

Organizacja Koła dostosowana do Regulaminu Kół Pułkowych zostanie ogłoszona dodatkowo.

2 p. p. Leg. Pol.:

Komendant Koła —
ob. gen. bryg. Malinowski Tadeusz;
I. Zastępca —
ob. płk. dr. Stefanowski Antoni;
II. Zastępca —
ob. płk. dr. Kiełbiński Adam.

3 p. p. Leg. Pol.:

Komendant Koła —
ob. gen. bryg. Zając Józef;
I. Zastępca —
ob. płk. dypl. Parafiński;
II. Zastępca —
ob. płk. Turkowski Marian.

4 p. p. Leg. Pol.:

Komendant Koła —
ob. mjr dr. Polakiewicz Karol;
I. Zastępca —
ob. gen. bryg. dr. Kołłątaj-Srzednicki Jan;
II. Zastępca —
ob. Bugajski Stanisław.

5 p. p. Leg. Pol.:

Komendant Koła —
ob. gen. bryg. Olszyna-Wilczyński Józef;
I. Zastępca —
ob. wiceminister Ferek Błeszyński Jerzy;
II. Zastępca —
ob. płk. dypl. Koc Leon.

6 p. p. Leg. Pol.

Komendant Koła —
ob. gen. bryg. Orlik Rückeman Wilhelm;
I. Zastępca —
ob. ppłk. dr. Jakubowski Tadeusz;
II. Zastępca —
ob. płk. dypl. Pełczyński Tadeusz.

VI. batalion I bryg. Leg. Pol.:

Komendant Koła —
ob. gen. dyw. Piskor Tadeusz;
I. Zastępca —
ob. płk. dypl. Świtek Miedziński Bogusław;
II. Zastępca —
ob. płk Grossek Michał.

Organizacja Koła dostosowana do Reg. Kół Pułk. zostanie ogłoszona po Walnym Zebraniu, które odbędzie się w dniu 27 czerwca b. r.

1 p. uł. Leg. Pol.:

Komendant Koła —
ob. płk. Belina Prażmowski Władysław;
I. Zastępca —
ob. gen. bryg. Głuchowski Tadeusz;
II. Zastępca —
ob. płk. Korniłowicz Tadeusz.

2 p. uł. Leg. Pol.:

Komendant Koła —
ob. płk. Świdziński Bolesław;
I. Zastępca —
ob. ppłk. dypl. Mniszek Adam;
II. Zastępca —
ob. mjr s. d. Maetsche Jan.

1 p. art. Leg. Pol.:

Komendant Koła —
ob. gen. bryg. Knoll Kownacki Edmund;
I. Zastępca —
ob. płk. Maciejowski Mieczysław;
II. Zastępca —
ob. płk. Gałązka Michał.

Formacje pozapułkowe:

Komendant Koła —
ob. płk. Ciborowski Roman;
I. Zastępca —
ob. płk. int. dypl. Barzykowski Stanisław;
II. Zastępca —
ob. płk. Sidorowicz Czesław.

II. PRZEDŁUŻENIE TERMINU WNOSZENIA WNIOSKÓW O NADANIE KRZYŻA i MEDALU NIEPODLEGŁOŚCI.

Izby Ustawodawcze uchwaliły ustawę zmieniającą Dekret Prezydenta Rzeczypospolitej o nadawaniu Krzyża i Medalu Niepodległości, przedłużając termin zgłaszania wniosków na odznaczenie do 31 grudnia 1937 r., a samo nadawanie do 30 czerwca 1938 r. Równocześnie zostało uchwalone postępowanie honorowe dla osób odznaczonych Krzyżem lub Medalem Niepodległości za popełnione czyny niezgodne z honorem, za które odznaczenie prawomocnym wyrokiem Sądu Honorowego przy Komitecie Krzyża i Medalu Niepodległości może być odebrane. (Dziennik Ustaw R. P. 18. z dnia 10 marca 1937 r.).

III. DALSZA REJESTRACJA ROSZCZEŃ Z MOCY USTAWY INWALIDZKIEJ.

Na ostatniej sesji parlamentarnej, obie Izby Ustawodawcze uchwaliły dalszą nowelizację ustawy inwalidzkiej. — Wśród całego szeregu doniosłych zmian wprowadzonych do ustawy, został w dalszym ciągu sprolongowany do dnia 31 grudnia 1937 r. termin zgłaszania roszczeń o zaopatrzenie z mocy tej ustawy. Termin ten dotyczy tak b. legionistów jako też i pozostałych po tychże: wdów, rodziców i sierot. W nowelizacji tej został również wprowadzony przepis poddawania ponownemu badaniu przez Komisje Rewizyjno-lekarskie tych inwalidów wojennych, których procent utraty zdolności do zarobkowania, był ustalony na stałe. Ponadto nowelizacja ustawy wprowadza nader ważne i korzystne zmiany przy kapitalizacji renty, wypłacie renty dla przebywających w szpitalach i zakładach, w końcu w dziedzinie zatrudnienia, które obejmuje również wdowy po inwalidach. Nowelizacja tej ustawy wchodzi w życie dopiero z dniem 1 czerwca 1937 r., lecz dopiero po ogłoszeniu tej ustawy w urzędowym dzienniku ustaw. Nowelizacja zostanie przedrukowana w osobnej broszurze i rozesłana do wszystkich Oddziałów i Kół Pułkowych jako dodatek do „Zbioru Ustaw".

IV. UBIEGANIE SIĘ O NADANIE ZIEMI DLA CELÓW OSADNICTWA.

Wskutek zupełnego wyczerpania zapasów ziemi dla celów osadnictwa wojskowego, nadawanie ziemi z tytułu ustawy z dnia 17.XII.1920 r. o nadawaniu ziemi żołnierzom W. P. zostało zakończone.

Obecnie pozostaje tylko możność starania się o nabycie ziemi z parcelacji państwowej i w tej sprawie należy zwracać się po informacje do miejscowego Starostwa.

V. ZBIÓR USTAW I ROZPORZĄDZEŃ DOTYCZĄCYCH OSÓB ZASŁUŻONYCH W WALKACH O NIEPODLEGŁOŚĆ.

Wydział Opieki Komendy Naczelnej opracował i wydał „Zbiór Ustaw i Rozporządzeń o zaopatrzeniu osób zasłużonych w Walkach o Niepodległość Państwa Polskiego".

Wspomniana broszura oprócz integralnego tekstu odnośnych ustaw i rozporządzeń zawiera również wzory podań jakie do władz należy w tych sprawach kierować.

Cena broszury wynosi zł 1.50 plus 25 gr na koszta przesyłki. Zapotrzebowanie należy zgłaszać pisemnie do Wydziału Opieki Komendy Naczelnej — Warszawa, ul. Matejki Nr 3 za uprzednim nadesłaniem opłaty.

VI. WSPÓŁUDZIAŁ LEGIONISTÓW W ZBOGACENIU DZIAŁU LEG. POL. W MUZEUM WOJSKA.

Dyrektor Muzeum Wojska zwrócił się do Komendy Naczelnej z prośbą o współdziałanie w zbogaceniu działu Legionów Polskich w Muzeum Wojska. Komenda Naczelna apeluje do wszystkich legionistów by dla zrealizowania tego celu nadsyłali do Muzeum Wojska wszelkie pamiątki w postaci mundurów, broni, obrazów, fotografii, odznak itp. z czasów walk legionowych. Adres Muzeum Wojska: Warszawa, Al. 3 Maja 13.

„Czy w ogniu na polu bitwy, czy w obcowaniu z otoczeniem, oficer i żołnierz ma się zachować tak, by w niczym na szwank nie narazić honoru munduru, który nosi, honoru sztandaru, który nas skupia. Ofiary krwawe czy bezkrwawe, gdy trzeba, muszą być w tym celu złożone".

„Śledząc uważnie życie legionowe, przychodzi się do przekonania, że najsilniejszym czynnikiem, najsilniejszym motywem duszy, który przy życiu utrzymywał Legiony i który dał tak wybitne rezultaty, była nasza ambicja wewnętrzna. Ambicja ta żarła ludzi, starających się dowieść swemu otoczeniu i światu, że sami potrafimy zrobić z nas dobrych żołnierzy..."

„Pamiętam, jak długi czas jeżdżąc po pustkowiach, trafiłem do pułku ułanów, tak zwanych Beliniaków. Zdumiony byłem tym, co się tu dzieje. Jest tu życie!... Tu, przy Belinie, przy tym szlagońskim typie człowieka, gospodarzącym tu, jak na wsi, mającym cały szereg zalet i przywar szlacheckich, śmiech panował, tu, w tej wiosce, wieczorami odbywały się bale, tu wieczorami wyprawiano taniec, tu grała muzyka, tu było wesele, to było życie — w ponurym obrazie wojny. To ułani polscy zachowali wieś od zniszczenia, to ułani polscy w smutki wojny wnosili radość".

ŻOŁNIERZ LEGIONÓW — OTO NAZWA, JAKĄ — NAWIĄZUJĄC DO SŁÓW WYPOWIEDZIANYCH PRZEZ KOMENDANTA NA NASZYM LWOWSKIM ZJEŹDZIE — NADALIŚMY WSPÓLNEMU DLA WSZYSTKICH KÓŁ PUŁKOWYCH KOMUNIKATOWI.

ŻOŁNIERZ LEGIONÓW BĘDZIE SIĘ UKAZYWAŁ NA RAZIE 4 RAZY W ROKU — W DNIACH 12. MAJA, 6. SIERPNIA, 11. LISTOPADA I 15. LUTEGO I BĘDZIE SIĘ STARAŁ DOTRZEĆ DO RĄK KAŻDEGO ZRZESZONEGO LEGIONISTY.

ŻOŁNIERZ LEGIONÓW BĘDZIE DĄŻYŁ DO UTRWALENIA I UMOCNIENIA WIĘZI IDEOWEJ I KOLEŻEŃSKIEJ, ZAWIĄZANEJ WŚRÓD NAS W DNIACH CHWAŁY ZA NATCHNIENIEM KOMENDANTA. TEMU CELOWI ODPOWIADAĆ BĘDZIE TREŚĆ ŻOŁNIERZA LEGIONÓW: DZIAŁ HISTORYCZNO - WSPOMNIENIOWY GRUPOWAĆ BĘDZIE WSZELKIEGO RODZAJU MATERIAŁY DO HISTORII LEGIONÓW POLSKICH, DZIAŁ AKTUALNY BĘDZIE ZAWIERAŁ PUBLIKACJE ZWIĄZANE Z DZISIEJSZYM ŻYCIEM POLSKI I WRESZCIE DZIAŁ INFORMACYJNY POMIEŚCI WSZELKIEGO RODZAJU WIADOMOŚCI Z DZIAŁALNOŚCI ZWIĄZKU LEGIONISTÓW POLSKICH I KÓŁ PUŁKOWYCH.

NUMER 1. WYJĄTKOWO ZAWIERA TREŚĆ GŁÓWNIE WSPOMNIENIOWĄ.

OBOK ŻOŁNIERZA LEGIONÓW, OBEJMUJĄCEGO SWYM ZASIĘGIEM CAŁOKSZTAŁT SPRAW LEGIONOWYCH, WYCHODZIĆ BĘDĄ NADAL KOMUNIKATY KÓŁ PUŁKOWYCH, DLA PIELĘGNOWANIA TRADYCJI PUŁKOWYCH I REGULOWANIA WEWNĘTRZNYCH ZAGADNIEŃ FORMACYJNYCH. WSZYSTKIE TE WYDAWNICTWA POZOSTAWAĆ BĘDĄ Z SOBĄ W NAJŚCIŚLEJSZEJ WSPÓŁPRACY. POMNI WSKAZAŃ KOMENDANTA, NAKŁADAJĄCEGO NA NAS WSZYSTKICH OBOWIĄZEK UTRWALENIA PAMIĘCI CZYNU LEGIONOWEGO, WZYWAMY OGÓŁ KOLEGÓW DO NADSYŁANIA RELACJI I WSPOMNIEŃ, KTÓRE STOPNIOWO DRUKOWAĆ BĘDZIEMY W ŻOŁNIERZU LEGIONÓW.

KOMITET REDAKCYJNY

TREŚĆ:

Portret Marszałka Piłsudskiego na stronie tytułowej według zdjęcia dokonanego w 1925 r. przez kpt. Zbigniewa Sujkowskiego.

Wydawca: KOMENDA NACZELNA ZWIĄZKU LEGJONISTÓW POLSKICH

REDAGUJE KOMITET

Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA, ul. MATEJKI 3.

Główna Drukarnia Wojskowa. 1937 r. — Nr 8867 — 20.000.